KAZIMIERZ KUJDA PRZERYWA MILCZENIE. PADAJĄ MOCNE SŁOWA

PYZA I WIKŁO: ŚMIERĆ ADAMOWICZA NIE KASUJE PYTAŃ

LISTY PiS DO PE: NAJMOCNIEJSZE KARTY W GRZE

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 8 (326) 2019
25 lutego–3 marca
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

PRAWDZIWY OBRAZ WOJENNEGO PIEKŁA

O CZYM IZRAEL NIE CHCE WIEDZIEĆ

PREMIER IZRAELA BENIAMIN NETANJAHU I SZEF IZRAELSKIEGO MSZ ISRAEL KATZ

I CO NAPRAWDĘ WYSSALIŚMY Z MLEKIEM MATEK

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl 6c0f73be05

CYFROWY POLSAT

Telewizja na start nawet 6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z minimalnym zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Liga Sprawiedliwości" © Warner Bros. „Ucieczka z Dannemory" © Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl 6c0f73be05

Chora ideologia staje się faktem

Spełniły się marzenia Nowej Lewicy! Polska ma wreszcie stolicę rządzoną przez tęczowego prezydenta entuzjastę i jego homoseksualnego zastępcę. Obaj dysponują agresywnym zapleczem i skrajnie lewicowym programem. Warszawa jako poligon doświadczalny będzie wypracowywać metody, które pozwolą w przyszłości sprawnie przeprowadzić rewolucję seksualną w całym kraju. Nie ma się co oszukiwać. Wojna cywilizacyjna wkroczyła w etap rozstrzygający. Jeśli rząd PiS tego nie uzna i nie podejmie błyskawicznych działań, przegra wszystko.

Rafał Trzaskowski podpisał warszawską deklarację LGBT+, nadającą skrajnie wybujałe przywileje mniejszościom seksualnym. Zostaną nimi przesiąknięte kwestie bezpieczeństwa, kultury, sportu, zatrudnienia, administracji, a co najważniejsze – edukacja! Szkoły zostaną zobowiązane do otwarcia się na inicjatywy trzeciego sektora w zakresie wychowania seksualnego, a placówki objęte monitoringiem stołecznego „latarnika". Co tak naprawdę czeka dzieci i młodzież? „Wprowadzenie edukacji antydyskryminacyjnej i seksualnej w każdej szkole, uwzględniającej kwestie tożsamości psychoseksualnej i identyfikacji płciowej, zgodnej ze standardami i wytycznymi Światowej Organizacji Zdrowia (WHO)".

Przypomnijmy, że według standardów WHO dzieci w wieku 0–4 lat mają doświadczyć „radości i przyjemności z masturbacji", poznać „prawo do badania nagości i ciała, do bycia ciekawym". 4-, 6-latki należy zapoznać „z uczuciami seksualnymi (bliskość, przyjemność, podniecenie)" i przekazać im informację na temat „miłości w stosunku do osób tej samej płci". Dzieci w wieku 6–9 lat mają wiedzieć, co to „przyjemność z masturbacji", rozumieć, czym jest współżycie, poznać „różne metody antykoncepcji", dowiedzieć się o „seksie w mediach". 9-, 12-latki powinny się nauczyć „rozpoznawania różnic między tożsamością płciową a płcią biologiczną". Nastolatki (12–15) należy zachęcić do ujawniania „tożsamości płciowej i orientacji seksualnej". Szczegółowe zapoznanie się z instrukcjami WHO przeraża jeszcze bardziej.

Ta chora ideologia, przed którą Polska broniła się tyle lat, staje się faktem. Zepsuty Zachód, który ma dość „zacofania obyczajowego" Polaków, chce zadać skuteczny gwałt naszej narodowej, katolickiej tożsamości. Toczy się więc kluczowy bój o duszę narodu, o niewinność naszych dzieci i kierunek rozwoju naszego społeczeństwa. Osią konfliktu są wartości stanowiące podstawę naszego życia społecznego, naszej cywilizacji.

Konieczne jest więc opowiedzenie się po konkretnej stronie. Lewica jasno pokazuje, gdzie jest i dokąd zmierza. Co z prawicą? Nie można dłużej unikać tożsamościowych deklaracji. Trzeba przyjąć konserwatywne wartości i zdecydowanie ich bronić. Tego oczekują wyborcy, którzy głosowali na PiS także ze strachu przed nadciągającym widmem ideologii gender. Rząd i większość parlamentarna mają obowiązek wywiązać się z danego im zaufania. Nie trzeba w tej sprawie wykładać miliardów, wystarczy konsekwentnie i stanowczo stanąć po stronie normalności.

Marzena Nykiel

2/019/F
eprasa.pl 6e173be05

SIECI spis treści

44 Z Patrykiem Jakim *rozmawia Marcin Fijołek*

52 Z Piotrem Gontarczykiem *rozmawia Michał Karnowski*

78 Nie odpuścimy Macronowi *rozmowa Aleksandry Rybińskiej*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KRÓLESTWO ZA KONIA!**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **KATZ SSAŁ MLEKO OSŁA**
Jan Pietrzak

15 **ZWYCIĘSTWO HITLERA I STALINA**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **MODOWA ETYMOLOGIA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **MORAWIECKI WYGRYWA Z NETANJAHU**
Jan Rokita

25 **KTO NAS ROZGRYWA?**
Konrad Kołodziejski

28 **CO WYSSALIŚMY Z MLEKIEM MATEK?**
Maciej Pawlicki

KRAJ

32 **Z KAZIMIERZEM KUJDĄ**
rozmawia Michał Karnowski

38 **COŚ WIĘCEJ NIŻ RESET**
Marcin Fijołek

40 **KOALICJA PRZEŻYCIA**
Stanisław Janecki

44 **Z PATRYKIEM JAKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

48 **ŚMIERĆ NIE ZAMYKA SPRAWY**
Marek Pyza, Marcin Wikło

OPINIE

52 **Z PIOTREM GONTARCZYKIEM**
rozmawia Michał Karnowski

62 **DLACZEGO ŚWIAT MILCZY?**
Włodzimierz Rędzioch

IMPRESJE

64 **MILCZĄCE STADIONY MOJEGO OJCA**
Krzysztof Logan Tomaszewski

SIECI KULTURY

67 **TRUDNA HISTORIA WINNYCH**
Jolanta Gajda-Zadworna

70 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **MUZYCZNY SPLENDOR EPOKI WAZÓW**
Adam Ciesielski

74 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

76 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

ŚWIAT

78 **NIE ODPUŚCIMY MACRONOWI**
rozmowa Aleksandry Rybińskiej

GOSPODARKA

82 **CZYM JEŻDŻĄ POLACY?**
Arkady Saulski

88 **PRZEKOP POD OSTRZAŁEM**
Edyta Hołdyńska

NATURA DLA LUDZI

82 **GÓRY WCIĄŻ DZIKIE**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

100 **MOJE SMAKI: ALEKSANDRA KOSTKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

101 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

102 **MY JESTEŚMY PRZYJACIELE**
Maciej Pawlicki

104 **WAŻNY WYWIAD**
Wojciech Reszczyński

106 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **POKÓJ MUROWANY**
Aleksander Nalaskowski

109 **TETRYCY I DIALEKTYCY**
Wiktor Świetlik

110 **WOLNI PARAGRAFEM, SPĘTANI CHOROBĄ**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **WARSZAWA LGBTQ-**
Ryszard Makowski

113 **MIESIĄCE I LATA...**
Leszek Długosz

114 **TAK STRASZNY ŚWIAT**
Katarzyna Zybertowicz

20/0119/F

eprasa.pl 6c0f73be05

APLIKACJA BANKOWA IKO PO RAZ KOLEJNY NAJLEPSZA NA ŚWIECIE

Bank Polski

100 1919/2019

Aplikacja mobilna IKO PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z lutego 2019 r., obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.

eprasa.pl 6c0f73be05

Sygnalista nadaje

Donald Tusk nie skorzystał z okazji, by milczeć, i zabrał głos w sprawie Srebrnej. „Ten sposób rozumienia polityki, że to polega też na tym, żeby mieć jak najwięcej środków, w tym pieniędzy, był obecny w ich myśleniu od samego początku, ale zdaje się, że ewoluował do stanu dzisiejszego, czyli czegoś na poziomie wręcz obsesji" – atakował lidera PiS. Tusk i jego środowisko rzeczywiście nigdy nie musieli się martwić o pieniądze; zwolennicy kondominium nigdy – począwszy od wieku XVIII – nie mieli z tym problemów. Termin „jurgieltnicy" nie wziął się znikąd.

W wypowiedzi Tuska najważniejsza była jednak odpowiedź na pytanie, czy sprawa inwestycji przy ul. Srebrnej powinna zostać wyjaśniona. Zdaniem byłego premiera „nie ma dzisiaj żadnych powodów, abyśmy uwierzyli w bezstronność i determinację aktualnej władzy, żeby powyjaśniała jakieś złe czy podejrzane rzeczy, które sama realizuje", w związku z czym „być może będziemy musieli kilkanaście miesięcy poczekać na wyjaśnienie tej sprawy, ale ona na pewno doczeka się wyjaśnienia". Czytaj: jeśli wygrają, spróbują tą sprawą zaszczuć Jarosława Kaczyńskiego. Tak na serio.

Jeśli wygrają, będą też obalali nasze pomniki – i te świeckie (Lech Kaczyński), i te związane z Kościołem (Jan Paweł II). Ćwiczenia już trwają. Taki jest przecież sens tego, co zrobiono w Gdańsku z upamiętnieniem prałata Henryka Jankowskiego. Postać o ciemnych kartach w życiorysie, ale także zapisana na wielu kartach historii „Solidarności". Mimo wszystko nie zasługuje na tak ostentacyjne poniżenie; publiczne obalanie pomników dotyczyło dotąd jedynie największych zbrodniarzy.

Przekop ruszył, ale z CPK trochę gorzej, bo prezes spółki, która ma zbudować to megalotnisko, Jacek Bartosiak, złożył dymisję. Pourzędował raptem parę miesięcy. „Ta rezygnacja pokazuje, iż państwo polskie może mieć duży problem z rekrutowaniem profesjonalistów i fachowców z rynku do zadań państwowych i pracy w administracji" – skomentował ceniony ekspert. Możliwe, ale eksperci nie mogą pękać przy byle przeszkodzie. Bo szkodzą nie tyle sobie, ile projektowi.

Luty przyniósł odpowiedź na ważne pytanie: czy Polska może zbudować choćby poprawne relacje z Izraelem i diasporą żydowską? Dziś już wiemy, że – przynajmniej na razie – nie może. I nie jest to nasza wina. Po prostu oni mają moc i władzę, a my nie mamy w ręku niczego, na czym by im realnie zależało. I dopóki czegoś takiego w ręku mieć nie będziemy, trzeba zachować daleko idącą ostrożność. Ufać nie można, bo wyżywanie się na nas stało się tam – jak widać – i popularnym hobby, i perspektywicznym biznesem.

Opozycja wrzeszczy, że spotkały nas hańba i poniżenie, że dajemy się upokarzać. Cwaniaki! W ich przypadku testem na suwerenność nie są grymasy pod adresem USA ani nawet Izraela, ale wobec Niemiec. A o ile pamięć nie myli, w ciągu ośmiu lat rządów Platformy Warszawa ani razu nie weszła w jakikolwiek realny i istotny spór z Berlinem. Nawet wówczas, gdy Niemcy blokowali dostęp do naszych portów. Niech każdy rozlicza się z odwagi w stosunku do swojego, a nie cudzego, patrona.

Viktor Orbán nie stanął na wysokości zadania i poleciał do Jerozolimy, dokładając kolejną gorzką pigułkę. Dziś wszyscy po nas skaczą, nawet Słowak przybiera mentorski ton. Ale to minie, karta kiedyś w końcu się odwróci. Wszystko starannie notujmy.

Na razie nawet „Wyborcza" nie twierdzi, że w związku z atakiem polityków izraelskich po kraju rozlewa się fala antysemityzmu. Ale chyba nieuważnie śledzą media społecznościowe. Bo tam ważny polityk PSL i były minister rolnictwa Marek Sawicki wprost postawił pytanie: „Jakie koligacje z polskimi

epraso.pl 6c0f73be05

Żydami mają PAD [czyli prezydent], PMM [premier], PJK [prezes PiS] i dlaczego ta awantura z pierwszą nowelizacją ustawy o IPN została wywołana, czy ktoś wreszcie nam Polakom wyjawi intencję tej awantury dyplomatycznej?". Pytanie godne ZSL-owca, i to w obu jego częściach.

PiS przedstawiło listy do Parlamentu Europejskiego. Ich polityczny sens wciąż jest zagadką. Według jednej teorii to wygrana premiera Morawieckiego, bo do Brukseli idą ci, którzy mogli mu zagrozić (Szydło, Brudziński). Według drugiej – to sygnał zmiany kursu. Jeśli bowiem ekipa starych wyjadaczy poradzi sobie lepiej niż premier i polityczna młodzież w wyborach samorządowych, to Kaczyński postawi na nich także w czasie kampanii do krajowego parlamentu.

Największą sensacją jest kandydowanie Joachima Brudzińskiego. To może niepokoić, bo w każdym kraju Ministerstwo Spraw Wewnętrznych to niezwykle cenny polityczny kąsek i ładny kawałek władzy, którego bez poważnego powodu nie powinno się zamieniać na faktyczną synekurę w Brukseli. Czy to zmęczenie starego wojaka? A może żal, że w PiS wygrywa jakaś nowa konstelacja? Na pewno powagi państwa to nie buduje.

Z Mazowsza kandydować będą Adam Bielan (nr 1) i Zbigniew Kuźmiuk (prawdopodobnie nr 3). I będzie to krwawy bój. Przedsmak już mieliśmy: w dniu ogłoszenia list „ktoś" puścił w obieg fałszywą informację, że Kuźmiuk z przyczyn osobistych i zdrowotnych wycofał się z wyścigu. Tę wiadomość podał nawet reporter jednej z telewizji, więc zaczęła żyć własnym życiem. Jeśli tak się zaczęło, to co będzie dalej? Na wszelki wypadek pamiętajcie: Kuźmiuk nie jest potworem, nikogo nie bije ani niczego nie nadużywa.

Faworytem jest Kuźmiuk, ale awansować może również Bielan. Wszystko zależy od wyniku całej partii. Sondaże dla PiS teoretycznie dobre, ale w kuluarach różnie ocenia się ich wiarygodność. Czy np. przywoływanie wysokiego poparcia (ponad 40 proc.) wśród zdecydowanych wyborców ma sens? W 2015 r. wynik był bliższy notowaniom ogólnym, a nie zawężonym do tych respondentów, którzy na pewno wiedzą, na kogo zagłosują.

O ile notowania PiS są w miarę stabilne, o tyle w ciągu ostatniego roku wyraźnie zwiększył się odsetek przeciwników rządu: według CBOS w styczniu 2018 r. było to 14 proc. badanych, a w lutym 2019 r. – 29 proc. Ubyło również zwolenników: z 42 proc. do 35 proc. To może sugerować, że strategia rzucania kamieniami w pisowskiego dinozaura krok po kroku przynosi efekty, a unikanie bitew pozwala nie przegrać, ale też nie wystarcza do zwycięstwa.

Okazji do bitew z dużymi szansami na zwycięstwo nie brakuje. Władze Warszawy zapowiadają zatrudnienie w każdej szkole przynajmniej jednej osoby, „która będzie wspierać osoby LGBT i pomagać im". Czyli agresywna propaganda ostro wchodzi do szkół. To bezpośredni atak na wyborców PiS i ich dzieci. A jest ich – także w dużych miastach – całkiem sporo (co najmniej 30 proc.). Jeśli PiS nie stanie po ich stronie, jeśli nie powstrzyma tej agresji, wcześniej czy później coś mu wyskoczy z prawej strony.

Zdaniem Roberta Winnickiego również wśród parlamentarzystów obozu rządzącego pojawia się frustracja ideową letniością obecnego kursu. „Jeśli na korytarzach sejmowych podchodzą co bardziej patriotycznie zorientowani posłowie PiS i w konspiracji mówią, że kibicują naszej narodowo-wolnościowej koalicji – wiedz, że coś się dzieje:-)" – ogłosił lider narodowców. Narodowcy rzeczywiście mieliby sporą szansę na sukces, gdyby umieli robić politykę. A z tym bywa u nich bardzo różnie.

A i intencje też nie zawsze jasne. Rafał Ziemkiewicz – organizacyjnie stojący z boku – po awanturze z Izraelem ogłosił: „Wygląda na to, że czas przeprosić się z Niemcami i zacząć ostrożnie sprawdzać, ile by kosztowało przeproszenie się z Rosją". Pytanie brzmi: czy to wniosek (absurdalny) po tym, co się zdarzyło w lutym, czy też może zawsze aktualny postulat?

Wiceprezydent Warszawy obiecał aktywistom wprowadzenie śródmiejskiej strefy parkingowej, a więc płatnego wjazdu do centrum, do końca kadencji. Samorząd może to zrobić, bo PiS – mimo protestów – uchwaliło umożliwiającą to ustawę. Trudno o rozwiązanie bardziej sprzeczne z duchem kampanii roku 2015. To z powodu takich, drobnych z pozoru, spraw częściej ludzie pytają: o co w tym wszystkim chodzi?

A kanał przez Mierzeję Wiślaną już się buduje. Na początek wycięto trochę lasu – tak szybko, że ekolodzy nie zdążyli nawet pomyśleć o przykuciu się do drzew. Prace ziemne mają ruszyć we wrześniu, czyli jeszcze przed wyborami. Kiedyś PO była za, teraz jest przeciw, bo w końcu totalność zobowiązuje. Kto wie, czy po zmianie władzy – nie daj Boże – nie zasypią tego, co już będzie wykopane. Warto jeszcze bardziej przyspieszyć.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 6c0f73be05

KRZYSZTOF FEUSETTE

Królestwo za konia!

Co znaczy, że „na białym koniu"?! Jaki „wielki powrót"? Znowu ma być jak w tym dowcipie, że koń przywiózł węgiel na górę, chłop woła: „Węgiel przywiozłem!", a koń mówi: „Taaak, ty przywiozłeś...", chłop na to: „Pierwszy raz słyszę, żeby koń mówił", a pies na to: „Ja też!". Czy jakoś podobnie? A co, koń to pies? Właśnie tu leży pies pogrzebany! Na pewno nie koń.

Bo koń nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Jeszcze mu bardziej w duszy gra „wio" (cha, cha...) niż „prrr!". Choć akurat PR, w sensie „public relations", też umie przeskoczyć. Jeszcze go do rzeźni nie prowadzą, jak jakiegoś „Jurnego" (ten to jest ogier...). Jeszcze pani w mięsnym będzie musiała poczekać na to salami. Na razie salami to on sobie elektorat zbiera, pierwsza sala, druga sala... I tak dojdzie do tysiąca. A potem ruszy z kopyta ta jego kariera brutalnie zniszczona. A jak już ruszy, to jej i w sto koni nie dogoni. Bo niech mi ktoś powie: niby dlaczego to Słońce Peru ma na białym koniu powrócić na koryta łono, a nie odwrotnie? Czemu koń nie może na Słońcu triumfalnie do Belwederu wjechać? Tu nie chodzi tylko o kolory. Kiedyś to ja może i byłem wyłącznie za białymi, ale dziś, po tym piekle, jakie mi Kaczyński zafundował? Po tej hałdzie upokorzeń, którą na szczyt, jak Syzyf wtaszczyć musiałem, żeby mnie Olejnik z Michnikiem nienawidzić przestali? To ja już wolę być czarny jak chmury nad Schetyną. Już widzę te plakaty, jak klapki zdejmę: „Wielki Romeo, czarny koń wyborów!". I dlatego tak się mnie boją. Teraz nam z Austriakiem biegłą tłumaczkę podmienili, że nieobiektywna mogła być. Olejnik kiedyś z Urbanem też po kryjomu samochodem wracała i jakoś nikt nie mówi, że nieobiektywna. W każdym razie – ja już na pewno nie. Tylko krowa nie zmienia poglądów.

Ja wiem, że jeszcze trochę trzeba będzie trawę gryźć, ale czy ja jestem obecnie jakiś narowisty szczególnie? Jeżdżę grzecznie z Adamem po konferencjach, chociaż się na tych krzesełkach ledwo mieszczę. Kolana mnie bolą, a przecież na koniec klęknąć przed redaktorem legendą nie zawadzi, hołd czerski złożyć wypada, bo co mi zostanie, jak mi znowu zaczną w zęby zaglądać? Do PiS pójdę, żeby wyjść na osła? Do narodowców, co tylko czekają, żeby mi się noga powinęła? Młodzież Wszechpolska zaraz zacznie kukły palić, a ja mam się jeszcze za siebie oglądać, czy mnie ktoś nad jeziorem do wora nie pakuje? Jak ja się bałem im uwagę zwrócić, że kompletnie wszystko z tym Austriakiem pomylili i zamiast Kaczyńskiego, to jego w ziemię wdeptali. Niby nie zmienia się koni podczas przeprawy przez wyborczą rzekę, ale kto ich tam wie? Wiadomo, jak jest: koń zrobił swoje, koń może odejść. A czy ja bez tego nawrotu na pisowskiej przeszkodzie mógłbym dzisiaj kręcić czymś więcej niż nosem? Czy ja miałbym tylu klientów, co groszem sypną, a i cukru w mediach nie pożałują? Czy ja miałbym szansę na Wiertniczą galopem pędzić na każde wezwanie, gdybym się od Bąków odganiał? Czy ja bym w cyrku nie skończył? Już widzę, jak by mnie za leśnych faszystów TVN po żółtych paskach ciągała. To już wolę, żeby wszechpolacy od „Koń-Czity" wyzywali niż znowu Olejnik z „Naszej szkapy" odpytywała. Pięciu piw jedną ręką zamawiać nie muszę.

Zresztą, teraz to ja wino piję i z Radkiem, jak ma chwilę od depresji wolną, albo Kaziem, dopóki mu ta straszna poetka na konto po alimenty nie wejdzie. A jak nie, to Marylkę sobie puszczę. Dawne życie poszło w dal, dziś na zimę ciepły szal, tylko konia, tylko konia żal. Albo „Misia" obejrzę, tę scenę, gdzie reżyser każe koniom łby pospuszczać, ale nie wie, czy one go słyszą. Jak ja na tym płakałem, cała droga polityczna mi przed oczami przeleciała. Ale ja mam czas. Mnie się już teraz nigdzie nie spieszy. Interes się kręci, przeszkód nie widzę, bywało bardziej pod górę.

No, więc jeżdżę sobie po kraju, jak Facebook przykazał, po salach sądowych się szwendam i wielkiego mecenasa udaję. Tu się Kaczora opluje, tam Ziobrę uszczypnie i zawsze jakieś siano wpadnie. Ba, ja na byle czym jechać nie będę. To jeszcze nie jest, na szczęście, wojna domowa, żeby do konia tylko suchy chleb miał trafiać. Zresztą sami powiedzcie: komu się żłób bardziej należy i do kogo bardziej pasuje niż do niego? Mówi się, że osiołkowi w żłoby dano, w jeden owies, w drugi kasiorkę. Koń by wybrał od razu i jedno, i drugie, bo się go w konia bardziej zrobić nie da. W końcu, mógł go Kaligula senatorem zrobić, to Tusk nie mógłby chociaż ministrem? Przecież taki koń, nawet przykładowy, to i do transportu pasuje, i do sportu, nawet do obrony narodowej. Że o resorcie zdrowia nawet nie wspomnę.

106/0119/F

eprasa.pl 6c0f73be05

Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.

PGNiG

eprasa.pl 6c0f73be05

Wandale w Gdańsku

W nocy z 20 na 21 lutego trzech aktywistów związanych z organizacją Obywatele RP obaliło pomnik ks. Henryka Jankowskiego w Gdańsku. W dłoń prałata włożono dziecięcą bieliznę, a obok położono małe buty i strój ministranta. Tak się „przypadkowo" złożyło, że na miejscu znalazł się red. Tomasz Sekielski, zbierający materiały do filmu dokumentalnego o pedofilii w Kościele, który sfilmował całe zdarzenie.

W swym oświadczeniu sprawcy napisali: „Podejmujemy działanie, którego celem jest symboliczne strącenie ze wspólnotowego piedestału fałszywej pamięci i czci osoby Henryka Jankowskiego. […] Oskarżamy instytucję Kościoła katolickiego i jej przedstawicieli, którzy z pełną świadomością zła czynionego przez Henryka Jankowskiego nie zareagowali, aby złu położyć kres, milczeli lub wręcz – jak Sławoj Leszek Głódź – tolerowali ryzyko pojawienia się kolejnych ofiar".

Data akcji wybrana została nieprzypadkowo. 21 lutego w Watykanie rozpoczęła się bowiem wielka konferencja poświęcona pedofilii w Kościele, na którą zjechali się przewodniczący episkopatów z całego świata. Dzień przed inauguracją Joanna Scheuring-Wielgus, Agata Diduszko-Zyglewska i Marek Lisiński wręczyli w Rzymie papieżowi Franciszkowi raport na temat pedofilii w polskim Kościele przygotowany przez Fundację „Nie lękajcie się".

Po dewastacji władze Gdańska najpierw oświadczyły, że pomnik nie wróci na swoje miejsce, ale zmieniły zdanie pod naciskiem gdańskiej „Solidarności", która napisała w swym oświadczeniu: „Przypominamy, że to konstytucja mówi o domniemaniu niewinności do czasu prawomocnego orzeczenia sądu i ochronie elementarnej godności człowieka. Przypominamy wreszcie, że postępowanie prokuratorskie prowadzone wobec śp. księdza prałata zakończyło się umorzeniem w 2004 r., a dziś ksiądz prałat sam już bronić się nie może. Czy tak ma wyglądać walka z nienawiścią i przemocą? Apelujemy o opamiętanie".

Sprawcy dewastacji naruszyli art. 261 Kodeksu karnego, który mówi, że „kto znieważa pomnik lub inne miejsce publiczne urządzone w celu upamiętnienia zdarzenia historycznego lub uczczenia osoby, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności"

Grzegorz Górny

epi asa pl 6c0f73be05

Fot. Wojciech Strozyk/REPORTER

Francja

Antysemickie kamizelki?

Czy wśród protestujących od trzech miesięcy francuskich „żółtych kamizelek" są antysemici? Taki zarzut pojawił się po tym, jak tydzień temu w Paryżu grupka demonstrantów zwyzywała przechodzącego obok francuskiego filozofa żydowskiego pochodzenia Alaina Finkielkrauta. Na pokazanym w wielu stacjach telewizyjnych nagraniu widać, jak demonstranci nazywają Finkielkrauta „brudnym syjonistą", „draniem" i każą mu się „wynosić do Tel Awiwu". Finkielkraut w rozmowie z dziennikarzami powiedział później, że „poczuł, jak otoczyła go absolutna nienawiść" i „gdyby nie policja, byłby przerażony".

Natychmiast po tym zajściu przez francuskie media przetoczyła się debata na temat narastającego „ekstremizmu" wśród „żółtych kamizelek". Twierdzono, że problem „jest bardzo poważny" i że choć sam ruch nie jest (jeszcze?) antysemicki, to w jego szeregach jest już „mnóstwo antysemickich zachowań". Większość komentatorów zgodziła się, że to rezultat przenikania w szeregi ruchu lewackich i skrajnie prawicowych bojówkarzy. Wywołano też przy tej okazji do tablicy rywali Emmanuela Macrona z obu skrajnych skrzydeł francuskiej sceny politycznej: Jeana-Luca Mélenchona i Marine Le Pen, którzy – jak się twierdzi – próbują wykorzystać ruch „żółtych kamizelek" w kampanii wyborczej swoich ugrupowań do Parlamentu Europejskiego. Oczywiście na temat incydentu wypowiedział się również prezydent Macron, który oświadczył na Twitterze, że atak na Finkielkrauta jest „absolutnym zaprzeczeniem tego, co reprezentujemy i co uczyniło nas wielkim narodem".

Występujący w roli rzecznika „żółtych kamizelek" Jason Herbert zastrzegł, że incydent – choć skandaliczny – nie dowodzi, iż ruch jest antysemicki. „Nie słyszałem nigdy, ażeby wśród naszych żądań znalazł się postulat zmniejszenia liczby Żydów" – powiedział. Przyznał jednak, że wśród demonstrantów panuje pełna wolność wypowiedzi.

Ta wolność wypowiedzi może się teraz okazać bardzo groźna dla „żółtych kamizelek". Media skwapliwie podchwyciły oskarżenia o antysemityzm, mając nadzieję na rychły spadek poparcia dla protestujących. Na placu Republiki w Paryżu oraz w kilku innych miastach Francji odbyły się już wielotysięczne wiece przeciwko narastającej fali antysemizmu.

Przyjęta przez Emmanuela Macrona taktyka na przeczekanie protestów zmniejszyła poparcie dla ruchu, ale go nie zdusiła. Nieskuteczne – jak dotąd – okazały się też brutalne akcje policji. Teraz demonstranci dowiedzieli się, że są antysemicką hołotą. Czy to zadziała? Zobaczymy.

Konrad Kołodziejski

USA

Trump pozwany za mur

Prezydent Donald Trump został pozwany przez prokuratorów generalnych 16 amerykańskich stanów (m.in. Connecticut, Delaware, Hawajów, Illinois, Maine i Maryland). Pozew ma związek z ogłoszeniem przez niego stanu wyjątkowego, aby zdobyć w ten sposób środki na budowę muru na granicy z Meksykiem. To jedna z głównych obietnic wyborczych Trumpa, którą – jak podkreśla – zamierza za wszelką cenę spełnić. Kongres wprawdzie przyznał mu środki, ale tylko 1,4 mld dol., co wystarczy zaledwie na budowę 90 km muru. Resztę Trump postanowił więc wyciągnąć z budżetu, korzystając z przysługujących mu nadzwyczajnych uprawnień. Ogłosił stan zagrożenia państwa, uzasadniając to „kryzysem na południowej granicy", gdzie od wielu miesięcy koczują tysiące imigrantów z Ameryki Łacińskiej, i zapowiedział, że sięgnie m.in. do Wojskowego Funduszu Budowlanego po dodatkowe 6,6 mld dol., co pozwoli mu zbudować co najmniej 400 km muru. Od początku był przy tym świadom, że jego decyzja zostanie zaskarżona do sądu przez stany rządzone przez demokratów. I tak się też stało.

Prokurator generalny Kalifornii Xavier Becerra uzasadnił pozew „pogardą" prezydenta dla praworządności i „złamaniem przez niego zapisów konstytucji". Jak zaznaczył – o wydatkach publicznych decyduje Kongres. Trump miał więc nadużyć władzy, uzurpując sobie kompetencje legislatury. „On dobrze wie, że nie ma żadnego kryzysu na granicy, i równie dobrze wie, że przegra tę sprawę w sądzie. Gabinet prezydencki to nie miejsce na teatr" – podkreślił Becerra. I dodał: „Prezydent po prostu kradnie pieniądze podatników".

Na odpowiedź Trumpa nie trzeba było długo czekać. Administracja prezydenta ogłosiła, że zrezygnuje z dofinansowania z budżetu federalnego budowy kolei dużej prędkości między Los Angeles a San Francisco. To bolesny cios dla Kalifornii, bo może oznaczać utratę 3,5 mld dol. subwencji. Gubernator Gavin Newsom nazwał decyzję Trumpa „zemstą polityczną". Prezydent odparł mu na Twitterze, że projekt już teraz kosztuje 77 mld dol., czyli „trzynaście razy więcej niż te marne 5,7 mld dol.", których Trump domagał się od Kongresu na mur. Prezydent dodał, że nie boi się procesu o mur i jest przekonany, że ostatecznie wygra przed Sądem Najwyższym. I jest to całkiem prawdopodobne, gdyż w SN dominują sędziowie o poglądach konserwatywnych, z których dwóch osobiście nominował Trump. Ale zanim sprawa tam trafi, miną miesiące, co oznacza, że mur na granicy z Meksykiem będzie jednym z głównych tematów zbliżającej się kampanii prezydenckiej.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 6c0f73be05

Węgry

Orbán motywuje kobiety

Niedawno na łamach „Sieci" wiceprzewodnicząca Fideszu a zarazem sekretarz stanu ds. rodziny i młodzieży Katalin Novák powiedziała, że od 2010 r. Węgry zwiększyły ponaddwukrotnie wydatki na wsparcie rodzin z budżetu państwa. Obecnie wynoszą one prawie 5 proc. PKB, ale – po ostatnich wystąpieniach Viktora Orbána – zapewne wzrosną. Premier Węgier zapowiedział bowiem poszerzenie obecnych i wprowadzenie nowych świadczeń dla rodzin. Chodzi o zachęcanie Węgrów do posiadania liczniejszego potomstwa, by powstrzymać demograficzną zapaść.

Nowy program Orbána ma siedem punktów. Pierwszy z nich oferuje kobietom poniżej 40 lat, które pierwszy raz wyszły za mąż, kredyt w wysokości 135 tys. zł na dogodnych warunkach. Jego spłata będzie malała z każdym narodzonym dzieckiem. Po urodzeniu trzeciego dziecka kredyt zostanie całkowicie umorzony. Po drugie, rodziny dostaną możliwość otrzymania preferencyjnego kredytu na mieszkanie. W tym przypadku zasada będzie ta sama: każde kolejne dziecko oznacza zmniejszenie kredytu. Kolejny punkt przewiduje ulżenie rodzinom w spłacaniu już zaciągniętych kredytów hipotecznych. Po narodzinach każdego następnego dziecka państwo będzie przejmować na siebie coraz większą część spłaty kredytu. Czwarty punkt przewiduje, że każda kobieta, która urodzi i wychowa co najmniej czworo dzieci, zostanie do końca życia zwolniona z płacenia podatku dochodowego. Piąty element to wsparcie państwa dla rodzin wielodzietnych przy zakupie dużego samochodu. W przypadku małżeństwa z trójką dzieci kupującego siedmioosobowe auto oznacza to bezzwrotną pomoc w wysokości ok. 33,6 tys. zł. Szósty punkt zapewnia każdemu rodzicowi, który tego sobie życzy, opiekę dla dziecka w żłobku. W ciągu trzech najbliższych lat mają powstać placówki zdolne przyjąć 21 tys. maluchów. W końcu po siódme, pojawi się możliwość przekazania dodatku na dziecko dziadkom.

Ogłaszając program, premier Orbán powiedział o dwóch modelach inwestowania w przyszłość: albo wydaje się pieniądze na imigrantów, albo na własne dzieci. Węgrzy wybierają to drugie.

Grzegorz Górny

Wenezuela

Bitwa o most

Zaostrza się wewnętrzny konflikt w pogrążonej w kryzysie gospodarczym Wenezueli. Jego centrum przeniosło się chwilowo ze stolicy Caracas na most im. Simona Bolivara łączący Wenezuelę z Kolumbią. Przez ten most setki tysięcy Wenezuelczyków opuściło w ostatnich miesiącach kraj. To na tym moście właściciel koncernu Virgin Richard Branson zorganizował koncert charytatywny, by „zebrać co najmniej 100 mln dol. na pomoc medyczną dla Wenezueli" i przełamać blokadę na amerykańską pomoc humanitarną wprowadzoną przez reżim Nicolása Maduro". Maduro odpowiedział na tę – jak twierdzi – „bezczelną prowokację" własnym koncertem po przeciwnej stronie mostu. Odbył się on pod hasłem: „Ręce precz od Wenezueli!". Zdaniem Maduro „Wenezuela nie jest krajem żebraków" i żadnej pomocy nie potrzebuje. W każdym razie tej od Amerykanów, bo Rosja ma przysłać do Caracas ponad 300 ton leków i żywności. Amerykańskie konwoje natomiast utknęły w przygranicznym miasteczku Cúcuta, a granicy pilnują uzbrojeni po zęby żołnierze.

Fot. twitter/Secretary Pompeo

Mimo to wenezuelska opozycja jest przekonana, że może przełamać blokadę. Tymczasowy prezydent Juan Guaidó poinformował, że już zgłosiło się kilkaset tysięcy osób, które gotowe są wziąć udział w takiej akcji. Plan opozycji jest prosty: jeśli co najmniej milion osób ruszy po żywność i leki czekające w Cúcucie, żołnierze nie odważą się strzelać i reżim Maduro upadnie. Jak przekonuje Guaidó, może i generalicja jest po stronie Maduro, ale zwykli żołnierze tylko czekają na okazję, by stanąć „po stronie wolności".

Na razie jednak nic nie wskazuje na to, aby armia miała zamiar zignorować rozkazy oficjalnie urzędującego prezydenta, którym ciągle jest Maduro. „Opozycja będzie musiała przejść po naszych trupach, by utworzyć nowy rząd w Caracas" – ostrzegł minister obrony Wenezueli Vladimir Padrino. To dzięki wojsku Maduro wciąż utrzymuje się u władzy, podczas gdy Guaidó, który ogłosił się 23 stycznia na fali antyrządowych protestów prezydentem, stawia na wsparcie społeczności międzynarodowej, szczególnie USA.

Zdaniem niektórych analityków strategia ta jest ryzykowna, gdyż groźby Donalda Trumpa skierowane do wenezuelskiego wojska („Nie będziecie się mieli gdzie ukryć") i ostre deklaracje doradcy ds. bezpieczeństwa prezydenta USA Johna Boltona o „trójce tyranii" w postaci Wenezueli, Kuby i Nikaragui przypominają amerykańskie działania z okresu zimnej wojny i mogą paradoksalnie pomóc Maduro zjednoczyć swoich zwolenników. Wówczas może on podjąć próbę siłowego rozwiązania kryzysu.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 6c0f73be05

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Katz ssał mleko osła

Jan Pietrzak

Dziwne rzeczy przydarzyły się amerykańskim i izraelskim politykom oraz dziennikarzom. Jakby się umówili, że chcą przy okazji konferencji bliskowschodniej upokorzyć Polaków.

Polskie władze życzliwie potraktowały prośbę USA i Izraela, by w Warszawie porozmawiać o pokoju. Cel godny, sojusznicy proszą, czemu nie? W sensie organizacyjnym wszystko odbyło się jak należy, ale... Najpierw sekretarz stanu USA, potem dziennikarka NBC postanowili pouczyć Polaków o historii II wojny światowej. Premier Izraela również popisał się fałszywą wiedzą o kolaboracji Polaków z Niemcami podczas Holokaustu. No konsternacja.

Okazuje się, że ani Mr Pompeo, ani redaktorka Mitchell, ani premier Netanjahu nie mają pojęcia o straszliwych latach 1939–1945 na polskiej ziemi. Tak zachowują się przedstawiciele przyjaznych państw, życzliwie podejmowani przez gospodarzy? Stawiają niedorzeczne zarzuty, absolutnie niezwiązane z celem spotkania? Zapachniało skandalem.

Kiedy zaczęto wyjaśniać, kto źle przetłumaczył, kto co miał na myśli i wydawało się, że kryzys zasypany, odezwał się nowy minister spraw zagranicznych Izraela Katz i ogłosił: Polacy z mlekiem matki wyssali antysemityzm... On pewnie ssał mleko osła. W efekcie Mateusz Morawiecki postanowił nie jechać do Jerozolimy na sesję Grupy Wyszehradzkiej, bo tego było za wiele dla naszego łagodnego premiera.

Różni ludzie podnieśli argument, że nie należy się przejmować, bo trwa kampania wyborcza... Argument, że opluwanie Polaków to element walki wyborczej w Izraelu, jest okropny. To znaczy, że bez nikczemności nie można w Izraelu wygrać wyborów? Krajowi totalni krytycy Polski, korzystając z okazji, rzucili się na obecny rząd, tyle że popis buractwa dali nam tym razem goście z USA i Izraela. Na ich tle dyplomaci polscy to dystyngowani profesjonaliści. Nie popełnili żadnej gafy, nie mieli żadnej wtopy ani wpadki, które by nas zawstydziły. Jeżeli mamy za kogo się wstydzić, to za sojuszników. Co nie znaczy, że trzeba od jutra zmieniać sojusze. Nie należy wykluczać, że awanturę uknuli przez swoją pajęczynę Hiperborejczycy, nasi znajomi, którym nie w smak dobre relacje Polski z USA i Izraelem. Ale to temat dla specjalistów, ja jedynie naiwnie spekuluję...

Lubię mocne wyzwania

Z podróżnikiem Aleksandrem Dobą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

To, że nie boi się pan wyzwań związanych z samotnymi przeprawami przez Atlantyk, wiemy, ale ekstremalny telewizyjny show to coś nowego?

Aleksander Doba: Kiedy zaproszono mnie do programu „Agent. Gwiazdy", trochę się zdziwiłem, bo gwiazdą nie jestem, choć wyzwania lubię nie od dziś. Chętnie próbuję rzeczy, których jeszcze nie robiłem, więc się zgodziłem. Założyłem sobie, że będzie ciekawie, i tak było.

Jako wyszkolony szybownik i spadochroniarz nie miał pan problemu np. ze skokiem na bungee?

Prowadząca Kinga Rusin podkręcała emocje, mówiąc, jaki wysoki klif na nas czeka, ale do pokonania w czasie skoku mieliśmy tylko część tej wysokości. Wrażenie za to robiła sama okolica. Byliśmy w końcu na Wyspach Kanaryjskich.

A jakie wrażenie robiła na panu gwiazdorska obsada?

No cóż, Edyta Górniak to wspaniała nasza piosenkarka, z Krystyną Czubówną już kiedyś się poznaliśmy. Rozpoznawałem też Andrzeja Gołotę. Pozostałych uczestników mniej.

Maria Sadowska, Agata Nizińska, Misiek Koterski...?

To nie moja branża. Nie jestem aktorem, nie śpiewam... ale wszyscy byli sympatyczni.

Do czego się pan teraz szykuje? Znów ocean?

Zamknąłem ten etap na trzeciej transatlantyckiej wyprawie kajakowej. Teraz mam zamiar wyruszyć – razem z pięcioma kolegami, dwoma samochodami – na Syberię, do Magadanu nad Morzem Ochockim. Powrót będzie przez Chiny, Mongolię, Kazachstan. Wyprawa na trzy, cztery miesiące. Start 9 maja. Ekspedycję „Syberia polskim śladem" będzie można śledzić w internecie.

Fot. Adam Jankowski/REPORTER

eprasa.pl 6c0f73be05

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zwycięstwo Hitlera i Stalina

Ludzie w obronie życia swojego i najbliższych potrafią robić straszne rzeczy. Tylko wyjątki nie cofną się wówczas przed złamaniem zasad, które w normalnych warunkach akceptują. Cierpienie może uszlachetnić jednostki, ale deprawuje zbiorowości. Nieludzkie warunki prowokują nieludzkie postawy. Przykład II wojny światowej demonstruje te prawidłowości.

III Rzesza była laboratorium zbrodni i demonstrowała, jak techniczno-organizacyjny postęp zużytkować można przeciw człowiekowi. Okupanci Polski usiłowali doprowadzić do sytuacji, w której ofiary pilnowałyby się i niszczyły nawzajem. Obozy koncentracyjne były tego typu skutecznym eksperymentem, do pewnego stopnia były nim getta. Niemcy starali się, aby w ten sposób funkcjonowała cała podbita Polska. Osoba pomagająca Żydom albo choćby niedonosząca o ich kryjówkach wiedziała, że na represje, włącznie z okrutną śmiercią, naraża nie tylko siebie, lecz też swoich najbliższych.

Zastanówmy się i spróbujmy z pełną odpowiedzialnością zadeklarować: kto z nas podjąłby się tego ryzyka? Wyobraźmy sobie także, że ukrywanie zbiegów trwa długo, a więc ryzyko rozciąga się w czasie i potęguje. Znamy wypadki, kiedy ktoś powodowany najlepszymi intencjami ukrywał Żyda, a w momencie krańcowego zagrożenia osobiście potrafił go zabić. Znamy takie, gdy jedni ukrywani, w obawie o swoje i tak straszne warunki, lękając się zwiększenia ryzyka, nie zgadzali się na przyjęcie kolejnych.

A teraz odwróćmy perspektywę i spróbujmy popatrzyć oczami ukrywających się Żydów. Doświadczają największej tragedii: mordowani są ich najbliżsi i cały naród, ratują się cudem, a Polaków postrzegają jako zagrożenie. Przecież nie wiedzą, kto ich może wydać. Widzą także większość, która nie śpieszy im z pomocą. Czy ludzie w takich warunkach sprawiedliwie oceniają zachowanie innych?

Wokół getta w Warszawie krążyły gromady szmalcowników. Nie wiadomo, ilu ich było: kilkuset, tysiąc? Nieznacząca grupa jak na populację stolicy, ale dla uciekinierów nie tylko śmiertelne niebezpieczeństwo, lecz i obraz chmary polujących na nich Polaków. Granatowa policja, czyli stworzona w głównej mierze z dawnych policjantów zmuszonych do nowej służby, formacja okupantów liczyła kilkanaście tysięcy ludzi. Wraz z innymi pomocniczymi oddziałami mundurowymi w rodzaju ochrony kolei było ich dwadzieścia parę tysięcy. Używani byli do polowania na Żydów. Ta w skali narodu nieznacząca grupa – kilkadziesiąt razy mniej od tych, którzy zaangażowani byli w AK – stanowiła wielkie zagrożenie dla żydowskich uciekinierów i została zapamiętana jako formacja polska, bo z Polaków złożona.

Niemcy organizując nagonki na Żydów, używali do tego miejscowych chłopów, którzy zmuszani byli do tych akcji pod groźbą śmierci. Ukrywający się Żydzi widzieli jednak chłopów z kijami w rękach, a rzadziej podążające za nimi, liczebnie mniejsze, grupki SS-manów.

Jan Tomasz Gross uznał, że pamięć ofiar Holokaustu jest na swój sposób święta, trzeba jej bezwarunkowo zawierzyć. Jest zasadniczo inaczej. Pamięć ta jest straumatyzowana i w naturalny sposób ułomna. Widzi zagrożenie i pamięta rzeczy przerażające. I nie sposób mieć o to pretensji do ofiar. Ta pamięć przeniesiona została do Izraela i innych miejsc zamieszkania Żydów. W pierwszej generacji przenikała się ona jeszcze z sentymentami do swoich rodzinnych miejsc. Potem została tylko ona.

Można było przeciwdziałać temu, analizując uczciwie całość tych wydarzeń. PRL nie była państwem suwerennym i dostosowywała się do oczekiwań Moskwy. Ale nie zrobiła tego III RP, wręcz przeciwnie, eksponowała bez ukazania kontekstu wyłącznie ciemne strony polskich dziejów podczas II wojny światowej. Inni, tacy jak Niemcy, Rosjanie czy Izrael, pisali historię w swoim interesie. I tak dziś w skali międzynarodowej wygrywa Hitler, który dążył do tego, aby to ofiary oskarżały się i unicestwiały nawzajem.

Stalin doskonale rozwinął stosowaną w Rosji od zawsze strategię „dziel i rządź". Elementem jej było wysuwanie na eksponowane stanowiska w aparacie represji osób pochodzenia żydowskiego. Ludzie, którym zawsze łatwiej winą obciążyć „obcych", mogli więc interpretować komunizm jako „żydowską władzę". Nie miało znaczenia, że Żydzi nie rządzili w Sowietach ani w Polsce. Od 1956 r. ich liczba w aparacie komunistycznym została zminimalizowana, a po '68 właściwie ich nie było. Interpretacje nie muszą mieć związku z faktami, tak jak żydowska mówiąca o współodpowiedzialności Polaków za Holokaust. Ale dziś kiedy Polacy słyszą tego typu horrendalne zarzuty, odpowiadają, że Żydzi zainstalowali w Polsce komunizm. Wy nam Jedwabne – my wam Bermana. I to jest zwycięstwo Stalina i Hitlera.

Ponure dziedzictwo systemów zbrodni.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6c0f73be05

OGNIEM NA WPROST

A Szwedzi się zbroją

Oskarżony o bluźnierstwo Adam Darski, ksywa Nergal, wziął się do komentowania polityki. Zna się na niej jak ja na black death metalu, a może nawet jeszcze mniej. No ale skoro trafiła się okazja, to czemu z niej nie skorzystać. Tym bardziej że każda okazja jest dobra, by przyłożyć ekipie rządzącej. A tu taka gratka, bo zwróciła się do niego o komentarz żydowska, internetowa telewizja Ynet. Prowadząca zapytała o stan stosunków polsko-izraelskich po wypowiedzi szefa tamtejszego MZS o „wyssaniu antysemityzmu z mlekiem matki" przez Polaków. Nergal ze znajomością rzeczy stwierdził, że „trudno powiedzieć". Ale już dużo łatwiej było mu powiedzieć, co jest zdrowe, a co chore w kraju, z którego pochodzi. „Polski rząd popiera konserwatywny, hermetyczny i nacjonalistyczny ruch w Polsce. To nigdy nie będzie zdrowe". Po czym przepowiedział ze znawstwem, że dni polityków PiS są policzone, a „artyści muszą jeździć po całym świecie i naprawiać wizerunkowe szkody, jakie wyrządzili Polsce politycy". Nie wiem, co Darski wyssał z mlekiem matki, ale na pewno nie była to umiejętność dostrzegania związków przyczynowo-skutkowych, tak charakterystyczna dla autorytetów z artystycznego świata usiłujących wspierać rodzimą opozycję.

Ledwo skończyłem w poprzednim numerze pisać o Wojciechu Lemańskim zwanym księdzem (zawieszona suspensa), a ten znów pcha sie na łamy. Tym razem w rozmowie z gwiazdą „Newsweeka", słynącego z nieukrywanej sympatii do Kościoła katolickiego, Renatą Kim. Pytanie: „Czy ksiądz nie uważa, że absolutnie dramatyczną, szkodliwą rolę w tym procesie nieprzyznawania się do polskiej winy zapominania, że trzeba się rozliczyć z naszą haniebną przeszłością, odgrywają politycy rządzący w tej chwili, a także Kościół? Kościół, który nie potrafi o tym spokojnie i jasno rozmawiać [...]?". Odpowiedź była daleka od zalecenia Ewangelii: mówcie tak, tak; nie, nie, bo co inne, pochodzi od złego. Myślą wywodu Lemańskiego było: za mało bicia się w piersi, za mało przeprosin, za mało posypywania głów popiołem. Wskazywał nawet bp. Rafałowi Markowskiemu z Komisji ds. Dialogu z Judaizmem jego miejsce. Powinien stanąć pod murem cmentarza żydowskiego we Wrocławiu, na którym ktoś namalował antysemickie napisy, i powiedzieć: „Usuńmy ten napis, bo tak nie można. Niestety nie pojawił się" – bolał ks. Lemański. „Ci nasi nauczyciele robią zbyt mało" – stwierdził, kończąc wywód. Uważam, że rzeczywiście jest „zbyt mało", ale księdza Lemańskiego w mediach.

Sztokholm bije na alarm. Chce podkręcić tempo odbudowy potencjału militarnego królestwa. Szwedzka Agencja Badań Obronnych (FOI) w opublikowanym ostatnio raporcie zwraca uwagę na cztery czynniki, które jej zdaniem wskazują na przygotowania Rosji do wielkiego konfliktu. Na przestrzeni ostatniej dekady ćwiczenia wojskowe Rosjan stają się z roku na rok coraz bardziej intensywne. Zwiększa się skala manewrów, a celem tak dużego wysiłku, i to co roku, jest nauczenie armii wojowania na dużym obszarze kontynentu. Oficerowie i żołnierze poprzez udział w prowokowanych przez mocarstwo konfliktach (Gruzja, Krym, Donbas, Syria) nabierają coraz większego doświadczenia bojowego. Jeszcze w tym miesiącu weterani przejmą funkcje dowódcze w armii. Przy awansie brane będą pod uwagę konkretne sukcesy w walce. I wreszcie czwarty czynnik – ciągły wzrost wydatków na zbrojenia. Wydatki na obronę narodową, bezpieczeństwo i działalność ochrony prawa podniosą się do 30 proc. budżetu federalnego w trzech kolejnych latach. Po takiej diagnozie Szwecja postanowiła zareagować. W ciągu sześciu lat liczebność armii ma wzrosnąć z 33 do 50 tys. Wzrośnie liczba powołań do wojska z powszechnego poboru, przywróconego w ubiegłym roku. Wzmocnione mają być lotnictwo (dziś już czwarte miejsce w NATO) i flota podwodna. Założenie – zachować zdolność obronną przez trzy miesiące. Chcesz pokoju? Gotuj się do wojny!

W piątek 1 marca o godz. 18.00 spod gmachu Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie rusza coroczny Warszawski Marsz Żołnierzy Wyklętych. „Wielu z nich wciąż nie doczekało się godnego uczczenia. Co więcej, decyzją władz stolicy patronami ulic w Warszawie zostaną znów przedstawiciele komunistycznego reżimu. Dla nas wzorami pozostają ci, którzy stanęli do walki z wrogami naszej ojczyzny. Dlatego w dniu ich święta chcemy przypomnieć warszawiakom i wszystkim Polakom o ich bohaterstwie. Wszystkich, którym leży na sercu dobro Polski i pamięć o żołnierzach wyklętych, zachęcamy do udziału w marszu" – apelują organizatorzy. Szczególnie dziś, kiedy Warszawą rządzą ludzie pozbawieni szacunku do polskiej narracji historycznej.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6c0f73be05

Modowa etymologia

Marta Kaczyńska-Zielińska

Śmierć Karla Lagerfelda (jednego z największych dyktatorów mody ostatnich dziesięcioleci) – jak każde odejście powszechnie poważanej postaci – wywołuje falę zainteresowania zarówno jego twórczością, jak i szeroko pojętym zjawiskiem kształtowania stylów na przestrzeni dziejów.

Globalizacja, upowszechnienie internetu i dominacja wielkich koncernów odzieżowych sprawiają, że przemieszczając się po świecie, oglądamy wiele takich samych witryn sklepowych i niezależnie od długości czy szerokości geograficznej nosimy te same lub bardzo podobne ubrania. Oryginalność strojów uwarunkowana kulturą danego kraju ogranicza się zasadniczo do niszy folkloru ludowego. Style już się nie przenikają, bo wszędzie modne i funkcjonalne jest mniej więcej to samo. Brak w naszych ubraniach charakterystycznych, unikalnych elementów.

W przedmowie do „Słownika mody" autorstwa Elżbiety i Andrzeja Banachów (Wiedza Powszechna, Warszawa 1962) wskazano, że ubiór stanowi najbardziej uchwytny i wymowny przejaw historii oraz kultury. Wertując strony wspomnianej książki, odkrywamy fascynujący, zaskakujący świat damskiej i męskiej garderoby sprzed setek lat, którego śladów przeważnie próżno szukać w dzisiejszych szafach, a słownictwo opisujące poszczególne elementy strojów ma obecnie zupełnie inne znaczenie.

Popularne dziś imię w swojej zdrobniałej formie Amelka oznaczało niegdyś damskie pudełeczka, a pod koniec XVII w. torebki. Nędza to nie tylko niedola i ubóstwo, lecz przed wiekami materiał wykonany z jedwabiu. Buliony to nie tylko bazy wielu zup, lecz ozdoby w formie grubych, nałożonych na materiał złotych i srebrnych nitek. Zabawnie brzmiące słowo „ciasnocha", przywołujące na myśl co najwyżej określenie służące opisaniu zbyt małej przestrzeni, przed laty było nazwą wąskiej i taniej za sprawą oszczędności materiału spódnicy noszonej na wsiach. Brzmiący dziś nieco wulgarnie cyc to bawełniana tkanina, która za panowania króla Stasia była często używana do szycia sukienek, firanek lub do tapicerowania mebli. Fałszura, zapewne niesłusznie kojarzona z fałszem, to zaś popularna w XVI w. w Polsce długa suknia, a zawierucha to nie wietrzna pogoda, ale nazwa zimowej czapki. Furiatka, będąca synonimem porywczej kobiety, to niegdyś damski, zwiewny strój znany we wspomnianej wyżej epoce.

Ciekawostkę niemałą w dobie perfekcjonizmu skoncentrowanego zwłaszcza na sylwetce, a w szczególności odpowiednio smukłej talii, stanowi z pewnością modny w drugiej połowie XVI w. tzw. gęsi brzuch. Według ówczesnych kanonów mody panowie i panie powinni posiadać sylwetki wzorowane na ptasich, a w szczególności brzuchy o kształcie przypominającym wydłużony trójkąt – wydatne w dolnej części. Trudno to sobie dziś wyobrazić, ale w celu uzyskania odpowiedniego efektu wizualnego w damskich i męskich ubraniach instalowano specjalne wkładki zrobione z waty i drewienek lub fiszbin.

Kawalerka to nie jednopokojowe mieszkanie, ale bliżej niesprecyzowany strój panieński. Kosa, przywołująca dziś na myśl dawne żniwa, to określenie luźno splecionego warkocza włosów, u dołu rozpuszczonych. Onomatopeja znana z literatury – kukuryku w XVIII w. była nazwą przybrań kobiecych fryzur przypominających koguci grzebień. Potrzeby to sznurki, taśmy, które spinały części ubiorów zamiast guzików, a pamiętane jeszcze przez niektórych i dziś reformy to część ocieplanej damskiej bielizny. Rotunda, przywodząca na myśl słynny, modernistyczny budynek w centrum Warszawy, to nazwa kobiecego płaszcza.

Moda – jak widać – może być interesująca nie tylko z uwagi na ciekawe zestawienia barw i krojów, lecz również z perspektywy językoznawstwa, a w szczególności etymologii.

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość, że odszedł od nas

KS. PRAŁAT
STANISŁAW KRZYWIŃSKI

wybitny i niezłomny kapłan, zasłużony dla Ojczyzny.
Inicjator petycji księży diecezji przemyskiej o zaniechanie represji wobec uczestników strajków z 1976 r.
Wielki przyjaciel „Solidarności", wspierał jej podziemne struktury.
W latach 80. wyznaczony przez bpa Ignacego Tokarczuka do kontaktów z opozycją, rozpracowywany przez aparat bezpieczeństwa.
Za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce odznaczony przez śp. prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie...

Marek Kuchciński
Marszałek Sejmu

44/0219/F

eprasa.pl 6c0f73be05

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Sposób na oglądalność

Rachel Johnson, siostra byłego brytyjskiego ministra Borisa Johnsona, rozebrała się podczas debaty w studiu Sky News. Chciała pokazać, że „brexit pozostawi Wielką Brytanię nago". Rachel Johnson dołączyła do protestu dr Victorii Bateman, która na podobny krok zdecydowała się kilka dni wcześniej. „W hołdzie dr Bateman postanowiłam pójść w jej ślady" – powiedziała Johnson i zdjęła w studiu bluzkę. Gorzej będzie, gdy ta forma protestu przypadnie do gustu np. polskim feministkom. Polscy widzowie mogliby tego nie udźwignąć...

7,5 proc.

– o tyle wzrosły w styczniu 2019 r. wynagrodzenia w porównaniu z tym samym okresem roku ubiegłego – podał Główny Urząd Statystyczny.

1,675 mln zł

– taki podatek zapłaciła w 2017 r. spółka Uber Polska. Był to największy podatek odprowadzany przez wszystkie korporacje działające w branży przewozowej.

100 tys.

– tyle osób rozliczyło się z fiskusem za pomocą usługi Twój e-PIT tylko w pierwszej dobie funkcjonowania rządowej usługi.

Jak wiewióry

Naukowcy mają nowe newsy dla ludzi pragnących nadążyć za czasem, postępem, osiągnięciami. Najnowsze badania wykazały, że orzechy, choć kaloryczne, nie powodują przybierania na wadze. Oczywiście pod warunkiem, że spożywa się je „w rozsądnych ilościach". Z badań wynika, że osoby jedzące orzechy regularnie mniej przybierają na wadze niż ci, którzy z nich zrezygnowali. Szkoda tylko, że naukowcy ciągle zmieniają zdanie. A swoją drogą takie badania, z których wynika, że coś spożywane „w rozsądnych ilościach" nie szkodzi, to i ja mogę przeprowadzić. Oraz takie, że nadmiar dowolnej rzeczy każdemu może zaszkodzić.

Przekupstwo

„Władze nadbrzeżnego miasteczka Riomaggiore na północy Włoch ogłosiły, że zapłacą 2 tys. euro, czyli około 8,5 tys. zł, rodzicom za posłanie każdego dziecka do lokalnej szkoły podstawowej. Chcą tym samym zatrzymać odpływ uczniów do szkół w większych miastach" – informuje rp.pl. We wspomnianym miasteczku mieszka raptem 1,4 tys. osób, a tylko pięćdziesiątka dzieci chodzi do miejscowej szkoły podstawowej. Tymczasem liczba turystów, którzy każdego roku wpadają do Riomaggiore, sięga aż 3 mln. Ja bym się chyba dała przekupić...

eprasa.pl 6c0f73be05

Stop Juncker

Po akcji „Stop Soros" przyszła pora na akcję „Stop Juncker"? Rusza nowa kampania informacyjna węgierskiego rządu dotycząca planów Brukseli, mających na celu zachęcenie do imigracji. „Jednym z jej elementów są plakaty, na których znajdują się wizerunki przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana-Claude'a Junckera i miliardera George'a Sorosa, którzy zdaniem rządu Viktora Orbána chcą wspólnie narzucić Węgrom i innym krajom UE przymusowe »kwoty uchodźców«" – informuje Pch24.pl. Na plakacie pojawia się także hasło mówiące o tym, że Węgrzy mają prawo wiedzieć, co chce zrobić Bruksela. Władze ostrzegają ponadto, że propozycje Unii to realizacja globalnego planu Sorosa, które zagrażają bezpieczeństwu Węgier. Gdyby w Polsce ktoś wpadł na taki pomysł, opozycja gotowa nam ściągnąć na ulice wozy opancerzone z unijną flagą. Orbánowi trzeba przyznać jedno – ma cojones!

> *Warszawa musi być miastem przyjaznym, tolerancyjnym i otwartym* – powiedział prezydent stolicy Rafał Trzaskowski. I zaraz ogłosił powstanie specjalnego hotelu oraz odrębnego centrum społeczno-kulturalnego dla osób LGBTQ. Bardzo to otwarte i przyjazne. Szczególnie dla wszystkich spoza LGBTQ.

Nasze słabe dzieci

Okazuje się, że dzisiejsze dzieci są słabsze od swoich rodziców z czasów ich dzieciństwa. „Gdyby obecny dziesięciolatek miał stanąć w szranki ze swoim rówieśnikiem z 1979 r., nie miałby szans z nim wygrać" – informuje Dziennik.pl. Dziś dziesięciolatek jest w stanie wytrzymać tylko osiem sekund wiszenia na drążku na ugiętych ramionach. 40 lat temu jego rówieśnicy wytrzymywali niemal trzy razy dłużej. Takie czasy – mięśnie się kurczą, a kciuki rosną.

Fot. Andrzej Wiktor; Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Ratusz idzie z ekstremą

Dominik Zdort

Drodzy czytelnicy tygodnika „Sieci"! Piszę o tym na tych łamach, bo jak nie ja, to kto was poinformuje?

Czy wiecie o tym, że prezydent jednego z nielicznych rządzonych przez PiS wielkich miast wszedł w sojusz z nacjonalistami? I podpisał deklarację o współpracy z naziolami?!

Co jest w tym dokumencie? Miasto powoła świetlice środowiskowe dla narodowców. W urzędzie municypalnym powstanie specjalne biuro wspierające nacjonalistów krytykowanych przez „Gazetę Wyborczą" i atakowanych przez lewackie bojówki, powołany zostanie też pełnomocnik prezydenta miasta zajmujący się tym problemem.

Do szkół wprowadzona zostanie edukacja narodowa, lekcje zostaną oparte na ideach prezentowanych w pismach Romana Dmowskiego. W każdej placówce przynajmniej jeden specjalnie przeszkolony nauczyciel będzie monitorował zachowania niechętne wobec dzieci prezentujących poglądy patriotyczne.

Urząd miejski podejmie współpracę z organizacjami narodowców w dziedzinie upowszechniania ich idei, a prezydent miasta obejmie oficjalny patronat nad lokalnym marszem niepodległości.

Co więcej, ratusz finansowo wesprze kluby sportowe wskazane przez środowiska nacjonalistyczne. A od kontrahentów zawierających umowy z miastem będzie wymagał zatrudniania większej liczby pracowników o poglądach narodowych.

Pewnie niektórym z państwa to się bardzo podoba. Problem w tym, że nie ma takiego pisowskiego prezydenta, burmistrza, wójta ani sołtysa, który by taką deklarację z narodowcami podpisał. Znalazł się natomiast taki prezydent z PO. I to nie byle jaki – bo prezydent stolicy.

Rafał Trzaskowski podpisał deklarację o współpracy warszawskiego ratusza ze środowiskami homo- i transseksualnymi. Mniej więcej znalazło się w niej wszystko to, co opisałem powyżej, wystarczy tylko zamienić słowa „narodowcy" i „nacjonaliści" na „geje" oraz „lesbijki".

Nie jestem wielkim fanem ani pierwszych, ani drugich, ani trzecich, ani czwartych. Odstręcza mnie agresja ich wszystkich. Jestem za tym, aby nazioli, propagatorów Adolfa Hitlera, zwalczać wszelkimi prawnymi metodami.

Ale też uważam, że dla naszej cywilizacji, dla przyszłości ludzkości przynajmniej tak samo niebezpieczne jest upowszechnianie pederastii i ideologii homoseksualnej. To, że prezydent dużego miasta tego nie rozumie, jest dowodem na postępującą degenerację polskiej klasy politycznej.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 6c0f73be05

RZECZY POSPOLITE

Kormoran i orzeł

Tomasz Łysiak

Bycie ekologiem to trudne zajęcie. Ja nim zostałem, gdy się okazało, że nieskorzystanie ze słomki do napojów na warszawskim Grochowie może uratować dziesiątki żółwi na Galapagos, którym te właśnie słomki wbijają się w pyski. Poruszony widokiem biednego stworzenia, początkowo usiłowałem prześledzić tajemniczą drogę, jaką miałaby pokonać słomka z worka pełnego posegregowanych plastikowych śmieci do oceanu, ale szybko zrezygnowałem i zaufałem wiedzy oraz intuicji doświadczonych ekologów. Potem broniłem korników i dębów, które są domkami korników, przed szyszkami, a raczej Szyszkami.

Dalej przyszły dziki, których broniłbym własnym ciałem przed zakusami myśliwych, gdyby mnie nie powstrzymała Komisja Europejska, która jednak stwierdziła, że odstrzał jest niezbędny – wtedy lekko ustąpiłem.

Teraz mam nowe pole do walki – Mierzeję Wiślaną. Ponieważ wycięto na niej pas sosen, poczułem cios w moim zielonym sercu. Co więcej, dowiedziałem się, że w związku z wyrzynaniem gigantycznej liczby drzew pod przekop, zagrożonych jest wiele gatunków ptaków. W tym kormoran, który odchodami już spopielił hektary lasu, i gdyby nie mierzeja, mógłby spopielić więcej. W dodatku usłyszałem, że z samego Kremla protestuje car Władimir Władimirowicz Putin. Carowi leży – jak wiadomo – na sercu dobro pustułki zimorodnej, gęgawca wędrownego, żółtodzioba trzcinianego, pełzawki trawiennej, szczekozłotka alpejskiego (aurus aurus szczekotus) i kilku gatunków żab zamieszkujących ten pas zieleni pod wykop – a jeszcze... śliniacza olbrzymiego, ropusznicy oraz śluzopełzca bagiennego. A ja zawsze, jako ekolog, wsłuchiwałem się w głos carów. Oni już w czasie uchwalenia Konstytucji 3 maja wiedzieli, że nasze inwestycje, np. w wojsko, są nieekologiczne. I słusznie, bo jak polskie wojsko idzie, to gniecie trawę, zaskrońce oraz stokrotki. Moi antenaci, ekolodzy sprzed kilkuset lat, też protestowali przeciwko deptaniu trawy i zaskrońców oraz szli pod znakami dwugłowego czarnego orła, by ten rzadki gatunek otoczyć opieką i uchronić przed orłem białym, który – jak wiadomo – gatunkiem chronionym wedle ekologów nie jest. Ważniejszy kormoran niż orzeł – takie hasło przyświeca nam dzisiaj i przyświecać będzie zawsze.

Łóżko w drzazgach

Piotr Cywiński

Jeden miał na imię Bill, drugi Gerhard. Pierwszy był jeszcze wtedy prezydentem USA, drugi kanclerzem Niemiec. Już wówczas stali się bohaterami seksskandali. Jaka jest różnica między Clintonem a Schröderem? – żartowali nasi sąsiedzi zza Odry. Schröder się z nimi wszystkimi żenił – brzmiała odpowiedź. Ten pierwszy miał tzw. aferę rozporkową w oral, sorry, w oval office. Najpierw zarzekał się na wszystkie świętości przed rodakami, że z praktykantką Moniką to on nic, nigdy w życiu, a gdy ta przedstawiła niepodważalne dowody na swej garderobie, uderzył się w piersi: skłamałem, przepraszam, kocham żonę, kocham naród, God bless America, praktykantka poszła w diabły, Bill został...

Ze Schröderem było inaczej. On się faktycznie z nimi wszystkimi żenił. Pierwsza była Eva. Cztery lata była. Gdy jeszcze była, zaczęła się Anna. I z nią potem sformalizował swój związek. Pod koniec Anny zaczęła się Hiltrud. I ona została jego ślubną. Ale poznał dziennikarkę Doris i też się stało. Dopóty, dopóki nie spotkał Koreanki, która od niedawna nazywa się po mężu Schröder-Kim So-yeon. Po drodze były plotki, jakoby Gerd miał jeszcze coś tam z bodyguardką, a i ze znaną moderatorką telewizyjną, te jednak zaszczytu nazwiska „po mężu" nie dostąpiły, więc to może tylko ploty.

My też mamy swój skandal na miarę naszych możliwości. Z prezydentem Andrzejem Dudą i małżonką Agatą nie wychodzi, bo ci jacyś staroświeccy, z pisowskim „duce" Jarosławem Kaczyńskim też nie, ten nie ma kogo zdradzać, premier Mateusz Morawiecki od szkoły podstawowej z tą samą Iwoną, ale... – yes, yes, yes! – mamy. Nasz Adonis, nasz Banderas, amant z urodą silną jak cios: poseł, mąż i ojciec Stefan Niesiołowski! Jurny, że aż podobno łóżko w drzazgi poszło. Biznesmeni mu ten mebel zmienili, a on zmieniał te, z którymi na tym meblu za pieniądze tychże biznesmenów ponoć ze trzydziestokrotnie z „...trudniącymi się zawodowo lub okazjonalnie". W rewanżu Stef miał tym biznesmenom załatwiać jakieś kontrakty. Ale to już przeszłość, liferanci seksuciech posła w areszcie, on sam jeszcze na wolności, tylko pewnie czegoś mu brak. Że niemoralne, że krzywoprzysięstwo i wiarołomstwo? Oj tam, oj tam, w końcu – jak pisał Jan Sztaudynger – „on był stały, tylko one się zmieniały". Cóż, jaki kraj, taki Banderas i taka seksafera...

eprasa.pl 6c0f73be05

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,

W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:

ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: KOBI GIDEON/GPO/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK X2, ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl 6c0f73be05

Morawiecki wygrywa z Netanjahu

eprasa.pl 6c0f73be05

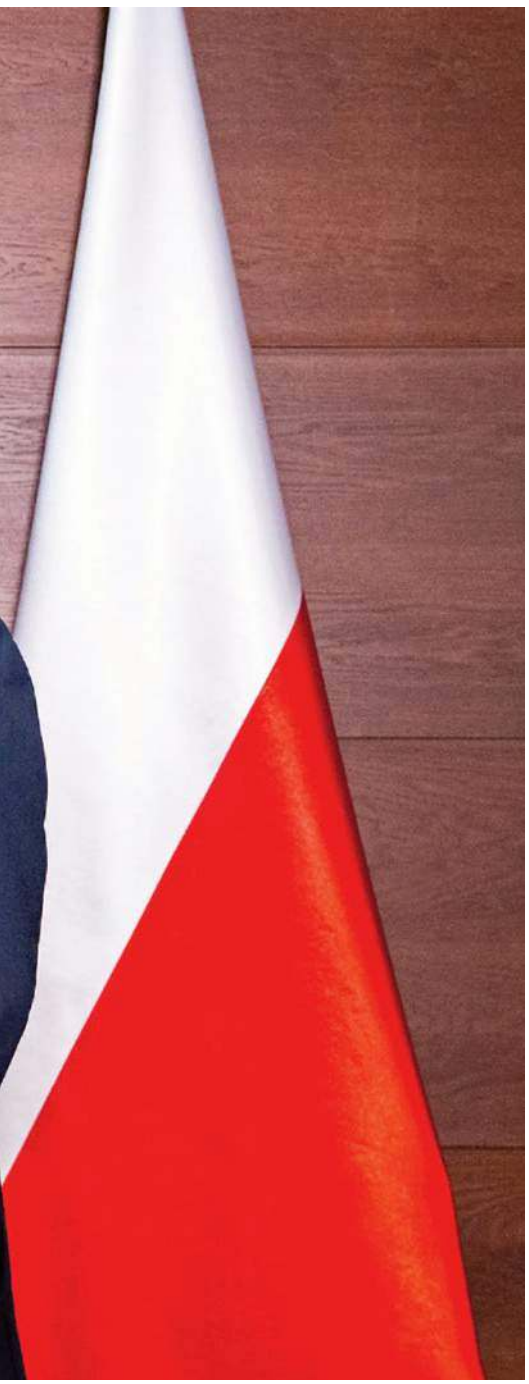

Fot. Tymon Markowski/MSZ

Spektakularne zablokowanie szczytu jerozolimskiego przez Morawieckiego wywołało irytację wielu środowisk żydowskich, ale po raz pierwszy nie na Polskę, lecz na Netanjahu

W skomplikowanej dyplomatycznej rozgrywce, jaka nie od dziś toczy się pomiędzy Warszawą a Jerozolimą, tym razem Polsce udało się ugrać sporo punktów. Zazwyczaj w przeszłości bywało odwrotnie, a już z pewnością tak było w ubiegłym roku, gdy wymyślony przez PiS sławetny artykuł 55A ustawy o IPN wymagał potem od polskiego rządu rozpaczliwego gaszenia niepotrzebnie wznieconego pożaru. Obecna dyplomatyczna wiktoria jest jednak tylko po części rezultatem działań polskiego rządu. W dużej mierze przyłożyli do niej rękę sami Żydzi, a ściśle rzecz biorąc – nieutemperowani uczuciowo liderzy rządzącej w Izraelu prawicy, z jej przywódcą Beniaminem Netanjahu na czele. Zarówno dla premiera, jak i dla jego współpracowników – nowego szefa dyplomacji Israela Katza i ministra oświaty Naftali Bennetta – emocjonalne wypominanie polskich historycznych win wobec Żydów, i to w słowach daleko wykraczających poza polityczną poprawność, okazało się ważniejsze niźli realne sukcesy rządu, którego są członkami.

HISTORIA PONAD POLITYKĄ

Dziwny to przypadek, gdy zwłaszcza minister Katz, nim zaczął opowiadać o „antysemityzmie wyssanym przez Polaków z mlekiem matki", nie postawił sobie pytania, jaki cel z perspektywy swojego rządu chce w ten sposób osiągnąć? Gazeta „Jerusalem Post" (od której przekłamanych doniesień o słowach Netanjahu z muzeum Polin zaczął się obecny kryzys), po odwołaniu przez Polskę szczytu izraelsko-wyszehradzkiego, pisze teraz tak: „Czyż naszym celem nie było zorganizowanie szczytu V4 w Izraelu po to, by stworzyć wewnątrz UE sojusz neutralizujący antyizraelskie poczynania, co służy interesom Jerozolimy? A skoro tak, to przecież obowiązkiem ministra spraw zagranicznych było uczynić wszystko, aby do tej konferencji doszło". Tymczasem Katz postąpił dokładnie odwrotnie, doprowadzając do utopienia misternego projektu politycznego, dzierganego od wielu miesięcy przez izraelską dyplomację. Warto jeszcze dodać, że „Jerusalem Post" nie jest w Izraelu gazetą opozycyjną wobec prawicowego rządu, a jej naczelny to niegdysiejszy bliski współpracownik ministra Bennetta, jednego z tych, którzy po wybuchu kryzysu postanowili dosypać jeszcze trochę węgielków do palącego się już ognia.

Sam premier Morawiecki i wielu polskich analityków skłonnych jest przypisywać zachowanie liderów izraelskiej prawicy zbliżającym się w tym kraju wyborom. Jest w tym jednak tylko część prawdy. Wybory istotnie zostały rozpisane w Izraelu na 9 kwietnia, a stawką w nich jest kolejna, piąta kadencja premiera Netanjahu i jego prawicowej koalicji. Rządząca narodowa partia Likud wraz z religijnym Żydowskim Domem to koalicja stawiająca na pobudzanie żydowskich emocji narodowych; można więc istotnie przypuszczać, że sięganie po resentyment wobec Polaków w jakiejś mierze może służyć mobilizacji jej wyborców. Ale prawdę mówiąc, przy dużej słabości izraelskiej lewicy także główny konkurent wyborczy Netanjahu – gen. Benjamin Gantz, który w grudniu 2018 r. z sukcesem założył partię o nazwie Prężność Izraela – w kwestiach narodowych nie różni się istotnie od obecnej władzy.

Głoszona dziś w Polsce teza, że polonofobiczne namiętności żydowskich polityków są tylko koniunkturalną przedwyborczą grą, może się okazać błędna. Nie dalej jak rok temu, w trakcie kryzysu wokół artykułu 55A, tak samo ostro i emocjonalnie o polskich historycznych winach wobec Żydów mówili politycy izraelskich partii umiarkowanych, np. Jair Lapid, i to w czasie, w którym na horyzoncie nie rysowały się tam jeszcze nowe wybory. Raczej powinniśmy więc zakładać, że potrzeba dawania świadectwa historii, nawet jeśli jest ona widziana bardzo subiektywnie, jest u wielu polityków izraelskich silniejsza od najbardziej realnych interesów

JAN ROKITA

eprasa.pl 6c0f73be05

państwa. Dlatego premier Morawiecki może się przeliczyć, zakładając, że wystarczy, by w Jerozolimie „opadł powyborczy kurz bitewny", aby retoryka tamtejszych polityków uległa przemianie. W Izraelu historia z reguły wygrywa z realną polityką. A gdy idzie o zdolność zimnego dyplomatycznego wyrachowania, żydowscy politycy nie różnią się zanadto od polityków polskich.

Zasługą Morawieckiego jest jednak to, że w nieoczywistej sytuacji, mając w pamięci ubiegłoroczny przegrany przez Polskę kryzys z Izraelem, szybko zdecydował się jednak na udramatyzowanie konfliktu. Postąpił skądinąd dokładnie tak, jak w podobnych sytuacjach postępują zawsze Izrael i diaspora żydowska, gdy ktoś ośmieli się podważyć żydowską narrację historyczną. Z emfatyczną przesadą oskarżył polityków izraelskich o „kłamstwa i rasistowski antypolonizm", po czym rozpoczął eskalowanie retorsji. Za wypowiedź Netanjahu w Polinie obniżył rangę polskiego uczestnictwa w jerozolimskim szczycie, a za słowa Katza – ogłosił bojkot szczytu. Być może Morawiecki, podobnie jak Izraelczycy, działał wyłącznie pod wpływem namiętnej potrzeby „obrony naszego dobrego imienia" (jak sam potem argumentował). Ale wolno założyć, że obok owej emocji wykazał także pewne polityczne wyrachowanie, wyczuwając, że koniunktura w tym kryzysie działa wyjątkowo na korzyść Polski. Zatem dla odniesienia sukcesu warto było ów kryzys mocno udramatyzować.

KRYTYKA IZRAELA

Istotnie bowiem kontekst historycznych rozliczeń polityków izraelskich z Polakami był dla Izraelczyków nad wyraz nieprzychylny. To Polska bowiem, na przekór Francuzom, Anglikom i Niemcom, właśnie co zrobiła Izraelowi przysługę, organizując w Warszawie wspólny zjazd izraelskiego premiera z kluczowymi państwami arabskimi, które dotąd odmawiały wszelkich z nim spotkań. A trzy dni później to polski premier miał się udać do Jerozolimy, aby tam – wespół z trzema wyszehradzkimi partnerami – nie tylko legitymizować twardą linię prawicowego rządu wobec Palestyny, lecz także swoją obecnością świadczyć w trakcie izraelskiej kampanii wyborczej o dyplomatycznych talentach samego Netanjahu oraz jego świetnych i rozległych stosunkach w Europie. Zarówno dla mediów izraelskich, jak i dla światowego lobby żydowskiego te dwa fakty czyniły akurat w tych dniach z Polski bardzo użytecznego sojusznika. Nic dziwnego, że tak łatwe popsucie tego politycznego teatru przez Netanjahu i jego ludzi wzbudziło zwłaszcza w żydowskiej diasporze (lecz także w samym Izraelu) najpierw zdziwienie, a potem protest.

> Zasługą Morawieckiego jest to, że szybko zdecydował się na udramatyzowanie konfliktu

Spektakularne zablokowanie szczytu jerozolimskiego przez Morawieckiego wywołało więc irytację wielu środowisk żydowskich, ale – co zrozumiałe – po raz pierwszy nie na Polskę, lecz na Netanjahu. Posypały się znane, bo skrupulatnie odnotowywane w Polsce słowa potępienia. Szef Światowego Kongresu Żydów Ronald Lauder uznał język polityków izraelskich za dowód „nietolerancji i myślowej ciasnoty"; opozycyjny dziennik „Haaretz" oskarżył ich o „bawienie się historią", zauważając przy tym z satysfakcją, iż „ktoś pokazał im, że przekroczyli dopuszczalne granice"; zaś Związek Polskich Gmin Żydowskich oświadczył nawet, iż izraelscy politycy „znieważyli też nas – polskich Żydów". Tym razem werdykt w sprawie sporu polsko-izraelskiego wydali sami Żydzi. I to było rozstrzygające dla tej dyplomatycznej rozgrywki.

WSPÓLNE INTERESY

Można żywić pewną nadzieję, że wydarzenia obecne będą jakąś lekcją na przyszłość dla polityków izraelskich, skłaniającą ich – przynajmniej niekiedy – do łagodzenia tonu wypowiedzi, gdy idzie o historyczne rozliczenia z Polakami. Tak się bowiem dzisiaj składa, że choć ani Polska dla Izraela, ani Izrael dla Polski nie jest pierwszoplanowym partnerem politycznym, to jednak oba kraje wiążą całkiem niebłahe i bardzo realne interesy polityczne. Dla Jerozolimy budowa środkowoeuropejskiego bloku, który od czasu do czasu, mając także wsparcie ze strony Niemiec, równoważyłby antyizraelskie nastawienie unijnej centrali w Brukseli i większości państw łacińskich, z Francją na czele, jest bez wątpienia grą wartą świeczki. A bez Polski tego rodzaju idea nie ma szans na powodzenie. To, że Polska ma ostatnio także na pieńku z Paryżem i brukselską centralą, czyni z naszego kraju tym bardziej frapującego politycznego przyjaciela.

Z kolei z perspektywy Warszawy bliskie więzi polityczne z Izraelem są najlepszą „polisą ubezpieczeniową", gdy idzie o wrażliwe, delikatne i niestabilne relacje ze światowym lobby żydowskim, zwłaszcza w Ameryce, np. w takich materiach, jak wspomniane ostatnio w Warszawie przez sekretarza stanu Michaela Pompeo żydowskie roszczenia reprywatyzacyjne. Dla Polski atrakcyjna jest także współpraca wojskowa i wywiadowcza z Izraelem, a to ze względu na jakość izraelskiego sprzętu wojskowego i wywiadu. Odkąd w 2011 r. ministrowie Bogdan Klich i Ehud Barak zawarli pierwszą umowę o współpracy wojskowej, odnowioną zresztą za rządów PiS, polskie myśliwce F-16 ćwiczyły obronę granic Izraela, zaś izraelscy komandosi zdobywali lotnisko w Mirosławcu w ramach ćwiczeń Saber Strike 2018. I jak deklarował jasno szef izraelskiego koncernu zbrojeniowego IMI Systems: „Polityka naszego rządu zakłada nawiązanie długofalowych i trwałych relacji z polskim przemysłem".

Co jednak w tym wszystkim najważniejsze – zarówno Warszawa, jak i Jerozolima znajdują się pod ustawiczną presją ekipy Donalda Trumpa, której zależy na tym, aby kraje uznawane dziś przez Biały Dom za priorytetowych i oddanych sojuszników Ameryki były takimi samymi sojusznikami wobec siebie nawzajem. I w Warszawie, i w Jerozolimie jest całkiem jasne, że w tym wypadku stawką jest bezpieczeństwo każdego z naszych krajów.

eprasa.pl 6c0f73be05

Relacje polsko-izraelskie mogą być doskonałym instrumentem w grze o wypchnięcie Polski z orbity amerykańskiej. Dlatego konflikt polsko-żydowski jest bardzo na rękę Rosji

Kto nas rozgrywa?

Nieustanne oskarżanie Polski o współudział w Holokauście czy kłamliwa zbitka słów „polski obóz koncentracyjny" stygmatyzują i prowadzą do izolacji. Gwałtownie reagująca na te oskarżenia Polska jest przedstawiana jako niepoważny partner, klin wbity między Rosję a Zachód, który uniemożliwia porozumienie

Fot. East News/Aleksey Nikolskyi

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Sekwencja wydarzeń była następująca. Polska, realizując własny strategiczny interes polegający na wzmocnieniu amerykańskiej obecności w naszej części Europy, zorganizowała w Warszawie konferencję poświęconą sytuacji na Bliskim Wschodzie. Nie chodziło nam o Iran, z którym Polska nie ma bliskich związków i którego polityka jest nam w dużym stopniu obojętna. Chodziło o Stany Zjednoczone, które są dziś najważniejszym gwarantem naszego bezpieczeństwa.

Stanom Zjednoczonym zależało z kolei na budowie antyirańskiego porozumienia, które ułatwi obronę Izraela. Waszyngton postawił więc przed warszawską konferencją jeden główny – choć niezbyt nagłaśniany – cel. Miała ona pomóc Izraelowi porozumieć się z arabskimi rywalami Iranu, przede wszystkim z Arabią Saudyjską i współpracującymi z nią niektórymi krajami Zatoki Perskiej.

Konferencja miała się też stać politycznym sukcesem premiera Beniamina Netanjahu przed czekającymi go kwietniowymi wyborami w Izraelu. Dla oskarżanego o korupcję i zaciekle zwalczanego przez opozycję we własnym kraju stawka była więc naprawdę wysoka.

Zatem każdy kraj z tej trójki miał wynieść z konferencji jakąś korzyść dla siebie: Polska – wzmocnienie bezpieczeństwa, a Stany Zjednoczone i Izrael – antyirańskie porozumienie, przy czym dla Netanjahu udział w konferencji był szczególnie ważny dla jego dalszej kariery politycznej.

DZIWNA SERIA

Inni gracze na międzynarodowej scenie widzieli to inaczej. Konferencja nie wzbudziła entuzjazmu w Unii Europejskiej. Większość europejskich stolic uważa wspólną grę amerykańsko-izraelską wobec Iranu za dość ryzykowną, wiele rządów obawia się też,

eprasa.pl 6c0f73be05

że zaostrzenie sytuacji pozbawi ich państwa zawartych niedawno lukratywnych kontraktów gospodarczych z Teheranem.

Z jeszcze większym dystansem, wręcz z wrogością, warszawską konferencję przyjęła Moskwa. Z jej punktu widzenia to otwarcie kolejnego frontu w walce z Amerykanami. Rosja nieustannie dąży do wypchnięcia albo przynajmniej ograniczenia amerykańskiej obecności zarówno w Europie, jak i na Bliskim Wschodzie.

Polska, organizując konferencję, miała więc sporo do stracenia, ale też wiele do zyskania. Skoro naszym priorytetem jest bezpieczeństwo państwa i zacieśnienie relacji z Ameryką, to – pomimo krytyki i ataków – 13 lutego w Warszawie rozpoczęto obrady.

I w tym momencie zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Najpierw sekretarz stanu Mike Pompeo ogłosił symbolem wspólnych losów polsko-amerykańsko-żydowskich byłego ubeka i oprawcę Franka Bleichmana. Wkrótce potem czołowa komentatorka amerykańskiej stacji NBC Andrea Mitchell obwieściła w swojej korespondencji z Warszawy, że powstanie w getcie warszawskim było zrywem przeciwko „polskiemu i nazistowskiemu reżimowi". Obie wypowiedzi wzbudziły gwałtowny sprzeciw, zwłaszcza oczywiste kłamstwo Andrei Mitchell. Złe emocje i zabarwione niekiedy antysemityzmem komentarze oburzonych internautów zniknęły dopiero wtedy, gdy po interwencji amerykańskich środowisk żydowskich Mitchell opublikowała zdawkowe przeprosiny.

Gdy już się wydawało, że sytuacja została opanowana, do akcji wkroczyło „The Jerusalem Post", które doniosło w tytule, że Netanjahu podczas wizyty w muzeum Polin miał powiedzieć, iż Polacy są współsprawcami Holokaustu. Jak zwykle zaczęło się gorączkowe poszukiwanie dokładnego cytatu, a po jakimś czasie wyszło na jaw, że Netanjahu odpowiadał na pytanie izraelskiego dziennikarza i odnosił się do ustawy dyfamacyjnej. Inaczej mówiąc, chciał powiedzieć, że za głoszenie tezy, jakoby Polacy brali udział w Holokauście, nikomu w Polsce nic nie grozi.

Ta – mówiąc eufemistycznie – bardzo niefortunna wypowiedź położyła się cieniem na konferencji. Przyniosła też skutki polityczne. Premier Mateusz Morawiecki odwołał swój udział w zaplanowanym kilka dni później szczycie Grupy Wyszehradzkiej w Izraelu, podczas którego miała zostać scementowana dotychczasowa współpraca Netanjahu z szefami rządów państw naszego regionu.

Gwóźdź do trumny wbił swoim absolutnie skandalicznym komentarzem izraelski szef dyplomacji. Powołany tymczasowo na ministra Israel Katz w wywiadzie dla izraelskiego kanału telewizyjnego i24News zacytował haniebne słowa byłego premiera Izraela Icchaka Szamira, który w 1989 r. stwierdził, że „Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki". Po tych słowach premier Morawiecki podjął decyzję, że nie tylko on sam, lecz żadna delegacja z Polski nie pojedzie na szczyt V4 do Izraela. Szczyt został więc odwołany, a spotkanie premierów Węgier, Czech i Słowacji z Netanjahu odbyło się w innym formacie.

CYNIZM CZY OBŁĘD?

Na pierwszy rzut oka przypomniana powyżej sekwencja zdarzeń wydaje się absurdalna. Bo oto Izrael zaczyna nagle ostro grać przeciwko państwu, które dosłownie przed chwilą udzieliło wsparcia jego polityce. Netanjahu, jakkolwiek by patrzeć, główny beneficjent konferencji, zachowuje się jak słoń w składzie porcelany, a jego świeżo powołany minister w kilka godzin po nominacji doprowadza swoimi rasistowskimi uwagami do poważnego kryzysu dyplomatycznego. Trudno ocenić, czy mamy do czynienia z ludźmi skrajnie nieodpowiedzialnymi, niezrównoważonymi, czy też jest to całkiem świadoma gra.

A jeśli świadoma, to w jakim celu? Odpowiedzią może być ostra kampania wyborcza w Izraelu i konieczność zabiegania rządowych polityków o całkiem liczny – jak pokazały zeszłoroczne perypetie wokół ustawy dyfamacyjnej – antypolski elektorat. Ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Bo uwarunkowania nawet tak zaciętej kampanii wyborczej nie wymagają przecież rujnowania relacji z Polską.

W tym miejscu muszą się pojawić dwa pytania: kto bardziej straci na awanturze wokół konferencji: Polska czy Izrael? A jeśli straci Polska, to kto zyska?

Na pierwsze z tych pytań odpowiedział już sam Izrael. Skoro jego rząd (o opozycji i mediach nawet nie wspominając) uznał, że można sobie pozwolić na takie traktowanie niedawnego partnera, to oznacza to, że ten partner nie jest już partnerem. Pozostaje więc pytanie drugie.

ROSYJSKIE PALUSZKI

Upokorzenie – bo chyba można tak to nazwać – Polaków z pewnością jest na rękę tym wszystkim, którym nie podoba się kierunek polityki zagranicznej przyjęty przez rząd PiS. Choć nikt w Unii Europejskiej nie komentował głośno awantury, można się domyślać, że uznano ją za nauczkę dla tych, którzy wyłamują się z szeregu i angażują w globalne gry prowadzone przez Donalda Trumpa i jego sojuszników. Świadczą o tym liczne reakcje czołowych polityków PO rezonujących zwykle nastroje Berlina i Brukseli. Jednak ta złośliwa satysfakcja nie oznacza jeszcze, że ktoś w Unii grał na wywołanie awantury.

Kto zatem grał? Wypowiedzi Pompeo o Bleichmanie nie muszą świadczyć o złej woli amerykańskiego sekretarza stanu, z pewnością nie miał on pojęcia o tym, że szanowany deweloper był kiedyś brutalnym oprawcą. Nawet kłamliwa korespondencja Andrei Mitchell może być – przy maksimum dobrej woli – zrzucona na karb niewiedzy (choć mają zapewne rację ci, którzy przypominają, że Mitchell należąca do obozu zagorzałych wrogów Donalda Trumpa z pewnością nie przepada za jego sojusznikami). Znacznie trudniej usprawiedliwić Beniamina Netanjahu, a już zupełnie nie da się Israela Katza.

Pewien trop rzuca tu prof. Andrzej Zybertowicz, który komentując w radiowej Trójce manipulację „The Jerusalem Post", od której – przypomnijmy – zaczęła się awantura dyplomatyczna z Izraelem, doszukuje się w niej „rosyjskich paluszków". „Mam wrażenie, że jest to przejaw jakiejś wojny informacyjnej toczonej z Polską, że chodziło

eprasa.pl 6c0f73be05

o odwrócenie uwagi od tego, co jest kluczowe dla tej konferencji" – powiedział prof. Zybertowicz. „Jak wiadomo, mniejszość rosyjska jest bardzo wpływowa w izraelskiej polityce" – zauważył.

PODGRZEWANIE NASTROJÓW

Nie powinno ulegać chyba żadnej wątpliwości, że jeśli ktoś zyskał na pogorszeniu relacji polsko-izraelskich (a z uwagi na wpływową żydowską diasporę komplikującym również stosunki z Ameryką), to tym kimś jest najpewniej ekipa na Kremlu.

Rosjanie bardzo sprawnie wykorzystują we własnym interesie różne konflikty, w tym także te zadawnione. Popatrzmy, jak rozgrywają polską pamięć o ludobójstwie na Wołyniu. Jak podgrzewają stare krzywdy, aby wzbudzić niechęć do Ukrainy. Rzecz jasna, sami Ukraińcy, stawiając Stepana Banderę i upowców na piedestale, nie ułatwiają porozumienia z Polakami, wręcz przeciwnie. Jednak należy pamiętać, że w żywotnym polskim interesie jest istnienie niepodległej Ukrainy. Jeśli damy sobie wmówić, że lepiej już graniczyć z Rosją niż z banderowcami, to staniemy się dla Moskwy następnym celem.

Podobnie jest w relacjach polsko-żydowskich. Przez jakiś czas przyglądałem się w internecie różnym anonimowym trollom wypisującym antysemickie treści. Jak się okazało, zwykle ci sami trolle rozpowszechniają również treści antyukraińskie. Te dwie rzeczy idą bowiem często w parze i są zgodne z ogólną strategią rosyjskiej wojny informacyjnej (czy też raczej dezinformacyjnej) skierowanej przeciw Polsce.

Konflikt polsko-żydowski jest Moskwie bardzo na rękę. Właśnie dlatego, że utrudnia współpracę polsko-amerykańską. W Polsce antysemityzm rozsiewany jest głównie przez trolli internetowych, których zasięg jest dość ograniczony. Jednak w Izraelu prowokacyjne materiały antypolskie pojawiają się w czołowych mediach, zarówno w wersji hebrajskiej, jak i angielskiej. Nie twierdzę tutaj, że te nastroje są dziełem rosyjskiej diaspory w Izraelu, pojawiły się bowiem znacznie wcześniej niż diaspora i mają konkretny związek z wojennymi traumami. Sądzę jednak, że mogą być w kluczowych momentach wykorzystywane i podgrzewane, podobnie jak to się dzieje z wykorzystywaniem ludobójstwa w Wołyniu do wzniecania antyukraińskich nastrojów w Polsce.

> W Polsce antysemityzm rozsiewany jest głównie przez trolli internetowych, których zasięg jest ograniczony. W Izraelu prowokacyjne materiały antypolskie pojawiają się w czołowych mediach

Dlatego nie zdziwiłbym się, gdyby prof. Zybertowicz miał rację, sugerując, że artykuł w „The Jerusalem Post" nie był całkiem przypadkowy.

WSPÓLNY PUNKT WIDZENIA

Warto tu przypomnieć, że izraelska (żydowska) narracja historyczna jest w dużym stopniu zbieżna z rosyjską. To Armia Czerwona wyzwoliła hitlerowskie obozy koncentracyjne, to ona – zajmując Polskę – zatrzymała piekło Holokaustu. To wszystko zresztą prawda, tyle że w ślad za tym idzie coraz szerzej kolportowane twierdzenie, że tym samym Stalin ocalił resztki Żydów, którzy przetrwali niemiecką okupację przed śmiercią ze strony rozszalałych Polaków.

Zarówno wielu Żydów, jak i Rosjan łączy tutaj wrogość wobec polskiego punktu widzenia, który jest skrajnie odmienny i głosi, że Armia Czerwona zniewoliła Polskę. Licznym środowiskom żydowskim nie potrzeba więc nawet podjudzania ze strony rosyjskiej diaspory, aby myśleć o Polsce jak najgorzej i oskarżać ją o największe zbrodnie. Ale warto zauważyć, że bardzo na tym korzystają Rosjanie.

Moskwie nie chodzi przy tym o stosunki polsko-izraelskie czy – szerzej – o polsko-żydowskie. One są tylko instrumentem w zupełnie innej grze, o wypchnięcie Polski z orbity amerykańskiej. Nieustanne oskarżenia Polski o współudział w Holokauście czy kłamliwa zbitka słów „polski obóz koncentracyjny" bardzo w tym pomagają. Rozpowszechniane w całym świecie stygmatyzują Polskę, prowadząc do jej izolacji. Gwałtownie reagująca na te oskarżenia Polska jest przedstawiana jako państwo rządzone przez emocjonalnie niezrównoważonych antysemitów, jako niepoważny partner, klin wbity między Rosję a Zachód, który uniemożliwia porozumienie.

LEKCJA HISTORII

Wokół nas trwa wojna informacyjna. Nie używa się tu rakiet, bomb ani czołgów. Ale jej cele są podobne jak w prawdziwej, gorącej wojnie. Chodzi o pokonanie wroga, o przesunięcie granic wpływów, o wymierne korzyści gospodarcze i polityczne.

Czy jesteśmy w stanie przetrzymać tę wojnę? Rafał Ziemkiewicz napisał niedawno, że być może należy się przeprosić z Niemcami albo nawet i z Rosją, bo – to już moja interpretacja – stawiając na Amerykanów, obrywamy ze wszystkich stron. Rzeczywiście obrywamy, ale oddawanie bezpieczeństwa Polski w ręce Berlina lub Moskwy wydaje mi się z historycznych powodów dość ekscentrycznym pomysłem.

Odpowiedzi szukałbym więc gdzie indziej, choć też w historii. Jesteśmy dzisiaj jak przedrozbiorowa Rzeczpospolita, targani zimną wojną domową i rozgrywani przez obcych. To tu widziałbym główne źródło problemu. Aby przetrwać, konieczne jest najpierw zawarcie pokoju tu, na miejscu, w Polsce. I nie chodzi o wielką zgodę, która jest niemożliwa (i niepotrzebna), lecz o ochłodzenie temperatury sporów i ustalenie pewnego minimum wspólnych interesów.

Walkę o szacunek świata zacznijmy od siebie. Wtedy łatwiej będzie nam dać odpór oszczercom.

eprasa.pl 6c0f73be05

Józef i Wiktoria Ulmowie byli wśród setek tysięcy Polaków, którzy, by ratować Żydów, narażali na śmierć swe dzieci

Co wyssaliśmy z mlekiem matek?

Kompendium niechcianej wiedzy o relacjach polsko-żydowsko-niemieckich

eprasa.pl 6c0f73be05

MACIEJ PAWLICKI

Światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnie. Pośród obelg i kłamstw, jakimi znowu obrzucani są Polska i Polacy, potrzebne nam są spokój, prawda oraz siła w jej głoszeniu. O spokój trudno, gdy nie widzi się wyjścia. A wyjściem jest właśnie prawda, wiedza. Tymczasem w niewiedzy tkwimy nawet my sami w podstawowej sprawie liczby Polaków, którzy ratowali Żydów przed niemiecką machiną zagłady. Politycy i publicyści wciąż mówią o 6,7 tys. polskich Sprawiedliwych. Tym samym stukrotnie zaniżają liczbę polskich bohaterów. Dlaczego wykluczają bohaterstwo tak wielu? Z niewiedzy. Bo nagrodzeni medalami przez żydowski instytut Sprawiedliwi to zaledwie 1 proc. liczby Polaków, którzy ratowali Żydów.

W trwającej dyskusji – w Polsce i na świecie – znać musimy choćby podstawowy zestaw faktów: nieznanych, zapomnianych, zakłamywanych, niechcianych. Zacznijmy od początku.

PARADISUS IUDAEORUM

1 Polska przez ponad 700 lat była domem większości Żydów, przyjmując wypędzonych Żydów z całej Europy. Żydów wygnano w Europie 47 razy, między innymi z: Anglii (1290), Niemiec (1012, 1182, 1346 i wielokrotnie później), Bawarii (1551), Holandii (1444), Węgier (1349–1526 i 1686–1740), Francji (1182, 1306 i 1394, 1682), Austrii (1420), Hiszpanii (1492), Portugalii (1497), Włoch (1540), Prus (1590), Czech i Moraw (1380, 1744), Kijowa (1886), Moskwy (1891).

Polska wygnanych Żydów przyjmowała, polscy królowie nadawali im przywileje (m.in. Henryk Pobożny i Kazimierz Wielki), prawo do kulturowej i religijnej wolności, samorządu i rozwoju. Prześladowani w całej Europie Żydzi (także paleni na stosach – Hiszpania, Portugalia 1506) w Polsce rządzonej przez Polaków czuli się bezpiecznie. Polski szlachcic za zabicie polskiego chłopa płacił grzywnę, a za zabicie Żyda karany był śmiercią. Żydzi więc przez wieki ciągnęli do Polski zewsząd, do Polski ściągali swe rodziny, wsie, miasta.

Kilkadziesiąt żydowskich pokoleń, a więc sto kilkadziesiąt milionów Żydów, swój byt i rozwój kultury zawdzięcza gościnności Polaków. Przez wieki Polskę nazywano w Europie „Paradisus Iudaeorum", czyli „rajem dla Żydów", a XVI-wieczny rabin krakowski Mojżesz ben Israel Isserles mówił: „Jeśliby Bóg nie dał Żydom Polski jako schronienia, los Izraela byłby nie do zniesienia".

2 Los Żydów radykalnie się pogorszył, gdy Polska upadła, gdy rozszarpana została na części. Zaborcy niemieccy, austriaccy i rosyjscy prowadzili wobec Żydów zupełnie inną politykę niż Polacy: likwidowali lub ograniczali ich samorządność, likwidowali przywileje, organizowali antyżydowskie pogromy.

3 Wielu Żydów było polskimi patriotami, by zacząć od dowódcy oddziału w insurekcji kościuszkowskiej Berka Joselewicza. Postać Żyda patrioty Jankiela sportretował Adam Mickiewicz w narodowym poemacie „Pan Tadeusz". W latach 1914–1918 obok kilkudziesięciu tysięcy Polaków ponad 600 polskich Żydów walczyło w Legionach o odzyskanie przez Polskę niepodległości.

4 W znowu wolnej Polsce Żydzi szybko odbudowali silną pozycję. W II Rzeczypospolitej w językach jidysz i hebrajskim istniało kilkaset szkół, 12 szkół wyższych, 15 teatrów, wydawanych było 130 czasopism. Wielu polskich Żydów stało się wybitnymi twórcami polskiej kultury, by wymienić tylko Leśmiana, Hemara czy Tuwima.

5 Zdarzało się, zarówno w I, jak i II Rzeczypospolitej, że Polaków i Żydów dzieliły konflikty. Ale w ogromnej większości na tle ekonomicznym. Płomienny adwersarz Żydów ks. Marceli Godlewski, proboszcz warszawskiej parafii Wszystkich Świętych, jeszcze ostrzejsze spory toczył z ewangelikami, uważając ich za „ukrytą opcję niemiecką". Okrzyknięty został „antysemitą", bo spierał się o prawo do równości: skoro – jak twierdził – Żydzi kupują tylko w sklepach żydowskich, tak samo Polacy kupować powinni tylko w sklepach polskich. Żydów za wiele rzeczy podziwiał i na kazaniach dla robotników stawiał za przykład: „Nie brak środków jest przyczyną naszej dzisiejszej nędzy, ale nasze niedołęstwo, brak energii, a przede wszystkim wódka. Należy brać przykład z Żydów. Czy widzicie ich pijanych lub szukających pracy? Oni szukają interesu". W czasie wojny ks. Godlewski Żydów ratował. Mówił: „Prawdziwa miłość wielkie rzeczy czyni. Jeżeli nic nie czyni – nie jest miłością". Po latach ks. Godlewski pośmiertnie otrzymał żydowski medal Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

ENDLÖSUNG DER JUDENFRAGE

6 Los polskich Żydów znowu radykalnie się pogorszył, gdy Polska przestała istnieć w 1939 r. Najpierw jednak Niemcy rozpoczęli planową eksterminację Polaków. Dekretem kanclerza Hitlera z 8 października 1939 r. miejscowość Oświęcim została wcielona do III Rzeszy i znalazła się administracyjnie w Niemczech, w powiecie Landkreis Bielitz, Regierungsbezirk Kattowitz, Provinz Oberschlesien. W roku 1940 Niemcy utworzyli tam obóz przeznaczony do osadzania Polaków, gdzie w latach 1940–1945 zamordowali 80–100 tys. Polaków, obok 900 tys. Żydów.

7 Zagłada Żydów została dokonana na mocy decyzji rządu III Rzeszy Niemieckiej podjętej w Berlinie (dzielnicy Wannsee) 20 stycznia 1942 r. o Endlösung der Judenfrage, czyli „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej", i była konsekwencją opracowanej przez niemieckie elity intelektualne idei uzyskania przez Niemów „przestrzeni życiowej" (Lebensraum) na Wschodzie. Kosztem wyparcia, unicestwienia lub zniewolenia Żydów i Słowian. W realizacji tego planu uczestniczył cały aparat niemieckiego państwa, miliony żołnierzy, strażników, urzędników oraz kilkanaście rządów i aparatów państw

Fot. Muzeum Ulmów

eprasa.pl 6c0f73be05

sojuszniczych i kolaboranckich z niemal całej Europy. W Europie jedynie Wielka Brytania, Polska i Grecja nie kolaborowały z nazistowskimi (narodowo-socjalistycznymi) Niemcami.

8 Niemcy utworzyli 1634 obozy koncentracyjne – na terenie Rzeszy i krajów okupowanych. Wiele z nich było obozami śmierci. „Pracowało" w nich 70 tys. niemieckich funkcjonariuszy (głównie SS i gestapo). Po wojnie osądzono 1,7 tys. z nich, czyli 2,5 proc. Z załogi obozu Auschwitz liczącej 8 tys. esesmanów przed sądem postawiono 743 z nich, z czego 673 w Polsce i ok. 70 poza granicami Polski. Około 7 tys. Niemców – esesmanów z Auschwitz – spokojnie i dostatnio żyło w Europie Zachodniej lub Ameryce. Podczas powstania Warszawskiego SS Gruppenführer Heinz Reinefarth ze swym oddziałem w ciągu kilku dni wymordował 50 tys. mieszkańców Woli. W latach 1951–1967 mieszkańcy niemieckiego miasta Westerland wybierali go na swego burmistrza i posła do Landtagu.

9 W zbrodniczej formacji niemieckiej Waffen SS na ochotnika służyło: 50 tys. Holendrów, 40 tys. Belgów, 20 tys. Francuzów, 6 tys. Norwegów, 6 tys. Duńczyków, 20 tys. Włochów, 40 tys. Rosjan, 25 tys. Ukraińców, 30 tys. Chorwatów, 3 tys. Rumunów, 1 tys. Hiszpanów, 3 tys. Albańczyków, 39 tys. Łotyszy, 20 tys. Estończyków, 800 Szwajcarów i zero Polaków.

NAZYWAM SIĘ MILION

10 Polska była jedynym krajem, w którym Niemcy wprowadzili prawo, na mocy którego za jakąkolwiek pomoc Żydom karali śmiercią całe rodziny. Tylko w Polsce Niemcy wprowadzili taką karę, gdyż – działając metodycznie i mając świetne rozeznanie wywiadowcze o nastrojach i społecznych relacjach – wiedzieli, że Polacy będą Żydom pomagać masowo. W innych krajach Niemcy takiej kary nie wprowadzili. W krajach Europy Zachodniej za pomoc Żydom można było otrzymać mandat, stracić pracę, rzadko konsekwencje były poważniejsze, często nie było ich wcale. Rząd francuski (jak wiele innych) zachęcał do wydawania Żydów, otrzymał od Francuzów 2 mln donosów, denuncjatorzy ustawiali się w kolejkach po premie. Rząd francuski wyłapywał Żydów i dostarczał na transporty do niemieckich obozów zagłady.

11 Mimo często pokazowo przez Niemców wykonywanej na Polakach kary śmierci Polaków ratujących Żydów było kilkaset tysięcy. Nie 6 tys., ale kilkaset tysięcy. Tego faktu nikt z historyków nie kwestionuje, żydowscy badacze odróżniają Sprawiedliwych od Ratujących, czyli tych, którzy nie wypełniają sztywnych kryteriów żydowskiego instytutu Yad Vashem. Jedni historycy (prof. Feliks Tych) mówią ostrożnie o 200 tys., inni o 300 tys. (Władysław Bartoszewski), jeszcze inni (prof. Tomasz Strzembosz, prof. Jan Żaryn) oceniają, że Polaków narażających siebie i swe rodziny na śmierć, by ratować Żydów, było nawet milion. Szacują, że – by ocalić jednego Żyda – potrzeba było współpracy 20–25 Polaków. Ostatni dowódca powstania w getcie warszawskim Marek Edelman: „12 tys. Żydów przeżyło w Warszawie do powstania. Żeby 12 tys. Żydów przeżyło, musiało być zaangażowane co najmniej 100 tys. Warszawa liczyła 700 tys., co siódmy Polak był zaangażowany. Myślę, że drugiego takiego miasta w Europie nie ma".

12 Zatem 6,7 tys. Polaków nagrodzonych żydowskimi medalami Sprawiedliwy wśród Narodów Świata to zaledwie 0,7–3 proc. polskich bohaterów ratujących Żydów. Cytowanie wyłącznie tej liczby jest mniej więcej stukrotnym zaniżaniem liczby polskich bohaterów ratujących Żydów. Medale powinni dostać oni wszyscy. Polskie medale.

13 Byli Polacy, którzy wydawali Żydów Niemcom, byli też tacy, którzy Żydów mordowali. Działali wbrew polskiemu państwu. Polski rząd i polskie sądy podziemne uznawały ich za zdrajców i skazywały na karę śmierci. Wiele takich wyroków Polskie Państwo Podziemne wykonało. Byli Żydzi, którzy wydawali Żydów Niemcom na śmierć. To brutalności i skuteczności żydowskiej policji Żydzi bali się najbardziej, co zapisane jest w dziesiątkach żydowskich wspomnień. Byli Polacy szantażujący, denuncjujący czy mordujący Żydów. W większości wywodzili się z przestępczego marginesu albo – przez swe zbrodnie – stawali się nim. W Jüdischer Ordnungsdienst, żydowskiej policji, w znacznej części służyła na ochotnika żydowska elita, aż 12 proc. żydowskiej inteligencji było w żydowskiej policji. Byli Żydzi, którzy wydawali Polaków na śmierć, byli także tacy, którzy Polaków mordowali. Ale nie o tym jest ten tekst.

TYSIĄC STO POMNIKÓW

14 Polska była jedynym państwem świata, którego rząd w swe cele wojenne wpisał ocalenie Żydów. Rząd żadnego innego państwa nie uznał, że to jest jednym z celów wojny. Polska była jedynym krajem, w którym rząd zorganizował państwową instytucję pomocy Żydom – Radę Pomocy Żydom „Żegota" – i w skali możliwości państwa podziemnego zaangażował w tę pomoc znaczne siły i środki, ratując dziesiątki tysięcy Żydów. Jan Karski i Witold Pilecki nie byli – jak sądzi prezydent Obama – wyjątkami, ale byli przedstawicielami polskiego rządu, który zawiadamiał rządy i społeczeństwa państw zachodnich o zagładzie Żydów i wzywał je do działania. Bezskutecznie.

15 Nie jest znana pełna lista Polaków zamordowanych przez Niemców za pomoc Żydom. Spośród tysiąc sto udokumentowanych przez Instytut Pamięci Narodowej przypadków zamordowania przez funkcjonariuszy państwa niemieckiego Polaków ratujących Żydów najbardziej znane są nazwiska Ulmów i Kowalskich. Ale wśród zamordowanych przez Niemców za ukrywanie Żydów są także rodziny: Olszewskich, Rębisiów, Baranków, Deców, Boryczków, Kosiorów, Osojców, Kryczków, Krawczyków, Dziubków, Pomykałów, Żaków, Skoczylasów, Buzowiczów, Chowaniaków, Wiechjeciów, Gaconiów, Gerulów, Holtzerów, Obuchiewiczów, Janusów, Madejów, Kazaków, Czajków, Kmiecików, Kurpielów, Łodejów, Marczaków, Prześlaków, Rogozińskich i wielu, wielu innych. Konieczne jest zbadanie wszystkich tych przypadków, jeśli to

eprasa.pl 6c0f73be05

Fot. Picaresque/Maciej Łabudzki

Sceny z filmu „Historia Kowalskich” Arkadiusza Gołębiewskiego i Macieja Pawlickiego

konieczne – łącznie z ekshumacjami. I wszyscy oni powinni mieć w wolnej Polsce pomniki. Tak, tysiąc sto pomników. A ich twarze powinny patrzeć na nas i na naszych gości w Muzeum Polaków Ratujących Żydów w centrum Warszawy.

16 Polski katolicyzm – Chrystusa nauka o miłości bliźniego była kluczowym czynnikiem, który sprawił, że setki tysięcy Polaków narażały życie własne i swoich dzieci, by ratować bliźnich, polskich Żydów. Polskie zakonnice ukrywały przed niemiecką machiną zbrodni żydowskie dzieci masowo – działo się to w ponad 200 polskich klasztorach. Na warszawskim Powiślu Niemcy zamordowali za to siedem sióstr zakonnych. W pomocy Żydom aktywnie uczestniczyło co najmniej kilkuset polskich księży. Ksiądz Ludwik Barski z Ciepielowa, jak wielu innych, wydawał Żydom fałszywe metryki chrztu, przechowywał ich na plebanii. Niektórzy (ks. Warchulak z Łosic), nie bacząc na ryzyko, wręcz z ambony wzywali do udzielania pomocy Żydom. Ks. Ludwik Wrodarczyk m.in. za ukrywanie Żydów poniósł męczeńską śmierć z rąk oprawców ukraińskich.

17 Po „pokazowym” wymordowaniu przez niemieckich żandarmów rodzin Kowalskich, Obuchiewiczów, Skoczylasów i Kosiorów w Ciepielowie w okolicznych domach nadal ukrywano Żydów, nie bacząc na śmiertelne ryzyko. Robiła to m.in. pozostała część rodziny Kosiorów oraz rodzina Lewandowskich. Podobnie było w Markowej po wymordowaniu rodziny Ulmów czy w kilkudziesięciu innych miejscach, gdzie Niemcy mordując bohaterskich Polaków, nie zdołali zastraszyć pozostałych.

Co zatem wyssali Polacy z mlekiem matek? Wiemy, czego na pewno nie wyssali: pomysłów wymordowania całych narodów, by osiągnąć dla siebie „przestrzeń”, nie wyssali morderczej buty, poczucia wyższości ani pogardy, nie wyssali karnego, masowego poparcia dla zbrodniczych idei, nie wyssali gotowości uczestniczenia w systemowej zbrodni. Nie wyssali manipulacji, cynizmu, kłamstwa.

Wyssali zaś z mlekiem matek chrześcijański system wartości: miłosierdzie, współczucie, solidarność. Wyssali Polacy z mlekiem matek umiłowanie wolności, niezgodę na podporządkowanie się zbrodniczym systemom. I odwagę, i determinację, by przed machiną zagłady ocalić swych sąsiadów innej wiary.

A jeśli ci, którzy wymyślili, masowo poparli i karnie zrealizowali plan mordowania milionów, grabienia i zniewalania sąsiednich krajów, znowu uznają wyższość swej rasy, cywilizacji, organizacji i znowu zasiądą w Berlinie-Wannsee, by podjąć decyzje o losie innych narodów?

Dlatego postawmy te tysiąc sto pomników. W Polsce, a może część z nich w Izraelu. Bracia Żydzi, zapraszamy do ich sfinansowania. A my sfinansujemy pomniki Żydów, którzy oddali życie, by ratować Polaków. Jedni i drudzy będą jak Straż broniąca świata przed kolejnym „ostatecznym rozwiązaniem”.

Niemcy stworzyli diabelski system strachu, donosów i zbrodni. W tych realiach ratowanie Żydów, to było ogromne bohaterstwo. Od wiosny 1943 r. Niemcy zaczęli mordować za pomoc Żydom dzieci, całe rodziny. Ilu z nas dzisiaj podjęłoby takie ryzyko, kładąc na szali nie tylko własne życie, ale ukochanej córeczki czy synka.

Czynnikiem decydującym realnie o tym, co się działo na terenach okupowanych, byli Niemcy. Podkreślam: tu decydowali Niemcy, to ich odpowiedzialność – mówi w bardzo ważnej rozmowie **dr Piotr Gontarczyk**, historyk IPN, **str. 52-61**

eprasa.pl 6c0f73be05

Nie podpisałem deklaracji współpracy z SB

Cała prawda o moich kontaktach ze Służbą Bezpieczeństwa jest taka: dochodziło do nich tylko przy odbieraniu i oddawaniu paszportu. Takie kontakty mieli chyba wszyscy, którzy w czasach PRL wyjeżdżali do krajów Europy Zachodniej. Zakończyłem je w maju 1983 r. Reszta to zmyślenia i dopiski esbeka

Michał Karnowski rozmawia z Kazimierzem Kujdą, byłym prezesem Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej

Media twierdzą, że był pan tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa PRL. I że fakt ten pan świadomie zataił. „Gazeta Wyborcza" nazwała pana wręcz „agentem w sercu PiS". Jak odnosi się pan do tych zarzutów?

Kazimierz Kujda: Nie byłem tajnym współpracownikiem SB, jeżeli pod tym określeniem rozumie się podpisanie zobowiązania do współpracy, przyjęcie pseudonimu oraz chęć szkodzenia innym. W mojej teczce, która znajduje się w zasobach archiwalnych Instytutu Pamięci Narodowej, nie ma deklaracji takiej współpracy, gdyż zwyczajnie nigdy jej nie podpisałem. O pseudonimie Ryszard nadanym mi przez esbeków nie miałem pojęcia. Relacje z wyjazdów za granicę, do pisania których byłem zmuszany, podpisywałem swoim imieniem i nazwiskiem. Miały one charakter całkowicie neutralny i nikomu nie szkodziły.

Zacznijmy od początku – proszę opowiedzieć o pana kontaktach z SB.

Trzeba się cofnąć do feralnego dla mnie dnia: 21 grudnia 1979 r. Byłem wtedy studentem Politechniki Warszawskiej, miałem

eprasa.pl 6c0f73be05

27 lat. W akademiku przy ul. Grójeckiej, w którym mieszkałem, pani z portierni przekazała mi, że dzwonił mój brat Zbyszek z informacją, że wraca z Poznania z meczu i chce się ze mną spotkać na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej, przy hotelu Forum. Wydało mi się to dziwne i nieprawdopodobne, ale pojechałem tam tramwajem, bo naprawdę miałem i mam brata. Każdy by chyba w takiej sytuacji pojechał, wtedy nie było przecież telefonów komórkowych. Kiedy rozglądałem się za bratem, nagle z dwóch stron podeszło do mnie dwóch mężczyzn. Chwycili mnie pod ręce, nie jakoś brutalnie, ale zdecydowanie. To był podstęp. Od razu skierowali się do windy, a nie do kawiarni. Byłem tak zaskoczony i przestraszony, że dałem się wciągnąć. Nie miałem szans na wyrwanie się.

Co się działo w hotelu?

Wprowadzili mnie do jakiegoś pokoju. Tam na zmianę nakłaniali mnie do nawiązania współpracy z SB i podpisania zobowiązania. Kiedy zdecydowanie odmawiałem, znowu na przemian straszyli mnie i szantażowali. Typowa zabawa w „dobrego i złego" esbeka. Trwało to długo. Opierałem się, bo nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego. W końcu zamknęli drzwi na klucz i zagrozili, że nie wyjdę, jeśli czegoś nie podpiszę. Chciałem się wydostać z tej matni i przystałem na tekst, który jednak nie był zobowiązaniem do współpracy. Odmówiłem jej stanowczo. O pseudonimie też nie było mowy.

Fot. Andrzej Wiktor

Co pan zatem podpisał?

Deklarację prowadzenia z nimi dialogu w zakresie gospodarki, energetyki, spraw naukowych. Wykluczało to sporządzanie donosów czy informowanie o innych osobach. Fragmentu o zachowaniu w tajemnicy kontaktów z SB nie potraktowałem poważnie. Po pierwsze dlatego, że wtedy wszystko było objęte obsesją tajności i podpisywało się takie kwitki co chwila. A po drugie, i tak o wszystkim mówiłem mojej żonie (wtedy narzeczonej) Małgorzacie, a także kolegom, w tym Jerzemu Tchórzewskiemu.

Podpis to jednak forma zobowiązania.

Takie wyjście z opresji wydawało mi się wtedy bezpieczne. Byłem młodym, przestraszonym sytuacją chłopakiem, chciałem się wydostać z potrzasku.

Czyli w swoim przeświadczeniu nie podjął pan wówczas współpracy?

Nie podjąłem. Jeżeli za współpracę uważać kontakty przy odbieraniu i oddawaniu paszportów, to mieli je chyba wszyscy, którzy w czasach PRL wyjeżdżali do krajów Europy Zachodniej. Tak też traktowałem to, co mnie spotkało. W latach 70. takie podróże odbywało wielu moich kolegów. Podczas wakacji w 1976 r. w magazynach IKEA w Sztokholmie pracowało nas około 20 studentów z jednego roku na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Wszyscy mieli podobne doświadczenia: przesłuchanie przy zwracaniu paszportu oraz podpisywanie oświadczenia o zachowaniu w tajemnicy rozmowy z esbekiem. Przesłuchania nasilały się wobec tych, którzy częściej wyjeżdżali na Zachód. Tak też było w moim przypadku.

Czy zna pan zawartość swojej teczki, na której podstawie media orzekły, że był pan tajnym współpracownikiem o pseudonimie Ryszard?

eprasa.pl 6c0f73be05

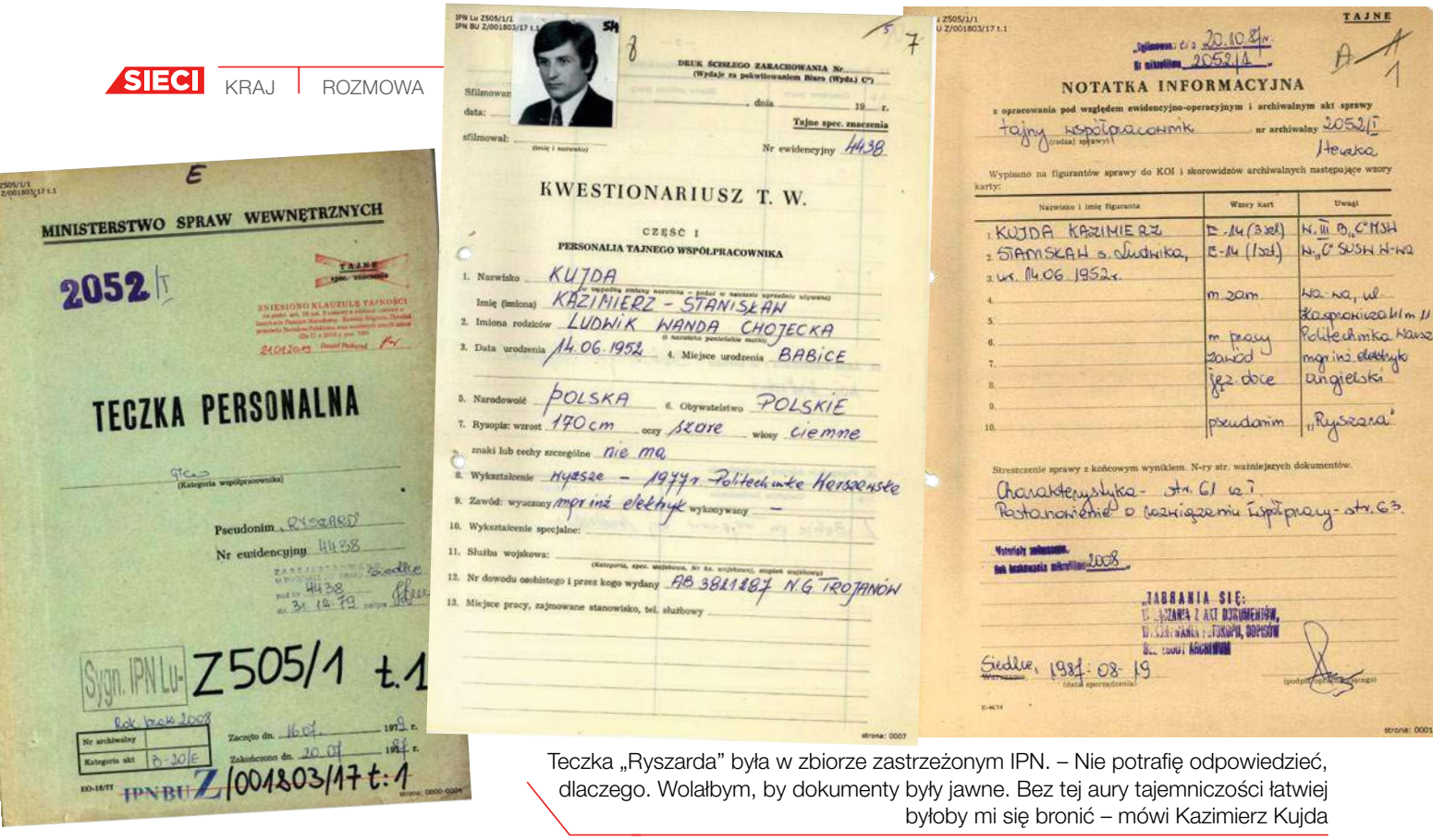
MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH
2052/T
TECZKA PERSONALNA
Pseudonim RYSZARD
Nr ewidencyjny 4438
Sygn. IPN Lu Z505/1 t.1
Z/001803/17 t.1

DRUK ŚCISŁEGO ZARACHOWANIA Nr
Nr ewidencyjny 4438
KWESTIONARIUSZ T. W.
CZĘŚĆ I
PERSONALIA TAJNEGO WSPÓŁPRACOWNIKA
1. Nazwisko KUJDA
Imię (imiona) KAZIMIERZ - STANISŁAW
2. Imiona rodziców LUDWIK WANDA CHOJECKA
3. Data urodzenia 14.06.1952 4. Miejsce urodzenia BABICE
5. Narodowość POLSKA 6. Obywatelstwo POLSKIE
7. Rysopis: wzrost 170 cm oczy szare włosy ciemne
znaki lub cechy szczególne nie ma
8. Wykształcenie wyższe - 1977 Politechnika Warszawska
9. Zawód: wyuczony mgr inż. elektryk wykonywany –
10. Wykształcenie specjalne:
11. Służba wojskowa:
12. Nr dowodu osobistego i przez kogo wydany AB 381287 N.G. TROJANÓW
13. Miejsce pracy, zajmowane stanowisko, tel. służbowy

TAJNE
NOTATKA INFORMACYJNA
z opracowania pod względem ewidencyjno-operacyjnym i archiwalnym akt sprawy
tajny współpracownik nr archiwalny 2052/T
Wypisano na figurantów sprawy do KOI i skorowidzów archiwalnych następujące wzory karty:
Nazwisko i imię figuranta | Wzory kart | Uwagi
1. KUJDA KAZIMIERZ | E-14 (3 szt) | N. III B. „C" MSH
2. STAMSKAH s. Ludwika, | E-14 (1 szt) | N. „C" SUSH N-wa
3. ur. 14.06.1952 r.
4. | m. zam | Wa-wa, ul. Kaspronicza 1 m 11
5.
6. | m. pracy | Politechnika Warsz.
7. | zawód | mgr inż. elektryk
8. | jęz. obce | angielski
9.
10. | pseudonim | „Ryszard"
Streszczenie sprawy z końcowym wynikiem. N-ry str. ważniejszych dokumentów.
Charakterystyka - str. 61 t. I
Postanowienie o rozwiązaniu współpracy - str. 63.
Materiały zniszczone.
Data brakowania materiałów 2008
ZABRANIA SIĘ:
WYPOŻYCZANIA Z AKT DOKUMENTÓW,
WYKONYWANIA: FOTOKOPII, ODPISÓW
BEZ ZGODY ARCHIWUM
Siedlce, 1987.08.19
(data sporządzenia)

Teczka „Ryszarda" była w zbiorze zastrzeżonym IPN. – Nie potrafię odpowiedzieć, dlaczego. Wolałbym, by dokumenty były jawne. Bez tej aury tajemniczości łatwiej byłoby mi się bronić – mówi Kazimierz Kujda

Dokumentację z IPN odebrałem osobiście na płycie CD 13 lutego 2019 r. Sporządziłem od razu kopie papierowe i elektroniczne, które przekazałem kancelarii adwokackiej oraz kilku dziennikarzom. Zrobiłem to bez czytania tych papierów. Po gwałtownym ataku medialnym skierowanym z mojego powodu na PiS i prezesa Jarosława Kaczyńskiego chciałem, aby okoliczności sprawy poznały osoby z obiektywnym nastawieniem. Udostępniłem bez wahania dokumentację wytworzoną 40 lat temu na mój temat, gdyż od początku byłem pewien, że nie podpisałem zobowiązania do współpracy z SB ani nie byłem TW „Ryszard". Chciałem się wtedy tylko wyrwać do wolnego świata – wierzyłem, że poradzę sobie z esbekiem. Znając już dokumenty, mam pewność, że gdyby tylko oczyścić je z konfabulacji funkcjonariusza SB, to powstałby wyraźny obraz tego, że ja walkę z nim wygrałem.

Są tam konfabulacje?

Tak, w teczce pracy znajduje się wiele opisów spotkań, których w rzeczywistości nie było, wiele zmyśleń, co potrafię udowodnić. Opisy spotkań z 18 marca i 29 maja 1980 r. są ewidentnie sfałszowane, nie odbyły się z moim udziałem. Spotkań w hotelach, z wyjątkiem jednego, nie było. Wszystkie odbywały się w biurach paszportowych w Siedlcach lub Warszawie. Relacje ze spotkań, w których nie brałem udziału, esbek musiał dopisywać później.

Czy przed spotkaniem w hotelu Forum SB interesowała się panem?

Pierwszy raz zetknąłem się z przedstawicielem SB w 1976 r., kiedy po powrocie ze Szwecji oddawałem paszport w komendzie Milicji Obywatelskiej w Rykach. Esbek wypytywał mnie, co robiłem za granicą, jak minął pobyt. Dziwiło mnie, że jestem tak natarczywie przepytywany, bo paszport na wyjazd dostałem bez problemów. Zastosowałem niestandardowe rozwiązanie: dałem temu człowiekowi upominek przywieziony ze Szwecji. Nic więcej już ode mnie nie chciał, a w dokumentach nie ma śladu po oddaniu paszportu. Jednak w następnych latach inni esbecy wracali do braku tej adnotacji.

W jakich sytuacjach?

Rok później, czyli w 1977 r., złożyłem wniosek o paszport na wyjazd do Szwecji i Finlandii. Dostałem dokument, a przy jego oddawaniu, tym razem w komendzie MO w Garwolinie, znowu byłem przepytywany. Udzieliłem dość wymijających odpowiedzi. W następnym roku ponownie ubiegałem się o paszport, tym razem na wyjazd do Anglii. Wtedy dostałem pierwszą odmowę. Esbek powiedział, że decyzja jest wprawdzie negatywna, ale on może ją zmienić, jeśli będę z nim rozmawiał. Przestraszyło mnie to, lecz zareagowałem prawidłowo. Powiedziałem, że w takim razie rezygnuję z wyjazdu do Anglii. Użyłem argumentu, że i tak mam sesję egzaminacyjną do zaliczenia. Pamiętam dobrze tę pierwszą propozycję „współpracy za paszport". W przyszłości nigdy się nie powtórzyła, bo zawsze zachowałbym się tak samo.

Kiedy esbecy postanowili jednak pana zwerbować?

Z dokumentów, które otrzymałem z IPN, wynika, że taką decyzję podjęli w maju 1979 r., gdy po raz czwarty składałem wniosek o paszport, z zamiarem wyjazdu do Anglii przez Niemcy. Na podstawie lektury tych papierów wnioskuję, że była to część SB, która zajmowała się zagranicą w zakresie

eprasa.pl 6c0f73be05

wywiadu lub kontrwywiadu. Dowiedziałem się, jaką akcję podjęli, aby przygotować się do werbunku. Duża część dokumentów jest dla mnie szokująca. Zbierali informacje na mój temat wszędzie: na uczelni, wśród znajomych, u rodziny, nawet w miejscu mojego urodzenia.

Jak na pana zachowanie wpłynęła rozmowa z SB w hotelu Forum?

Bałem się. SB to była ponura organizacja, nieznana i niebezpieczna, stojąca ponad prawem. Byłem jednak pewien, że po sytuacji w hotelu esbecy zrozumieli, iż pożytku ze mnie nie będą mieli. Sądziłem, że się ode mnie odczepili. W 1980 r. byłem już na studiach doktoranckich na Politechnice Warszawskiej. To był ostatni rok, kiedy mogli mnie wcielić do wojska, do Szkoły Oficerów Rezerwy, bo pobór obowiązywał do 28. roku życia. Brali wszystkich moich kolegów z roku. Do Ludowego Wojska Polskiego nie chciałem iść, służbę w nim uznawaliśmy za stratę czasu, przymus, wręcz opresję. Postanowiłem spróbować uciec przed wojskiem za granicę. Po raz kolejny, już piąty, złożyłem wniosek o paszport. Tym razem chciałem jechać do Włoch, przez Niemcy i kilka innych krajów. Był jeszcze jeden ważny powód wyjazdu – razem z obecną żoną, a wtedy narzeczoną, bardzo poważnie rozważaliśmy emigrację z Polski na stałe. Nasz plan trzymaliśmy jednak w ścisłej tajemnicy, żeby nikt nie doniósł. Istniało bowiem duże ryzyko, że Małgosia nie dostanie paszportu. Miałem już wtedy dwa dyplomy, byłem absolwentem Politechniki Warszawskiej (mgr inż.) oraz Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (mgr ekonomii), kontynuowałem studia doktoranckie. Nadal jednak mieszkałem w akademiku i perspektyw życia w PRL nie widziałem.

Czy na ten wyjazd dostał pan od SB zadania do realizacji?

Po złożeniu wniosku nikt mnie nie wzywał na przesłuchania, a paszport otrzymałem bez żadnych zobowiązań i pouczeń. Wymagane dokumenty złożyłem 30 maja, a 18 czerwca była już zgoda. Nikt się mnie nie czepiał, miałem prawo przypuszczać, że dali mi spokój.

To wynika także z dokumentów?

Czytałem uważnie papiery otrzymane z IPN, szczególnie te wytworzone przez esbeków. Chcę zwrócić uwagę na pewien bardzo istotny fakt. Otóż do hotelu Forum zwabili mnie 21 grudnia 1979 r., a „Kierunkowy plan pracy" sporządzili dopiero 11 października 1980 r., a więc ponad 10 miesięcy później. Ten dokument znajduje się w obu teczkach: personalnej i pracy. Czy esbek mógł działać bez zatwierdzonego planu pracy? Wątpię. Rzekomy agent wyjechał tymczasem za żelazną kurtynę w czerwcu 1980 r. – bez żadnych wytycznych do realizacji. To kolejny dowód na to, że odmówiłem współpracy. Widocznie esbecy sami tak uznali, bo odpuścili.

> Wprowadzili mnie siłą do jakiegoś pokoju w hotelu Forum. Tam nakłaniali mnie do nawiązania współpracy z SB i podpisania zobowiązania. Kiedy zdecydowanie odmawiałem, znowu na przemian straszyli mnie i szantażowali

Po pana powrocie z Niemiec nie odezwali się?

Ostatnie trzy miesiące w Niemczech spędziłem z narzeczoną, razem tam pracowaliśmy. Zachowaliśmy do dzisiaj zdjęcia i slajdy z tego pobytu. Opuściliśmy RFN mimo bardzo korzystnych pod względem materialnym propozycji pozostania na emigracji. Nie umieliśmy się na to zdecydować, wróciliśmy pociągiem do szarej rzeczywistości PRL. Wpływ na to miała także informacja, że nie wezmą mnie do wojska, że zostałem przeniesiony do rezerwy. Paszport oddawałem 1 grudnia 1980 r. w komendzie MO w Garwolinie. Esbek – ale miejscowy, nie ten z Siedlec – kazał mi opisać wrażenia z pobytu. Mocno mnie przepytywał, dlaczego trasa podróży była inna niż we wniosku paszportowym, dlaczego zostałem dużo dłużej, dlaczego aż dwukrotnie przedłużałem wizę w Niemczech. Ponownie esbek zabrał się za mnie po miesiącu, w styczniu 1981 r. Paszport oddałem w Garwolinie, a pocztą przyszło wezwanie, chyba do biura paszportowego przy ul. Kruczej w Warszawie, ale być może na komendę MO w Siedlcach. Po tylu latach nie wszystkie okoliczności dobrze pamiętam. Na pewno jednak do mnie nie dzwonił, jak opisuje w swoich notatkach, ponieważ nie miałem telefonu. To było chyba jedno długie przesłuchanie, ale dopuszczam, że mogły być dwie rozmowy. Trudno to dokładnie odtworzyć.

Jak wyglądało to przesłuchanie?

Od podstępnego, wymuszonego spotkania w hotelu Forum upłynęło prawie 14 miesięcy. Tym razem esbek był bardzo napastliwy, być może dostał reprymendę od zwierzchników. Miałem z nim ostrą wymianę zdań. Oznajmiłem, że nic nie będę opisywał ani niczego nie podpiszę imieniem i nazwiskiem. Szantażował mnie absurdalnymi oskarżeniami, że nawiązałem współpracę z niemieckim wywiadem, z której będę musiał się wytłumaczyć. Uznałem wtedy, że jeśli zrelacjonuję wrażenia z pobytu w Niemczech lub przedstawię jakieś zmyślone historie, które nie będą zawierały informacji o osobach trzecich, i jeśli jeszcze nie podpiszę tych tekstów, to pozbędę się kłopotu. Dzisiaj zdaję sobie sprawę z tego, że powinienem był odmówić spisywania relacji, ale wtedy oceniałem, iż to sensowny wybieg, bo dane albo

eprasa.pl 6c0f73be05

były nieprawdziwe, albo neutralne, bez żadnego znaczenia dla SB. Tak oceniałem informacje o 70-letnim Niemcu, Schröderze, któremu pomagałem w koszeniu trawników. Dopiero teraz widzę w dokumentach z IPN, że moje opisy były uzupełniane przez esbeka. Jakby chciał stworzyć wrażenie, że byłem rozmowny. Tak nie było.

Mimo dokuczliwych przesłuchań decydował się pan na kolejne wyjazdy zagraniczne?

W 1981 r. otrzymałem zaproszenie na staż w Austrii, które zostało skierowane do rektora Politechniki Warszawskiej. Wniosek o paszport składany był w Biurze Współpracy z Zagranicą Politechniki Warszawskiej i tam też następował odbiór dokumentu. Byłem pewny, że tym razem ominę przesłuchania esbeków. Nic nie wiedziałem o prowadzonej o mnie dokumentacji, którą teraz dostałem z IPN. Żyłem w świadomości, że uwolniłem się od nakłaniania do podjęcia współpracy z SB. Dlatego byłem bardzo zaskoczony, kiedy zobaczyłem esbeka w Biurze Współpracy z Zagranicą Politechniki Warszawskiej. Dokumenty z IPN zawierają treści, które mnie szokują. To esbeckie kłamstwa. Nie było żadnych szkoleń ani zadań zleconych do realizacji. To, co on o mnie nawypisywał, jest straszne i nieprawdziwe.

Chodzi o pana rzekome zadanie wywiadowcze w Wiedniu?

To bzdury, nie miałem żadnych zadań. Pracowałem tam na budowie bloku mieszkalnego jako monter sieci elektrycznej. Robota polegała na wykuwaniu rowków w ścianach oraz montowaniu w nich plastikowych rurek i puszek, w których łączone są przewody. Podstawową „technologią" były duży, solidny młotek i trzy rodzaje przecinaków, a do tego miska z rączką do rozrabiania gipsu oraz szpachelka. Proszę te fakty porównać z szaleństwem medialnym skierowanym przeciwko mnie.

W relacjach z Austrii opisywał pan kolegów, znajomych, ich sprawy?

W żadnym razie. W Wiedniu poznałem może setkę ludzi, ale ani o nich, ani o innych osobach, z którymi zetknąłem się podczas innych wyjazdów, nie ma nic w moich relacjach. W Austrii zastał mnie stan wojenny. Szliśmy z kolegami w marszu protestacyjnym przeciwko polityce władz PRL i zastanawialiśmy się, co dalej. Razem staliśmy przed bramą obozu dla uchodźców w Wiedniu. Niektórzy zostali za granicą, wyjechali do Australii, USA, Kanady, nawet RPA. O azyl polityczny było wtedy bardzo łatwo, a taki status zapewniał dobry byt materialny. Ja się jednak na to nie zdecydowałem, czułem, że nie będę umiał żyć poza ojczyzną.

Powrót do PRL w stanie wojennym, po prawie rocznym pobycie w Wiedniu, nie był ryzykiem?

Wróciłem do Polski w lipcu 1982 r. i dość szybko wziąłem ślub, najpierw cywilny, potem kościelny, z moją narzeczoną, dziś żoną, Małgorzatą. Planowaliśmy to już na grudzień 1981 r., ale przez stan wojenny musieliśmy odłożyć. Zameldowałem się w mieszkaniu u teściów, potem wynajęliśmy kawalerkę dla siebie. Tym sposobem zniknąłem SB z pola widzenia. Przez kilka miesięcy był spokój – aż do kwietnia 1983 r.

Co się wtedy wydarzyło?

Pocztą przyszło wezwanie do stawienia się w biurze paszportowym przy ul. Kruczej. Poszedłem tam i znowu zobaczyłem tego esbeka. Byłem zaskoczony, ale miałem już wtedy nieodparte przeświadczenie, że muszę się wyplątać z tego jak najszybciej. Podczas przesłuchania esbek zażądał następnego spotkania. Z mojej strony był silny opór, odmówiłem napisania relacji. Wtedy powiedział – co jest zresztą zapisane w jego notatce – że przyśle po mnie „posłańców". Po tej kolejnej groźbie zgodziłem się jeszcze na spotkanie 5 maja, na które przyniosłem kopię sprawozdania z dziewięciomiesięcznego stażu w Austrii. Wcześniej złożyłem je w Biurze Współpracy z Zagranicą Politechniki Warszawskiej. Relacja liczyła tylko trzy strony i esbek zażądał dodatkowych wyjaśnień. Postanowiłem, że coś odręcznie dopiszę, ale tak, aby on nie miał z tego żadnego pożytku. Nie wymieniłem żadnych nazwisk, żadnych konkretów. To był mój ostatni tekst, który dostała w swoje ręce SB. Miałem już wtedy pewność, że tych kontaktów – bez względu na cenę – nie będę dalej utrzymywać. Było to moje ostatnie spotkanie z esbekiem.

Dali za wygraną?

W 1984 r. podjąłem pracę w Centrum Informatyki Energetyki. Tydzień po jej rozpoczęciu esbek zadzwonił do mnie do biura. Odpowiedziałem grzecznie, ale stanowczo, że jestem zajęty i nie życzę sobie telefonów od niego. Odłożyłem słuchawkę. Dzwonił jeszcze ze dwa razy, ale kiedy słyszałem, że to on, przerywałem połączenie. W dokumentacji, którą otrzymałem z IPN, jest jeszcze kilka jego relacji z rzekomych spotkań ze mną w hotelach, ale to konfabulacje.

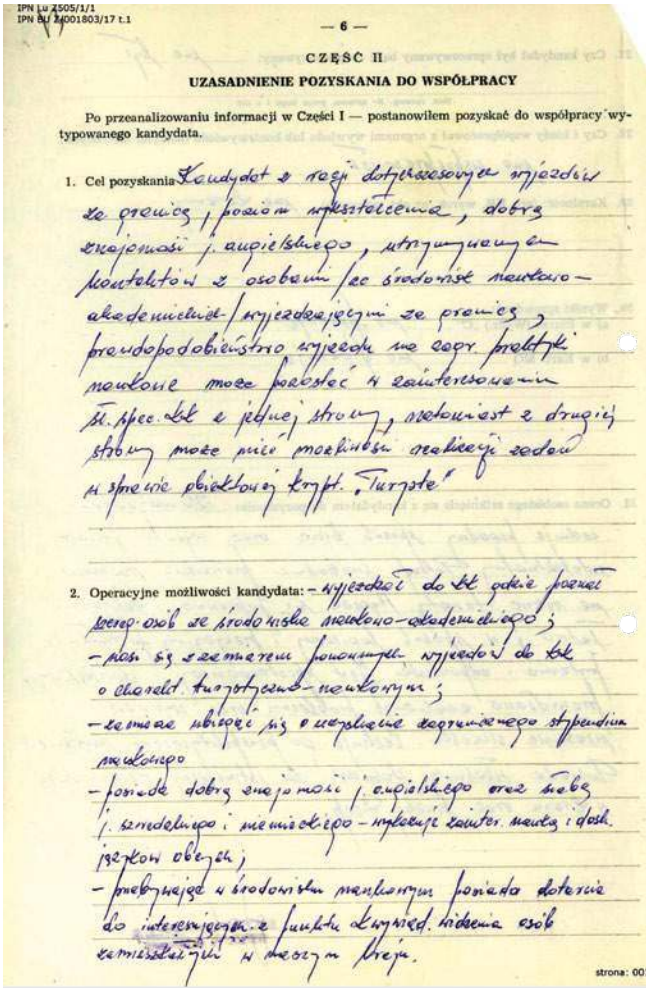
IPN Lu Z505/1/1
IPN BU M001803/17 t.1

— 6 —

CZĘŚĆ II

UZASADNIENIE POZYSKANIA DO WSPÓŁPRACY

Po przeanalizowaniu informacji w Części I — postanowiłem pozyskać do współpracy wytypowanego kandydata.

1. Cel pozyskania: Kandydat z racji dotychczasowych wyjazdów za granicę, poziom wykształcenia, dobrą znajomość j. angielskiego, utrzymywanie kontaktów z osobami ze środowisk naukowo-akademickich wyjeżdżającymi za granicę, prawdopodobieństwo wyjazdu na zagr. praktyki naukowe może posłużyć w zainteresowaniu Sł. Spec. ABK z jednej strony, natomiast z drugiej strony może mieć możliwość realizacji zadań w sprawie obiektowej krypt. „Turysta"

2. Operacyjne możliwości kandydata: – wyjeżdżał do NRF gdzie poznał wielu osób ze środowiska naukowo-akademickiego;
– plan się z zamiarem ponownego wyjazdu do NRF o charakt. turystyczno-naukowym;
– zamierza ubiegać się o uzyskanie zagranicznego stypendium naukowego
– posiada dobrą znajomość j. angielskiego oraz słabą j. szwedzkiego i niemieckiego – wykazuje zainter. nauką i dosk. języków obcych;
– przebywając w środowisku naukowym posiada dotarcie do interesującego z punktu widzenia wywiad. kierunku osób zamieszkałych w dużym kraju.

strona: 00

eprasa.pl 6c0f73be05

Pewnie chciał się wykazać przed przełożonymi. Tych spotkań po prostu nie było. W odniesieniu do niektórych mam dowody, w innych przypadkach trudno to będzie udowodnić po tylu latach.

Wiele osób pyta, jak to się stało, że dotyczące pana materiały znalazły się w zbiorze zastrzeżonym IPN.

Nie potrafię na to odpowiedzieć. Wolałbym, by były jawne. Bez tej aury tajemniczości łatwiej byłoby mi się bronić. To banalna historia chłopaka, którego chcieli zwerbować, ale się nie dał.

> W teczce pracy znajduje się wiele opisów spotkań, których w rzeczywistości nie było. Do spotkań w hotelach, z wyjątkiem jednego, nie doszło. Wszystkie odbywały się w biurach paszportowych w Siedlcach lub Warszawie

Czy po 1989 r. współpracował pan z jakimikolwiek służbami specjalnymi?

Nigdy. Nic. Zero.

Jaki w pana ocenie jest bilans tej sprawy?

To, co tutaj powiedziałem, to cała prawda o moich kontaktach z SB. Dochodziło do nich tylko przy odbieraniu i oddawaniu paszportu. Zakończyłem je w maju 1983 r. Reszta to zmyślenia i dopiski esbeka. Wtedy wiedziałem, że nigdzie już raczej nie wyjadę i że muszę bardzo uważać, wystrzegać się niebezpiecznych sytuacji, bo mogą chcieć mnie szantażować. Tak czy inaczej nie dałem im się, nie zmusili mnie do współpracy, nie poszedłem na brudny kompromis. Mam poczucie, że w tym pierwszym okresie, jako młody chłopak, student, mogłem być bardziej stanowczy. Ale pamiętajmy – to było jeszcze przed powstaniem „Solidarności", mało ludzi wiedziało, że można SB po prostu pogonić, odmówić rozmowy. Tego żałuję. Całe życie starałem się dobrze pracować dla Polski. W okresie PRL wielokrotnie mogłem zostać za granicą, żyć wygodnie. Wybrałem Polskę. Potem, po 1989 r., mogłem pójść w biznes, do banków. Wybrałem pracę wokół prezesa Jarosława Kaczyńskiego, wybrałem drogę pod prąd. Gdy patrzymy dzisiaj, jak dobre owoce przynosi to Polsce, mam poczucie dumy.

Kontaktował się pan po wybuchu sprawy z prezesem Kaczyńskim?

Nie. Ale bardzo mnie boli, że użyto tej sprawy do ataku na niego.

REKLAMA

Do kupienia w księgarni internetowej **XLM, www.xlm.pl, +48 22 836 54 45**

43/02.19./f

eprasa.pl 6c0f73be05

Coś więcej niż reset

Ogłoszone przez Prawo i Sprawiedliwość nazwiska kandydatów w wyborach do Parlamentu Europejskiego to jasny sygnał wysłany przez Jarosława Kaczyńskiego: potrzebne są nam mały reset personalny, szarpnięcie cuglami i potraktowanie wyborów do europarlamentu śmiertelnie poważnie

MARCIN FIJOŁEK

Zaskoczenie – to jedno z najczęściej powtarzanych słów tuż po decyzji kierownictwa PiS co do kandydatów tej partii w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Na liście oprócz murowanych kandydatów (jak choćby dotychczasowi europosłowie) znaleźli się m.in. Joachim Brudziński, Beata Szydło czy Patryk Jaki – politycy z pierwszej linii frontu, których nieobecność może osłabić obóz Zjednoczonej Prawicy w Polsce.

Skąd więc taka, a nie inna decyzja kierownictwa PiS? Na antenie telewizji wPolsce.pl tłumaczył to prof. Waldemar Paruch, szef Centrum Analiz Strategicznych przy kancelarii premiera: „Wybory do PE będą nasycone polityzacją w sposób o wiele większy niż w roku 2014. Stąd nazwiska wagi ciężkiej. [...] Poza tym w Prawie i Sprawiedliwości prezes Jarosław Kaczyński już kilka razy wykonywał manewr odnawiania list wyborczych, gdy pojawiali się na nich ludzie niezwiązani z bieżącą polityką" – przekonywał.

Jeszcze kilka tygodni temu niewiele wskazywało na tak wyraźne wsparcie list do PE kandydatami obytymi w polskiej polityce, lubianymi przez wyborców PiS. Początkowo kształt list nie zapowiadał tak dużego zaskoczenia; nazwiska nie były przesadnie mocne, raczej obliczone na grę na przeczekanie niż duży reset. W ostatnich tygodniach szefowie okręgów PiS dostali jednak jasny sygnał: listy trzeba wzmocnić. I to bardzo. Efekt może nieco zaskakiwać, bo nie ma co kryć – ten mały „reset" list wyborczych jest faktem, i tak to zresztą odbierają posłowie i szeregowi działacze PiS.

Decyzja o konkretnych nazwiskach to nie tylko reakcja na specyficzne okoliczności, w jakich odbędą się najbliższe wybory (spodziewana wysoka frekwencja i duży stopień „upolitycznienia"), lecz również na niedostatecznie zmobilizowany elektorat prawicy w wyborach samorządowych (co przełożyło się na niezły, jednak nie świetny wynik). W tej logice indywidualne wyniki wykręcone przez Beatę Szydło, Patryka Jakiego czy Joachima Brudzińskiego mają być na tyle dobre, że pozwolą zdecydowanie wygrać wybory do PE i uzyskać pole position przed jesiennymi wyborami.

– Kluczowym zagadnieniem na dziś jest to, byśmy wygrali wybory do Parlamentu Europejskiego. Zgoda, że realnie nie są one przesadnie ważne ani interesujące, ale majowa porażka mogłaby uruchomić bardzo niekorzystną dynamikę, coś na kształt równi pochyłej przed jesienią. I stąd taki, a nie inny ruch – mówi tygodnikowi „Sieci" jeden z ważnych polityków PiS.

Przy ocenie kształtu list wyborczych PiS warto zwrócić uwagę na przesłanki, jakimi kierowano się przy doborze kandydatów do poszczególnych okręgów. I tak wzmocnienie listy Patrykiem Jakim (z pozycją nr 3 na liście, prawdopodobnie w Małopolsce) to próba zawalczenia o dodatkowy mandat, a postawienie na Joachima Brudzińskiego w okręgu zachodniopomorsko-lubuskim to próba odwojowania bardzo trudnego okręgu dla PiS. Tym bardziej jeśli z ramienia Platformy (czy całej koalicji, jeśli takowa powstanie) listę miałby tam ciągnąć popularny Bartosz Arłukowicz.

To właśnie kandydatura Brudzińskiego wywołuje największą konsternację. Nie wiedziano o tej decyzji ani w mediach (po raz kolejny okazało się, że Nowogrodzka potrafi być szczelna), ani nawet w szeregach PiS. Z naszych informacji wynika, że start szefa MSWiA był dogadywany podczas rozmowy w cztery oczy – między Brudzińskim a Kaczyńskim.

Na zapleczu pojawia się również teza o odpuszczeniu frakcyjnego sporu z premierem Mateuszem Morawieckim – walki o władzę w partii (i państwie). Wyjazd Brudzińskiego do Brukseli

eprasa.pl 6c0f73be05

Fot. Andrzej Wiktor (x3), Shutterstock

miałby się jawić w tym scenariuszu jako pewnego rodzaju porażka i przycięcie jednego ze skrzydeł ugrupowania. Ale to tylko ułamek bardziej skomplikowanej całości, a i samemu Brudzińskiemu paradoksalnie łatwiej doglądać partii z pozycji europosła, a nie zabieganego, rozrywanego i utopionego w dokumentach i decyzjach ministra.

Między bajki można też włożyć scenariusze, w których kandydaci PiS z list wyborczych wygrywają wybory, zdobywają mandat, ale go nie przyjmują, zostając na funkcjach posła czy ministra. W tej materii prawo jest bezwzględne – po wygranych wyborach automatycznie przestaną być członkami rządu i parlamentu. W kuluarach padają również jednoznaczne zapewnienia natury etycznej – trudno byłoby bowiem wytłumaczyć opinii publicznej, dlaczego po kampanii i wygranych wyborach dany polityk nie objąłby mandatu. Mniej oczywiste i czyste będzie zagranie z podwójnym startem w wyborach – a więc i latem, i jesienią. Trudno będzie wytłumaczyć opinii publicznej jakiś szerszy przepływ dopiero co wybranych europosłów do polskiego parlamentu. Ale na poziomie dwóch, może trzech nazwisk? Czemu nie? Nie takie rzeczy widziała polska polityka. Nie takie też zapewne zobaczy.

Inną jednak sprawą jest scenariusz, w którym nowi europosłowie po kilku miesiącach pracy w Brukseli i Strasburgu wracają do Warszawy jako członkowie rządu po jesiennych wyborach (o ile PiS go oczywiście stworzy). „Zawsze możliwy jest taki wariant, że gdy będzie powstawał nowy rząd PiS, europosłowie wrócą, by objąć stanowiska rządowe. Jak w przypadku Dawida Jackiewicza w roku 2015. Dyscyplina wewnętrzna w PiS jest na tyle duża, że taki manewr jest możliwy" – mówił prof. Paruch na antenie wPolsce.pl.

Odnowienie list wyborczych przez władze PiS ma również bardzo pragmatyczną stronę. Chodzi o wewnętrzną rywalizację na listach, co może skłonić poszczególnych kandydatów (jak choćby na Mazowszu, Pomorzu czy w Lubelskiem) do wytężonej pracy, by pokonać kontrkandydata z listy i zdobyć mandat. Zbigniew Kuźmiuk zrobi, co może, by odnowić swój mandat europosła (choć startuje z pozycji nr 3) i przeskoczyć Adama Bielana czy Marię Koc. Z kolei Elżbieta Kruk powalczy z Beatą Mazurek o „biorące" miejsce z Lublina, Anna Fotyga będzie czuć na plecach oddech Jarosława Sellina. Takie przypadki można mnożyć, co z perspektywy całej partii i jej wyniku może wyjść tylko na dobre. Pewnym zaskoczeniem było dopiero trzecie miejsce dla Jakiego (biorąc pod uwagę choćby jego zasługi w kampanii w Warszawie), i to poza stolicą, ale tutaj górę wzięły wcześniejsze obietnice (jak ta dla Jacka Saryusza-Wolskiego) i wewnętrzne, ambicjonalne animozje. PiS nie jest od nich wolne.

Jak mówi nam jeden z parlamentarzystów Zjednoczonej Prawicy: – Prawdziwy wewnętrzny spór zacznie się przy wykuwaniu list do polskiego parlamentu. Teraz udało się powstrzymać czy ukrócić wiele środowisk, które próbowały wywalczyć swoje, ale jesienią będzie trudniej. Wielu senatorów będzie chciało przejść do Sejmu, jest też sporo nazwisk, których dziś przy Wiejskiej nie ma, a na listach znaleźć się muszą. Z Mateuszem Morawieckim na czele. To paradoksalnie może być dla nas większym wyzwaniem niż rywalizacja z Platformą – słyszymy.

Otwartym pytaniem pozostanie również personalna roszada w szeregach rządowych po wyborach europejskich (lub tuż przed). Na kilka miesięcy, które pozostaną do końca tej kadencji, trzeba będzie powołać nowych ministrów w MSWiA i MEN (mandaty dla Brudzińskiego i Zalewskiej to prawdopodobnie formalność), obsadzić parę stanowisk wiceministerialnych i we władzach parlamentu. Ale też nie miejmy złudzeń – ostatnie miesiące pracy rządu to już niemal dryf odbywający się wyłącznie pod dyktando rozkręcającej się kampanii – pozostanie kilka posiedzeń Sejmu, będzie to rząd domykania pewnych spraw. Z ambitniejszych projektów możemy liczyć co najwyżej na wdrożenie tych ustaw, które będą miały znaczenie w okresie wyborczym. Stąd nazwiska ministrów w resortach na tym etapie kadencji rządów będą wtórne – taką logiką kieruje się przynajmniej Nowogrodzka.

Podsumowując, Jarosław Kaczyński po raz kolejny udowodnił, że stać go na zagranie niekonwencjonalne, na małe wywrócenie stolika i zmuszenie partyjnych dołów (niemalże siłą) do bardziej wydajnej pracy. Można się zastanawiać nad siłą list w poszczególnych okręgach (Wielkopolska, Śląsk), ale z nieco szerszej perspektywy Kaczyński pokazał, że wybory do PE nie będą ani spacerkiem, ani nic nieznaczącą rozgrzewką. To naprawdę będzie pierwsza odsłona boju o wszystko. Kto przegapi ten moment, może już później nie nadrobić straconego dystansu.

eprasa.pl 6c0f73be05

Grzegorz Schetyna zrobi dużo, nawet bardzo dużo, żeby powstał blok „wszyscy przeciw PiS", bo to go umacnia wobec Donalda Tuska

STANISŁAW JANECKI

Koalicja przeżycia

Najważniejszy komunikat, jaki Grzegorz Schetyna wysyła, organizując Koalicję Europejską, jest adresowany do Donalda Tuska, a dopiero na drugim miejscu do Jarosława Kaczyńskiego. Przewodniczący Platformy Obywatelskiej ma zupełnie inne cele, niż wydaje się uczestnikom koalicji, czyli w praktyce Włodzimierzowi Czarzastemu z Sojuszu Lewicy Demokratycznej, gdyż skonsumowana i przetrawiona część Nowoczesnej z Kamilą Gasiuk-Pihowicz już dawno straciła podmiotowość i tożsamość, Partia Zieloni to zaś tylko nalepka, a nie realna siła.

Polskie Stronnictwo Ludowe jest wciąż poza koalicją, podobnie jak masa upadłościowa Nowoczesnej zarządzana przez Katarzynę Lubnauer. Z kolei Robert Biedroń wie, że jego Wiosnę Koalicja Europejska zabiłaby politycznie, zanim ta rozwinęłaby skrzydła.

Czym jest więc Koalicja Europejska i jaka czeka ją przyszłość?

SCHETYNA KONTRA TUSK

Nawet taki polityczny wyga jak Włodzimierz Czarzasty bardziej uwierzył w zaklęcia niż fakty. Zaklęciem jest komunikat dla wyborców, że istnieje wielki opozycyjny blok, czyli siła przynajmniej równa PiS. Zostało to poparte kilkoma sondażami, z których wynika, że opozycyjna zbieranina dogania Zjednoczoną Prawicę. Tyle że ten blok z sondaży nie istnieje w rzeczywistości. Ale Grzegorz Schetyna słusznie założył, że nawet taki miraż może mobilizująco działać na elektorat opozycji. Ten elektorat stracił już bowiem nadzieję, że PO czy KO (Koalicja Obywatelska) jest dla Zjednoczonej Prawicy jakąś przeciwwagą. Natomiast hasło „wszyscy przeciw PiS" jest oczywiście nośne, nawet gdyby dotyczyło tylko wyborów do Parlamentu Europejskiego.

Po raz pierwszy od trzech lat szyld „wszyscy przeciw PiS" daje bowiem nadzieję na wygraną (22–24 mandaty do Parlamentu Europejskiego), a po wyborach parlamentarnych umożliwiałby powstanie większości blokującej w Sejmie i Senacie samodzielne rządy PiS. Tylko po stronie „wszyscy" musiałaby się znaleźć masa krytyczna, czyli jeszcze przynajmniej Polskie Stronnictwo Ludowe oraz Nowoczesna. Katarzyna Lubnauer ma złe wspomnienia po poprzedniej wersji koalicji z Grzegorzem Schetyną, ale decydujący głos należy do lidera PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza. A on chyba jako jedyny rozumie, że Schetynie chodzi nie tyle o koalicję równych partnerów, ile o zwycięstwo w rozgrywce z Donaldem Tuskiem.

Zarówno przewodniczącemu Rady Europejskiej, jak i wyborcom opozycji Schetyna chce zakomunikować, że jest w stanie opozycję zjednoczyć, czyli ma realną siłę i jest prawdziwym liderem. Donald Tusk nie ma więc po co wracać do polskiej polityki, skoro Grzegorz Schetyna radzi sobie bez niego i ma tę siłę oraz możliwości, które przypisuje się wyłącznie byłemu premierowi. Schetyna mógłby rzucić na szalę realny byt koalicyjny. Dlatego tak mu zależy na pozyskaniu PSL oraz Nowoczesnej. Jeśli Schetyna nie potrzebowałby Tuska do zjednoczenia opozycji, bo sam potrafiłby do tego doprowadzić, to i kwestia kandydata opozycji na prezydenta nie musiałaby się wiązać z obecnym przewodniczącym Rady Europejskiej.

eprasa.pl 6c0f73be05

Fot. Piotr Molecki/East News

Tusk bowiem nie chce, by Schetyna kiedykolwiek został premierem, a przewodniczący PO nie chce, aby szef Rady Europejskiej został polskim prezydentem.

To, co obaj opowiadają oficjalnie, nie ma żadnego znaczenia, gdyż wojna między nimi trwa tak długo i ma tak mocne podstawy, że wymuszone wzajemne komplementy (zresztą głównie na Schetynie) nie mają realnego znaczenia. Jeden nie chce powrotu drugiego do polskiej polityki (chyba że w honorowej roli), a drugi nie chce, by ten pierwszy został szefem rządu jako lider opozycji. Reszta to dezinformacja albo dobra mina do złej gry.

KLUCZ KOSINIAKA-KAMYSZA

Decyzja PSL jest najważniejsza dla losów Koalicji Europejskiej, gdyż partia Władysława Kosiniaka-Kamysza ma kluczowe argumenty przetargowe. Bez PSL (a zatem zapewne także bez Nowoczesnej orientującej się od kilku tygodni na partię ludową) Koalicja Europejska nie będzie mogła się nazywać zjednoczoną opozycją. Bez Wiosny Biedronia opozycyjny blok sobie poradzi, bo ta nowa partia jest niewiadomą, gdy chodzi o wynik przy urnach, a poza tym i tak przez następnych kilka miesięcy będzie grała wyłącznie na siebie. O ile partii Włodzimierza Czarzastego Schetyna może dać jakieś polityczne ochłapy, czyli marne miejsca na listach do europarlamentu, gdyż Sojusz nie wyszedłby samodzielnie zwycięsko z konfrontacji z Koalicją Europejską, Wiosną i Partią Razem, o tyle PSL może się domagać „jedynek" nawet w połowie okręgów. SLD raczej nie przetrwa, jeśli zostanie przez Schetynę tak potraktowany jak Nowoczesna po wyborach samorządowych, natomiast PSL ma całkiem silne i liczne struktury terenowe, więc byt tej partii nie jest zagrożony i nie jest uzależniony do wejścia lub nie do koalicji. Dlatego Kosiniak-Kamysz może stawiać warunki.

Brak PSL w Koalicji Obywatelskiej bardzo ją osłabia, a samodzielny start w eurowyborach może się tej partii opłacać. Tym bardziej że działałby głównie szyld lidera – Władysława Kosiniaka-Kamysza, polityka coraz popularniejszego i postrzeganego jako uosobienie spokoju oraz politycznego taktu, szczególnie wtedy gdy wszyscy inni skaczą sobie do oczu i gardeł. Samodzielny start PSL w wyborach do PE podniósłby cenę ewentualnej koalicji przed wyborami do Sejmu i Senatu.

Wobec Roberta Biedronia Grzegorz Schetyna nie czyni żadnych realnych umizgów, gdyż zna politykę i wie, że na tym etapie istnienia Wiosna musi funkcjonować samodzielnie, choć komunikaty aktywistów tej partii nie są już tak negatywne wobec PO jak wtedy, gdy była dopiero organizowana. Za to na lewicy przygotowywany jest grunt dla dominacji Wiosny. Poprzez próbę rozmontowania Partii Razem albo jej kompromitowania jako zabawki lewicowo nastawionych dzieci z dobrych domów (jak u Adama Leszczyńskiego w „Krytyce Politycznej"), które są takimi doktrynerami, że z nikim nie są w stanie się porozumieć, dlatego są skazane na marginalizację. Z SLD już się właściwie nie walczy na lewicy, gdyż zwolennicy Wiosny są przekonani, że ta formacja nie wyjdzie politycznie żywa z koalicji montowanej przez Schetynę.

Oczywiście koalicja z Wiosną przed wyborami parlamentarnymi byłaby dla Grzegorza Schetyny ważna, ale Robert Biedroń nie zgodzi się na inny układ niż ze sobą w roli przyszłego premiera. Biedroń liczy na taki wynik Wiosny, że bez niej nie da się uzyskać większości w Sejmie, dlatego stawia warunek, iż musi zostać szefem przyszłego rządu. Dla Schetyny z kolei jest to warunek nie do przyjęcia, gdyż tylko on sam w roli premiera mógłby się skutecznie przeciwstawić Donaldowi Tuskowi.

Dla Schetyny oddanie władzy liderowi słabszej części koalicji byłoby też osobistą porażką. Od czasu, gdy został przewodniczącym PO, chciał udowodnić Donaldowi Tuskowi, że potrafi go z powodzeniem zastąpić i może, tak jak on, zostać szefem rządu. Stanowisko wicepremiera jest dla Schetyny nie do przyjęcia, tym bardziej że uważa

eprasa.pl 6c0f73be05

on Roberta Biedronia za politycznego amatora, więc ustąpienie pierwszeństwa komuś takiemu byłoby dla niego wręcz policzkiem.

CZARNA DZIURA

Grzegorz Schetyna ma problem z wielkim blokiem opozycyjnym, ponieważ Koalicja Obywatelska, czyli fuzja PO z częścią Nowoczesnej, nie zyskała większego poparcia niż sama Platforma. A wiele wskazuje na to, że Koalicja Europejska tylko z SLD i Partią Zieloni też nie przyniesie znaczącej wartości dodanej. Przede wszystkim dlatego, że SLD pod wodzą Włodzimierza Czarzastego postrzegany jest jako partia schyłkowa, której młodszych działaczy i elektorat wyssie Wiosna Biedronia, a starsi wolą PO, co widać w przypadku Włodzimierza Cimoszewicza, a może także Leszka Millera.

W SLD słychać zresztą obawy, że po wyborach do Parlamentu Europejskiego Grzegorz Schetyna namówi tych polityków Sojuszu, którzy zdobyliby mandaty, by zasilili frakcję Europejskiej Partii Ludowej, a nie socjalistyczną. W tym PO ma już zresztą pozytywne doświadczenia, gdy pozyskała dawnych członków PZPR, a potem SLD – Danutę Hübner czy Dariusza Rosatiego. A wówczas SLD jeszcze bardziej straciłby tożsamość i zniknęłyby ostatnie powody, żeby traktować tę partię jako poważnego gracza. Natomiast współpracująca z SLD w przeszłości Partia Zieloni od dawna nie tworzy wartości dodanej, co było widoczne w kilku konfiguracjach.

Wyborcy znakomicie wyczuwają, czy koalicja jest ucieczką przed politycznym niebytem jej części składowych, czy też wykazuje jakąś żywotność. I tych „zejściowych" partii nie popierają ani nie przenoszą preferencji na stworzoną z nimi koalicję, gdyż szkoda im głosu. Wyczuwają też, że w obecnej kadłubowej formie Koalicja Europejska nie jest prawdziwą zjednoczoną opozycją, lecz przede wszystkim pomysłem Grzegorza Schetyny na lewarowanie własnej partii i podtrzymywanie wrażenia, iż PO cały czas się rozwija, podczas gdy inne partie opozycyjne są w stanie permanentnego kryzysu. W efekcie dla wyborców opozycji nie ma większej różnicy między tworzeniem koalicji wokół PO a zjadaniem przez partię Schetyny kolejnych przystawek.

Model Koalicji Obywatelskiej w wersji kadłubowej przećwiczono już w latach 2013–2014, gdy powstała Europa Plus – z Aleksandrem Kwaśniewskim, Januszem Palikotem, Markiem Siwcem czy Ryszardem Kaliszem. I okazało się, że znane nazwiska z przeszłości nie działają. Grzegorz Schetyna zdaje się nie wyciągać z tego wniosków, stawiając na Włodzimierza Cimoszewicza czy Leszka Millera. Pod szyldem PO, schowanym za Koalicję Europejską, te nazwiska miałyby przyciągnąć wyborców, szczególnie Cimoszewicz w Warszawie. Tyle że to może być największe rozczarowanie Schetyny, gdyż stolica ma wprawdzie wyraźne „skrzywienie" liberalno-lewicowe, ale jest mało prawdopodobne, iż to się pokrywa z poparciem dla postkomunistycznych dinozaurów. Wszystko to sprawia, że Koalicja Europejska w obecnej postaci to rodzaj czarnej dziury, w którą wszystko wpada, ale nic z niej nie wylatuje. I mimo że ma większą masę niż sama Platforma Obywatelska, nic szczególnego z tego nie wynika.

> Dla Grzegorza Schetyny wynik wyborów europejskich ma ogromne znaczenie, gdyż jest testem jego przywództwa jako lidera całej opozycji. Dlatego tak mu zależy na wciągnięciu do Koalicji Europejskiej PSL oraz Nowoczesnej

GARDŁOWA SPRAWA

Grzegorz Schetyna wodzowsko prowadzi PO i źle traktuje kolejnych koalicjantów, ale dla opozycji nie ma innego wyjścia niż budowanie antypisowskiego bloku wokół Platformy. Tyle że na razie, czyli na wybory europejskie, nie ma przymusu budowania bloku „wszyscy przeciw PiS" za wszelką cenę. Ale dla Schetyny wynik wyborów europejskich ma ogromne znaczenie, gdyż jest testem jego przywództwa jako lidera całej opozycji. Jest też testem jego siły i sprawności w konfrontacji z Donaldem Tuskiem. Dla liderów mniejszych członów koalicji to nie jest sprawa gardłowa, dla Schetyny tak. Dlatego to on musi zrobić wszystko, żeby Koalicja Europejska jak najbardziej pokrywała się z blokiem „wszyscy przeciw PiS". Ale skoro inni nie są tak przyparci do ściany jak Grzegorz Schetyna, mogą do Koalicji Europejskiej nie wejść. W efekcie mogą powstać dwa–trzy antypisowskie bloki: jeden wokół PO, drugi przy PSL, a trzeci wokół Wiosny. Powstanie trzech mniejszych bloków działałoby oczywiście na korzyść Prawa i Sprawiedliwości.

Powstanie trzech mniejszych bloków byłoby prestiżową porażką Grzegorza Schetyny, dlatego może on zaoferować PSL za wejście do koalicji bardzo dużo. Dlaczego? Bo w przeciwnym razie byłaby to niejedyna porażka lidera PO. Przy okazji tworzenia przez Schetynę kolejnych mutacji koalicji Platforma traci jakąkolwiek wyrazistość programową. Może poza narastającą nienawiścią do PiS. W ten sposób dawna partia konserwatywno-liberalna staje się śmietnikiem upadłych idei i coraz większej liczby upadłych polityków. Z wyraźną przewagą lewicowych idei i polityków, co powoduje, że PO ewoluuje w stronę partii wyraźnie lewicowej albo całkowicie bezideowej, skupionej wyłącznie na zemście i odwecie wobec obecnie rządzących.

Grzegorz Schetyna zrobi bardzo dużo, by uzyskać dobry wynik i umocnić się wobec Donalda Tuska. Ta jego determinacja może sprzyjać powstaniu bloku „wszyscy przeciw PiS", ale może też doprowadzić do tego, że taki blok w przewidywalnej przyszłości jednak nie powstanie.

40/0219/F

eprasa.pl 6c0f73be05

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna

#ZMIENIAMYDWORCE

NAJWIĘKSZA MODERNIZACJA DWORCÓW

Około 200 nowych

lub zmodernizowanych dworców w całej Polsce

do 2023 roku

eprasa.pl 6c0f73be05

Czuję się jak rezerwowy

Niektórzy mówią, że brakuje mi sznytu europejskiego, dodatkowych języków, doświadczenia, ogrania. Chcę popracować nad słabszymi stronami, a w przyszłości powalczyć o najwyższe cele. Mam 33 lata, jak na polityka to naprawdę niewiele – mówi ***Patryk Jaki****, wiceminister sprawiedliwości, kandydat Zjednoczonej Prawicy do Parlamentu Europejskiego, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem*

Długo dochodził pan do siebie po wyborczej klęsce w Warszawie?

Patryk Jaki: Była porażka, ale nie klęska. To najlepszy wynik, jaki osiągnął kandydat PiS w Warszawie od 2006 r.

Wynik był jednoznaczny. Nie było nawet drugiej tury. Klęska.

Uzyskałem lepszy wynik w Warszawie, niż w 2015 r. uzyskał prezydent Andrzej Duda, i to mimo tego że nie miałem głosów Polonii (bo nie może w wyborach samorządowych głosować). Dostałem ponad 130 tys. głosów więcej niż poprzedni kandydaci PiS na prezydenta stolicy. Otrzymałem też o ponad 30 tys. więcej głosów niż lista PiS, co było najlepszym wynikiem naszego obozu politycznego w kraju i co pokazuje, że bardzo rozszerzyłem bazę wyborców.

Dlaczego ten wynik nie przełożył się na odpowiedni procent głosów? Warszawa była jednym z niewielu miast, gdzie poza czołową dwójką pozostałe grono kandydatów w zasadzie się nie liczyło. Tempo kampanii było tak duże, że cały peleton odpadł. Gdyby każdy z innych kandydatów zdobył więcej o jeden procent, to doszłoby do drugiej tury, proporcje byłyby inne i dziś rozmawialibyśmy w innej atmosferze. Nie wygraliśmy – i tu zgoda, ale postęp w Warszawie został zrobiony. Choć pewnie nie tak duży, na jakim by nam zależało.

Nie jest to jednak frustrujące? Mrugnięcie okiem do lewicowego elektoratu – zero efektu, propozycja dzielnicy biznesowej – nic, postulat walki o uczciwą Warszawę po aferze reprywatyzacyjnej – nic, nawet modne szelki panu nie pomogły.

Mimo to trzeba pamiętać, że w Warszawie udało się zbudować coś, co będzie procentowało przez wiele lat. Widać to choćby dziś w warszawskiej radzie miasta – takiej opozycji stolica jeszcze nie widziała. A to przecież w dużej części mój kampanijny zespół. Ta młoda ekipa, z którą współpracowałem, jest oparta na 30-latkach. Niektórzy nawet nie przekroczyli trzydziestki. Mogę tutaj wyróżnić mojego bliskiego współpracownika Sebastiana Kaletę, który osiągnął świetny wynik w wyborach do Rady Miasta i zapewne w kolejnych wyborach znowu podda się weryfikacji wyborców. Być może już w najbliższych wyborach do PE. Jego i innych członków mojego zespołu będę bardzo mocno wspierać, bo widzę w tym zespole wielki potencjał do ciężkiej i skutecznej pracy dla Polski. A Rafał Trzaskowski, który jest ode mnie starszy o kilkanaście lat, jest mimo wszystko traktowany jako polityk młodszego pokolenia. Dlatego poprzednie wybory oceniam spokojnie, z dużymi nadziejami podchodząc do przyszłości.

eprasa.pl 6c0f73be05

Fot. Andrzej Skwarczyński

Po co więc panu w tej logice start w wyborach do Parlamentu Europejskiego? Wielu widzi w tym polityczny margines, emeryturę, odcinanie kuponów.

Jeśli spojrzeć na polityka jak na piłkarza, to mamy w futbolu zawodników, którzy nieźle sobie radzą, ale mają pewne deficyty. Żeby piłkarz mógł powalczyć o najwyższe cele, musi posiąść wiele umiejętności. Musi mieć świadomość tego, jakie ma silne, jakie słabe strony.

U pana to akurat łatwe do opisania – kondycja znakomita, energii nie brakuje, wytrzymałość i chęci na najwyższym poziomie. Ale brakuje politycznej finezji, techniki.

Technika akurat była zawsze na boisku moją silną stroną [śmiech]. Niektórzy mówią, że brakuje mi sznytu europejskiego, dodatkowych języków, doświadczenia, ogrania. Chcę popracować nad słabszymi stronami, a w przyszłości powalczyć o najwyższe cele. Mam 33 lata, jak na polityka to naprawdę niewiele...

To piłkarskie U-21. Tylko czy aby nabyć wszystkie te cechy, trzeba się wycofać na drugi front, do Brukseli?

Nie zgadzam się, że to drugi front. Wszystko zależy od człowieka – wie pan, wiem ja, wiedzą też czytelnicy, że są ludzie, którzy europarlament traktują wyłącznie jako podpisywanie diet i podróżowanie, ale są też ci, którzy chcą tam o coś walczyć. Znamy też przykłady polityków, którzy są w PE, ale w polskiej polityce są obecni. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że europarlament, instytucje unijne mają coraz większe znaczenie i ten proces postępuje, jeśli chodzi o wpływ na politykę krajową. A poziom hipokryzji instytucji unijnych jest wielki. Przykład? Kiedy mieliśmy oczywiste racje w sprawie konfliktu o wymiar sprawiedliwości, gdy często kopiowaliśmy tylko rozwiązania prawne z Niemiec czy Hiszpanii, zabrakło nam kogoś, kto umiałby z charakterem o to walczyć, przedstawić to naszym partnerom.

Upieram się, że to drugi front. W Warszawie bierze pan udział w realnej grze, tworzeniu prawa, zmianie rzeczywistości. A Bruksela? Obiad, spotkanie, wycieczka z Polski...

Ale i w Warszawie realne decyzje zapadają bardzo często w kuluarach, gabinetach. A żeby uczestniczyć w tej grze, trzeba być w parlamencie. Tak samo jest w Brukseli i Strasburgu.

Chcę być silnym głosem Polski w debatach w europarlamencie. Tak silnym, jakiego Polska jeszcze nie miała. Chcę się zająć hipokryzją europejskich elit, które wytykają nam zmiany w wymiarze sprawiedliwości. Inni mogą, Polska nie może. Dość tego! Kolejnym polem mojej aktywności będzie walka cywilizacyjna – to najbardziej żywy i widoczny konflikt, jaki mamy. Chcę być częścią tego sporu. Potrafię pójść pod prąd i pokazać, że Europa Schumana, że pomysł, który stanął u zarania Unii Europejskiej, miał być konstrukcją opartą na wartościach chrześcijańskich. Dziś Europa o tym zapomniała, a ja chcę o tym przypomnieć.

A umie pan iść pod prąd swojego obozu politycznego?

Czuję, że są tematy, które zrobiłbym dziś inaczej. Nie jestem w stanie ich przewalczyć. Pokornie czekam.

Nie ma pan przekonania, że w wielu wymiarach zawiódł pan pod względem skuteczności? Ogłoszona z pompą ustawa reprywatyzacyjna leży odłogiem.

O nie! Jestem ministrem, który w tej kadencji Sejmu prowadził osobiście chyba najwięcej projektów z sukcesami. Wielki sukces programu Praca dla więźniów. Jak przychodziłem do resortu, pracowało ich najmniej w Europie, dziś pracuje najwięcej. Idźmy dalej: pierwszy w historii III RP program „Modernizacji Służby Więziennej", utworzenie Szkoły Wyższej. Powstanie Instytutu Kryminologii i Penitencjarystyki, odbudowa Systemu Dozoru Elektronicznego, rejestr pedofilów, ustawa zwiększająca ochronę nad zwierzętami. Do tego pierwsza od 20 lat nowa ustawa komornicza, która spowodowała, że skończyły się skandale jak te z ciągnikiem. Wymieniać dalej?

Trudno panu przerwać, tak się pan zagotował przy tej wyliczance.

Bo to ważne sprawy. Pozwoli pan na jeszcze dwa przykłady: w życie weszła ustawa o zakazie zabierania dzieci z powodu biedy, od tego czasu mamy zero takich przypadków. Stworzyłem i prowadzę projekt Muzeum Żołnierzy Wyklętych, 1 marca w tym roku pełna prezentacja projektu wystawy stałej, która będzie robić ogromne wrażenie. A to tylko mały wycinek mojej pracy.

Są jednak również sprawy, które powinny się kończyć inaczej.

Jakie to sprawy?

Wspomniana przez pana ustawa reprywatyzacyjna to jedno, ale i polityka związana z Izraelem. To, co się teraz dzieje – nie mogę tego wytrzymać, ale... Jestem politykiem, gryzę się w język i proszę mnie nie pytać, co zrobiłbym inaczej. Nie chcę generować wewnętrznych sporów.

Ale przecież to ustawa o IPN była otwarciem puszki Pandory. A to pan, pana środowisko stało za takim, a nie innym projektem, później w pośpiechu poprawianym, wycofującym się z najostrzejszych zapisów.

eprasa.pl 6c0f73be05

To nie tak. Można by było taką tezę postawić, gdyby określenie „polskie obozy" nie pojawiało się wcześniej. Bicie w Polskę, także na gruncie historii, jest popularne, a często opłacalne – i to nie jest produkt ani dnia dzisiejszego, ani ustawy. Po prostu wreszcie zaczynamy dostrzegać mechanizmy i głębie problemów, jakie były obecne przez lata. Przez lata zaniedbań w zakresie polityki historycznej. To powracające pytanie o to, co robimy, korzystając z narzędzi i instytucji, jakie mamy.

A wykorzystujemy je?

Nie chcę wchodzić w szczegóły. Polski rząd i tak jest pod tak dużym ostrzałem, by jeszcze dokładać z pozycji wewnętrznych.

Ale może to moment, w którym powinna dać znać o sobie cecha niezależności Patryka Jakiego. Na nagraniach właśnie taką laurkę wystawił panu Jarosław Kaczyński.

Wolę to robić w gabinetach niż publicznie. Lojalność wobec całego obozu polega również na tym, że sprawy, z którymi się nie zgadzam, zgłaszam, ale w zaciszu, a nie – z całym szacunkiem – za pośrednictwem poczytnego tygodnika.

Wróćmy do startu do europarlamentu. To był pana pomysł czy raczej impuls z Nowogrodzkiej?

To jest pomysł naszego środowiska, również mój. Mam w sobie dużo siły i energii. Uważam, że nasz potencjał nie jest w pełni wykorzystany w ramach obozu Zjednoczonej Prawicy. Możemy więcej robić dla Polski. Szukamy swojego miejsca.

Teraz tego nie ma?

Jestem lojalnym członkiem tego obozu, ale szukam dla siebie miejsca, gdzie mógłbym się bardziej przydać. Jeżeli w Polsce, z różnych powodów, nie mogę być w pełni wykorzystany, to dlaczego nie w Unii? Jeden z wniosków po ostatnich latach powinien być taki, że trwa wyraźne strzelanie do nas z pozycji europejskich. Chcę pokazać, że sami możemy tam działać, że potrafimy. Uważam, że mój charakter, temperament i część mojego zespołu udowodni, jak wiele można zrobić również tam.

Widzi pan dziś w obozie Zjednoczonej Prawicy taką dynamikę, taką determinację, która pozwoli przedłużyć mandat wyborczy o kolejne cztery lata?

Mam nadzieję, że taka dynamika będzie.

Będzie?

Nie ukrywajmy – ostatni czas nie jest dla nas najlepszy.

Ma pan na myśli powszechne poczucie przejścia do defensywy? Sprawa zarobków w NBP czy taśm z prezesem Kaczyńskim?

Taśmy z prezesem to wydmuszka. Pokazują, jak jest uczciwym i kompetentnym człowiekiem. Natomiast nad dynamiką musimy pracować. I nad wykorzystaniem wszystkich zasobów, które mamy.

Proszę pozwolić zrozumieć to zjawisko naszym czytelnikom. Chodzi o walki frakcyjne? Gierki pod stołem?

Niekoniecznie. Może po prostu takie jest naturalne tempo polityki. Jesteśmy do dyspozycji, ale to lider decyduje, kiedy wchodzimy na boisko. Krzysztof Piątek nie obraża się, że czasem schodzi na ławkę. My też nie zamierzamy.

Wracają nam te piłkarskie porównania. Czuje się pan dziś usadzony na ławce rezerwowych?

W stosunku do możliwości, doświadczenia, kreatywności i siły do narzucania tematów, jaką pokazał mój zespół w Warszawie – tak.

A wykluczy pan start w wyborach do PE, a później powrót do polskiej polityki jesienią, po kilku miesiącach?

Nie chcę teraz spekulować. Chcę poważnie potraktować mandat.

Co do tej sprawczości – nie ma pan poczucia nieskuteczności na tym odcinku? Komisja reprywatyzacyjna nie przebiła się do świadomości mieszkańców, ratusz nie wypłaca odszkodowań, sądy administracyjne przeciągają decyzje...

To nieprawda. Praca komisji zmieniła wszystko, jeśli chodzi o podejście do reprywatyzacji. W Warszawie nie oddaje się dziś kamienic tak jak kiedyś, mamy inną doktrynę, ratusz sam zaczął skarżyć własne decyzje i ścigać się z nami o to, kto pierwszy je uchyli. Rozmawiamy w dniu, w którym mamy pierwszą decyzję sądu administracyjnego oceniającą pracę komisji. O dziwo, zaskakująco dobrą dla nas. Sąd uznał, że komisja zgodnie z prawem potwierdziła nieprawidłowość reprywatyzacji, w tym przypadku reprywatyzacji na stukilkudziesięcioletnią osobę. I znów – krok po kroku zdobywamy kolejne przyczółki. Do tego ogromny dorobek śledczy komisji. To naszej instytucji udało się odnaleźć wiele dowodów, których nikt nie potrafił znaleźć od 40 lat. Mamy już akty oskarżenia, ludzi w aresztach. Przełomowe zeznania urzędników, lokatorów. Ta komisji przejdzie do historii III RP jako jedna z najskuteczniejszych, jeśli chodzi o stronę śledczą. Natomiast strona administracyjna będzie trudniejsza – ze względu na brak zmiany w ratuszu i niedokończone zmiany w sądach.

Podsumowując, piłkarz-polityk Jaki czeka dziś na moment, w którym coach wpuści go na boisko, da numer 10 na plecy, pozycję playmakera. A on wtedy dopiero pokaże, na co go stać?

Nie mam powodów, aby narzekać. Skończyłem 33 lata. Jestem na górze tabeli polityków z najwyższym zaufaniem i rozpoznawalnością w Polsce. Mam bardzo duży dorobek ustaw, z których jestem dumny. W wyborach do Sejmu osiągnąłem rekordowy wynik w regionie, a w Warszawie mimo porażki najlepszy dla PiS od 12 lat. Pozostając więc w poetyce piłkarskiej, nie podpalam się jako młodzieżowiec kilkoma szybko strzelonymi bramkami. Chcę spokojnie i lojalnie pracować dla państwa. Możliwość pracy dla ojczyzny daje mi zawsze największą satysfakcję.

5/0219/F

eprasa.pl 6c0f73be05

eprasa.pl 6c0f73be05

Śmierć nie zamyka sprawy

Toczące się wobec zamordowanego Pawła Adamowicza śledztwa oraz procesy sądowe zostaną umorzone. Tak stanowi prawo. Ale nie oznacza to, że cokolwiek zostało wyjaśnione. Wciąż aktualne są pytania o majątek i sposób zarządzania miastem przez śp. prezydenta Gdańska. Na klarownych odpowiedziach powinno zależeć również jego najbliższym

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Choć oficjalnie żałoba w Gdańsku trwała do 13 lutego, a w wielu miejscach miasta widać ją do dziś, można powiedzieć, że podniosłą pośmiertną atmosferę szybko przerwała sama wdowa. W licznych wywiadach oskarżała polityków i dziennikarzy o współsprawstwo w mordzie. Szczególnie chodziło jej o te redakcje, które konsekwentnie stawiały niewygodne pytania.

Czujemy się niejako wywołani do tablicy, ponieważ w lipcu 2016 r. w artykule „Tajemnice fortuny Adamowicza" pierwsi kompleksowo opisaliśmy wszystkie wątpliwości dotyczące pochodzenia majątku prezydenckiej pary.

Po morderstwie wysuwano pod naszym adresem najcięższe oskarżenia. Czytaliśmy, że zaszczuliśmy prezydenta, że jesteśmy współwinni jego śmierci, że mamy krew na rękach. Dostaliśmy też wiele prywatnych wiadomości, często nienadających się do cytowania.

Uszanowaliśmy czas żałoby, dlatego do sprawy wracamy dopiero dziś. Chcemy wiedzieć:

1. Skąd Paweł i Magdalena Adamowiczowie wzięli pieniądze, które chcieli ukryć przed urzędem skarbowym?

Proces, jaki formalnie toczy się jeszcze przed gdańskim sądem (następną rozprawę wyznaczono na 22 marca, gdy sprawa zostanie umorzona), dotyczy pięciokrotnego podania nieprawdy w oświadczeniach majątkowych. Włodarz Gdańska zatajał w nich liczbę posiadanych mieszkań i oszczędności. Rozbieżności co do gotówki sięgały nawet 320 tys. zł.

Przypomnijmy, sprawa zaczęła się w 2013 r. z zawiadomienia Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Jak ujawniliśmy, Adamowicz w wyjaśnieniach składanych dwukrotnie CBA zaprzeczał sam sobie. Raz pisał, że wszystkie posiadane środki lokował w instytucjach finansowych (jak ustaliliśmy, miał z małżonką aż 36 rachunków bankowych), innym razem – że pieniądze trzymali w domu: „W tzw. domowych schowkach gromadziła [żona – przyp. red.] pieniądze przedmałżeńskie oraz prezenty ślubne. Kwoty z prezentów ślubnych były bardzo znaczące jak na tamte czasy, a żona dbała o to, aby były nietykalne, na czarną godzinę. Z czasem gotówka »ślubna« mieszała się z gotówką córek".

Córki stały się podstawą linii obrony Adamowiczów. Przekonywali, że niewykazane w oświadczeniach majątkowych środki należały do dzieci i były darowiznami od ich dziadków oraz

eprasa.pl 6c0f73be05

wSIECI

Setki tysięcy złotych z niewyjaśnionych źródeł. Notoryczne podawanie nieprawdy w oświadczeniach majątkowych. Kupowane z tajemniczymi rabatami luksusowe mieszkania w najlepszych punktach miasta i zapominanie o nich przy wypełnianiu oświadczeń majątkowych. Wreszcie wewnętrznie sprzeczne wyjaśnienia podejrzanego. Gdyby ta historia dotyczyła zwykłego człowieka, zapewne miałby on bardzo poważne problemy z organami ścigania. Prezydentowi Gdańska tak naprawdę nie spadł włos z głowy. Ujawniamy, jak prokuratura i sąd zlekceważyły niejasne pochodzenie majątku Pawła Adamowicza

MAREK PYZA
dziennikarz

MARCIN WIKŁO
dziennikarz

W maju 2013 r. gruchnęła wiadomość, że Centralne Biuro Antykorupcyjne kontroluje prawdziwość oświadczeń majątkowych prezydenta Gdańska oraz przestrzeganie tzw. ustawy antykorupcyjnej. Pięć miesięcy później CBA zawiadomiło prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. W październiku rozpoczęło się śledztwo. Rok nie wystarczył na jego zakończenie. W listopadzie 2014 r. Adamowicz został po raz piąty wybrany na prezydenta miasta nad Motławą. Dopiero po kolejnych czterech miesiącach usłyszał zarzuty. Doszedł do wniosku, że może to zaszkodzić partii, zawiesił więc członkostwo w PO. Ale nie widział problemu w dalszym sprawowaniu urzędu.

Trudno się dziwić. Wiedział już, że śledczy idą najłagodniejszym tropem. Zarzuty dotyczyły bowiem wyłącznie składania fałszywych oświadczeń majątkowych (jak lubi powtarzać Adamowicz – „błędów", „pomyłek"). Prokuratura nie znalazła podstaw do stawiania komukolwiek zarzutów korupcyjnych. Zadziwiające jest to, że nie wykazano wystarczającego zainteresowania, skąd pochodził majątek prezydenta nieujawniony w oświadczeniach. Choć ustalono, że nie wziął się ze źródeł wskazywanych przez Adamowicza. W tej kwestii jego linia obrony jest wręcz groteskowa. Prezydent przekonuje o ogromnych darowiznach od pradziadków na rzecz jego córek, opowiada o „mieszaniu się" gotówki. Żaden z urzędów nie daje temu wiary.

Dotarliśmy do obszernej dokumentacji tej sprawy. Jej lektura szokuje.

Wyjątkowa okazja

– Gdańsk to miasto, na które ogromny wpływ mają deweloperzy, bardziej nawet niż na Warszawę. Zabudowa jest chaotyczna, strefy chronione bywają już fikcją – mówi nam gdański dziennikarz, który od kilku lat mieszka i pracuje w stolicy. – Pamiętam z dzieciństwa, że problemem bywało nawet pójście do „lasu", tak się mówi na Trójmiejski Park Krajobrazowy, bo tam wszystko podlegało ścisłej ochronie. Teraz osiedla powstają również w otulinie parku – dodaje.

Obecnie na topie jest osiedle Neptun Park w dzielnicy Jelitkowo. To właściwie

18–24 LIPCA 2016 | 19

Prezydent Gdańska Paweł Adamowicz z żoną Magdaleną

pradziadków (kilkaset tysięcy złotych darowane kilkulatkom!). W czasie pierwszego procesu sąd nie dał wiary tym wyjaśnieniom (podobnie jak wcześniej CBA, urząd skarbowy, izba skarbowa i prokuratura), ale pomimo to nie chciał drążyć tematu. W kończącym się właśnie drugim procesie linia obrony się nie zmieniła. Lecz świadkowie stali się mniej rozmowni. Prezydent, jego brat, ojciec oraz matka odmówili składania zeznań.

Dziś obowiązek wytłumaczenia się z pochodzenia majątku spoczywa na Magdalenie Adamowicz. Odpowiedzi powinna udzielić przede wszystkim gdańszczanom i całej opinii publicznej.

2. Jak można nie wiedzieć, ile ma się mieszkań?

To pytanie brzmi kuriozalnie, ale jest jak najbardziej zasadne. W szczytowym momencie prezydent Gdańska miał siedem mieszkań. Oto, jak tłumaczył się po tym, gdy jednego z nich nie wpisał do oświadczenia majątkowego z dnia 22 kwietnia 2010 r.: „Zakup mieszkania w Gdańsku przy ul. Piastowskiej 60b miał miejsce na początku 2009 r., przez co zatarł się w mojej pamięci". Ilekroć jest to przypominane, dziwi nas tak samo. Tym bardziej że omyłka miała być wynikiem „kumulatywnych okoliczności", które prezydent skrupulatnie wyliczał: zagrożona ciąża żony, pobyt ojca w szpitalu przed operacją okulistyczną oraz katastrofa smoleńska – konieczność organizacji kilkutygodniowej (sic!) żałoby oraz ceremonii pogrzebowych.

Liczba mieszkań to sprawa, która nie tylko w Gdańsku obrosła prawdziwą legendą. Gdy zrobiło się wokół tego zbyt głośno, Paweł Adamowicz przepisał kilku nieruchomości na członków rodziny, co miało zamknąć sprawę, bo oni jako osoby niepubliczne nie musiały publicznie informować o swoim majątku. Warto w tym miejscu przypomnieć pewną wcześniejszą wypowiedź Magdaleny Adamowicz dla „Gazety Wyborczej": „Mieszkania na siebie zarabiają, bo je wynajmujemy. A to, że potrafimy inwestować, powinno być uznawane za cnotę. Dużo pracujemy, a na mieszkania mamy ogromny kredyt, który spłacamy. Niestety u nas jeszcze zdarza się, że majątek wywołuje zazdrość" – mówiła żona prezydenta w 2013 r. I najlepsze: „Są tacy, którzy woleliby, żeby prezydent nic nie miał i mieszkał w rozpadającym się baraku lub wszystko przepisał na żonę". Urocze i prorocze...

3. Czy słusznie Gdańsk nazywany jest miastem deweloperów?

Jednego nie można odebrać Pawłowi Adamowiczowi, jeśli chodzi o rozwój Gdańska – był wizjonerem. Gdy objął urząd w 1998 r. przewidział, że oto kończy się prosperity firm budujących duże centra handlowe, a zaczyna prawdziwy boom na budownictwo mieszkaniowe, i że dla miasta poważnymi partnerami będą teraz firmy deweloperskie. W swojej książce „Gdańsk jako wspólnota" z 2018 r. prezydent skupia się na problemie pozyskiwania funduszy dla miasta i oznajmia, że ogromne znaczenie ma partnerstwo publiczno-prywatne (PPP). „Miasto, dysponując atrakcyjnymi terenami, może przyciągnąć atrakcyjnego inwestora, dysponującego nie tylko własnymi środkami finansowymi, lecz także zdolnością kredytową do uzyskania zewnętrznego finansowania. Miasto określa cel publiczny partnerstwa, który jest potem realizowany przez prywatnego inwestora" – czytamy w rozdziale „Skok cywilizacyjny Gdańska".

Praktyka wyglądała inaczej. Od lat to deweloperzy dyktują miastu, gdzie chcą budować, w zamian oferując mieszkania socjalne, których wciąż brakuje. I wszystko byłoby w porządku, gdyby firmy budujące rozliczały się z miastem uczciwie. Mamy aż nadto dowodów, że tak nie było, że ceny miejskich gruntów były zaniżane, a oddawanych w zamian

eprasa.pl 6c0f73be05

mieszkań zawyżane. Oczywiście na korzyść deweloperów, którzy konsekwentnie, za zgodą władz, betonują miasto. Budują i w otulinie parku krajobrazowego, i na zbiornikach retencyjnych, co skutkuje zalewaniem miasta podczas obfitego deszczu.

Prywatnie prezydent Adamowicz także miał z deweloperami znakomite relacje, ale to przecież zrozumiałe w przypadku człowieka, który tak zamaszyście inwestował w nieruchomości. W 2016 r. pisaliśmy w „Sieci" o zniżkach sięgających nawet kilkudziesięciu procent, jakie Adamowicz wraz z żoną oraz jego teściowa uzyskali na zakup mieszkań na prestiżowym osiedlu Neptun Park w Gdańsku-Jelitkowie. Zupełnie przypadkowo zbiegło się to z decyzją Rady Miasta pozwalającą firmie zabudować ten teren nieco gęściej i wyższymi blokami, niż pierwotnie zakładano.

4. Czy rzeczywiście można uznać Pawła Adamowicza za wzór samorządowca?

Mamy w głowie taki obrazek prezydenta Gdańska: idzie roześmiany przez miasto, rozmawia z mieszkańcami, nie stwarza żadnych barier, gdy zauważy papierek na ulicy, zatrzymuje się i go podnosi. To wszystko prawda. Prawdą jest także to, że miasto za rządów Pawła Adamowicza wypiękniało i zmieniło się na lepsze. Zważmy jednak, że rządził nim ponad 20 lat, w tym czasie zmieniła się cała Polska. Czy to wystarczy, by nazwać go „wzorem samorządowca"?

A może należałoby przypomnieć, jak naprawdę wyglądało zarządzanie miejskim majątkiem? We wspomnianej już książce prezydent szczyci się sprywatyzowaniem miejskiej spółki dostarczającej mieszkańcom ciepło. Rzeczywiście GPEC sprzedano w 2004 r., ale Adamowicz nie dodaje, że stało się to mimo sprzeciwu radnych (wskazywali na skandalicznie niską cenę sprzedaży) i że nabywcą strategicznego zakładu jest niemiecka firma Stadtwerke Leipzig. Teraz miasto ma w ciepłowniczym biznesie na terenie Gdańska ledwie 18 proc. udziałów. Z tego tytułu w radzie nadzorczej zasiadał... Paweł Adamowicz, który – co najistotniejsze – jako przedstawiciel miasta sam się do tej rady oddelegował. I nie stracił na dobrej kondycji firmy, od 2004 r. zarobił w niej prawie milion złotych. Rzeczywiście, wzorowa postawa!

5. Dlaczego Gdańsk Pawła Adamowicza zasłużył na miano „małej Sycylii"?

Wychwalając pod niebiosa rządzone przez siebie miasto, uznając je za nowoczesne, otwarte, sprawne, za najwspanialsze miejsce do życia, zdawał się nie zauważać patologii, jakie coraz bardziej je trawiły. Czy mógł ich nie widzieć?

Czy człowiek od 20 lat rządzący Gdańskiem mógł nie wiedzieć o wyjątkowym w skali kraju układzie ludzi polityki, biznesu, policji, prokuratury, sądownictwa, służb specjalnych i świata przestępczego? Jego najbardziej jaskrawą emanacją była afera Amber Gold, w której pojawia się nazwisko Adamowicza. Jak bardzo się bronił, jak bardzo zasłaniał niepamięcią w czasie przesłuchania przed komisją śledczą, faktów nie mógł zmienić. To on publicznie zachwalał innowacyjność piramidy finansowej. To on z politycznymi kolegami ciągnął po płycie gdańskiego lotniska samolot OLT Express, należący do oszusta Marcina P. To on zabiegał u szefostwa Amber Gold o pieniądze na film o Lechu Wałęsie. Marcin i Katarzyna P. byli skorzy do tej współpracy – nie tylko wsparli tę produkcję, lecz i przekazali na miejski ogród zoologiczny 1,6 mln zł – jak zeznał twórca Amber Gold, celem tej dobroczynności było uzyskanie przychylności prezydenta.

> Dziś obowiązek wytłumaczenia się z pochodzenia majątku spoczywa na Magdalenie Adamowicz. Odpowiedzi powinna udzielić przede wszystkim gdańszczanom

W Gdańsku jak pączki w maśle mają się regularni gangsterzy, którzy od kilku lat grają szanowanych biznesmenów. Kiedyś zajmowali się narkotykami, przemytem i rozbojami, dziś inwestują na rynku nieruchomości, gastronomicznym czy handlowym, często ściśle współpracując z miastem. Skoro prezydent nie widział takich wynaturzeń, jak miał zauważyć „drobnostki", np. urzędniczek, które w zamian za łapówki przyznawały mieszkania komunalne. W tej aferze na ławie oskarżonych zasiadają 43 osoby. Pięć z nich pracowało w urzędzie miejskim. W powszechnej opinii panie są w sprawie tylko płotkami. Urzędnicze rekiny wciąż mają się świetnie i żerują na mieście.

* * *

Pytania, które zadawaliśmy Pawłowi Adamowiczowi od kilku lat, do dziś nie doczekały się odpowiedzi. Słyszymy, że pan prezydent był „obiektem oszczerstw", bo nie dawano mu możliwości się obronić. Tymczasem problem był dokładnie odwrotny. Publikowaliśmy fakty dotyczące jego majątku i usilnie staraliśmy się o komentarz samego zainteresowanego. Ten jednak uporczywie odmawiał. Od jego byłego rzecznika udało nam się jedynie uzyskać takie oświadczenie: „Prezydent już dawno zapowiedział, że do zakończenia sprawy nie będzie jej komentował ani udzielał o niej informacji. Nie ma zamiaru zmienić tej decyzji nawet dla Pańskiego pisma". Zdania nigdy nie zmienił.

Nie wycofujemy się z żadnej z informacji, jakie podawaliśmy odnośnie do majątku Pawła Adamowicza i nieprawidłowości związanych z jego zarządzaniem miastem. Co więcej, mamy wszelkie podstawy twierdzić, że chory system, jaki zbudowany został przez ostatnie dekady w Gdańsku, będzie miał się dobrze również pod wodzą nowego włodarza miasta.

Obszerny artykuł dotyczący powiązań gdańskich notabli, żerowania na publicznym majątku czy patologii w inwestycjach na rynku nieruchomości opublikujemy w następnym numerze.

42/0219/F

eprasa.pl 6c0f73be05

Pracownicze Plany Kapitałowe

Oszczędzaj na bezpieczną przyszłość ze swoim Pracodawcą i Państwem

Pracownik

Ty **2%** + dobrowolna składka do **2%**

+

Pracodawca

Składka **1,5%** + dobrowolnie dodatkowo do **2,5%**

+

Państwo

250 zł na dobry początek + **240 zł** rocznie

Pracownicze Plany Kapitałowe

W sumie się opłaca

- Proste i wygodne oszczędzanie na przyszłość
- Środki w pełni prywatne i dziedziczone
- Do każdej wpłaconej złotówki dokładają się Pracodawca i Państwo

www.mojePPK.pl

PFR Polski Fundusz Rozwoju

Ministerstwo Finansów

KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW

eprasa.pl 6c0f73be05

Niemcy stworzyli diabelski system strachu, donosów i zbrodni

Te historie mną wstrząsnęły. Zrozumiałem, jak niewiele wiemy o tym, co się działo w czasie wojny na wsi, jaką potęgą był strach przed brutalnym i perfidnym niemieckim systemem okupacyjnym. Zrozumiałem też, jaką podłość wyrządza się Polakom, za wszelką cenę, wbrew faktom, próbując przypisać im niemiecką zbrodnię Holokaustu

Michał Karnowski rozmawia z historykiem Instytutu Pamięci Narodowej dr. Piotrem Gontarczykiem, badającym zbrodnie niemieckie z okresu II wojny światowej, a także los Polaków i Żydów oraz wzajemne relacje tych narodów na okupowanych przez Niemców i Sowietów terenach

Wiem, że historycy nie lubią się bawić w dywagacje, ale to pytanie muszę zadać, bo ono jest chyba dla całej dyskusji o rzekomej polskiej współodpowiedzialności za Holokaust kluczowe: jaki byłby los Żydów w II Rzeczypospolitej, gdyby Niemcy i Sowieci nie najechali na nią w 1939 r., nie dokonali IV rozbioru, gdyby państwo polskie w tamtym kształcie istniało dalej?

Piotr Gontarczyk: Rzeczywiście, takie gdybanie zawsze jest ryzykowne. Ale na pewno możemy stwierdzić, że dopóki państwo polskie istniało, to wspólnota żydowska w sposób wolny i bezpieczny, mimo różnych incydentów, mogła funkcjonować i się rozwijać. Była to enklawa spokoju pomiędzy dwoma zbrodniczymi państwami totalitarnymi, które w różny sposób niszczyły społeczność żydowską. Prześladowania Żydów w Niemczech są znane, mniej mówi się o tym, co działo się po sowieckiej stronie. A tam całkowicie wdeptano w ziemię żydowską kulturę, niszczono synagogi, szkoły, od lat 30. zaś dokonywano także mordów na Żydach. W II RP życie żydowskie wręcz kwitło. I można założyć, że tak byłoby nadal.

Czy napięcia między Polakami a Żydami zwiększałyby się, czy zmniejszały? Czy te społeczności umiałyby żyć razem?

Znowu muszę przypomnieć o ryzyku takiego prognozowania, mógł się przecież pojawić jakiś czynnik, który by sytuację zmienił. Ale zakładając kontynuację kluczowych elementów opisu, niewątpliwie byłoby to współżycie trudne. Istniały sprzeczności interesów, animozje, różnice kulturowe, religijne i polityczne, które to powodowały. Musimy pamiętać, że w wielu miejscach, choćby na Kresach Wschodnich, ale nie tylko, w zagubionych miasteczkach, na wsiach panowały stosunki ekonomiczne i społeczne niemal feudalne. To nakładało się na podziały klasowe i narodowościowe, co zwiększało wzajemne niechęci. Mimo wszystko, zwłaszcza na tle ówczesnej Europy, stan tych relacji nie był zły.

W tych napiętych relacjach pojawiały się jakieś krwiożercze instynkty w Polakach? Czy w narodzie ludzi rzekomo „wysysających antysemityzm z mlekiem matek" można było dostrzec jakieś zbrodnicze pomysły? Coś, co pozwalałoby postawić pojawiającą się np. w mediach izraelskich tezę o polskich źródłach Holokaustu?

To szaleńcze stwierdzenia. Nic takiego w Polsce się nie rodziło ani nie mogło się zrodzić. Nie tylko nie było pomysłów zabijania Żydów, w tym takiego, jak to zrobili Niemcy, czyli przemysłowego, ale nawet fizycznego ich wyrzucania na podstawie ustaw rasistowskich. Raczej spodziewałbym się mniej lub bardziej jawnych działań państwa na rzecz wspierania emigracji do Palestyny, wspierania ruchów syjonistycznych.

Takich jak Betar (Bejtar) – młodzieżowa, przypominająca nieco nasz ONR, organizacja syjonistyczna – o którym jako autor scenariusza zrealizował pan film w 2010 r.?

eprasa.pl 6c0f73be05

Fot. Andrzej Wiktor

Dokładnie. I polskie państwo szkoliło instruktorów Betaru. Cel – odbudowanie Państwa Izrael w Palestynie, emigracja tam Żydów – łączył część Polaków i Żydów.

Co się dzieje po rozbiorze Polski między Niemcy a Rosję w 1939 r.? Czy wątek stosunku Żydów do Polaków na Wschodzie, w części zajętej przez Sowietów, i Polaków do Żydów na Zachodzie, na terenach pod władzą niemiecką, od razu staje się sprawą centralną okupacyjnych dni?

Nie, zdecydowanie nie. Poza wąską warstwą obywateli należących do obu tych wspólnot, czyli spolonizowanych Żydów, były to społeczności żyjące oddzielnie, mające odrębne problemy i interesy. Oczywiście Niemcy od razu przynoszą swój stosunek do Żydów, swoje rasistowskie podejście zakładające, że Żydzi to nie ludzie. Organizują akcje upokarzania Żydów na ulicach, niszczone są sklepy, gdzieniegdzie biorą w tym udział pojedynczy Polacy. Ale to są naprawdę incydenty, niemające w tamtym czasie dalszych konsekwencji. Dużo poważniejsza sytuacja jest na Kresach Wschodnich, gdzie ludność polska widzi, że Polacy tracą stanowiska, niszczone są struktury państwowe i instytucje Rzeczypospolitej, że mordowani są żołnierze, policjanci, inteligenci, a dokonują tego bojówki, komunistyczne milicje, w których niestety bardzo aktywny jest element społeczny pochodzenia żydowskiego. Częstym doświadczeniem naprawdę wielu Polaków jest plucie przez przedstawicieli tych grup w twarz członków niedawnych polskich elit, zrywanie symboli państwowych, orłów i flag z budynków, orzełków z czapek. Wiadomo, że dokonywali tego głównie ludzie z nizin społeczności żydowskich, element zdemoralizowany, od którego przedstawiciele elit żydowskich się dystansowali. Ale dla większości Polaków doświadczenie tych dni było bardzo upokarzające, wywołało, także za sprawą polityki sowieckiej, drastyczne pogorszenie relacji między oboma narodami. Wielu Polaków odbierało to jako potwierdzenie najgorszych antysemickich stereotypów.

Na Kresach Wschodnich ludność polska widzi, że Polacy tracą stanowiska, niszczone są struktury państwowe i instytucje Rzeczypospolitej, że mordowani są żołnierze, policjanci, inteligenci, a dokonują tego bojówki, komunistyczne milicje, w których niestety bardzo aktywny jest element społeczny pochodzenia żydowskiego. Częstym doświadczeniem naprawdę wielu Polaków jest plucie przez przedstawicieli tych grup w twarz członków niedawnych polskich elit, zrywanie symboli państwowych, orłów i flag z budynków, orzełków z czapek

Tu dochodzimy do jeszcze innego wątku, który często umyka, zwłaszcza przedstawicielom idealistycznej młodzieży z sytej klasy średniej debatującej na kampusach uniwersyteckich: co znaczy zniknięcie całej tkanki państwowej, cywilizacyjnego dorobku, liderów narodowych i społecznych? Jak demoralizujące to skutki wywołuje, w jakim stopniu wychodzą wtedy na wierzch najgorsze instynkty, jak w każdym narodzie wychodzi to, co najbardziej brudne?

Dla Polaków tam żyjących sprawa jest dużo poważniejsza i nie da się tego zamknąć w tej proponowanej przez pana formule. Wszystko to jest bowiem połączone z traumą utraty państwa i wejściem okupacji sowieckiej, która kokietuje mniejszości narodowe, która wspiera niechęć do Polaków. Nie tylko, że pojawiają się na przykład plakaty i ogłoszenia komunistyczne, lecz są jeszcze napisane wyłącznie w językach Polakom obcych, np. po ukraińsku, rosyjsku i w jidysz. Do tego na ulicach pojawiają się tłumy przedstawicieli tych narodowości, które witają najeźdźców. A zatem nie tylko wyłażący na wierzch lumpenproletariat, lecz brutalna akcja antypolska. Są przypadki wyrzucania Polaków z kolejek po żywność, z miejsca w pociągu, a wszystko przy okrzykach „Skończyła się wasza Polska"!.

Jakie są źródła tej niechęci? Jeszcze w latach 1914–1918, przy wszystkich napięciach, było inaczej.

To już jest inne pokolenie. Za nimi jest 20 lat wolnej Polski, która nie przyniosła poprawy ich losu, pojawiły się frustracje. Nie było możliwości karier, awansów, ucieczki od biedy. Sama społeczność żydowska była dramatycznie rozbita na grupy religijne i lewicujące, odrzucające zastaną hierarchię. Dotyczyło to zwłaszcza młodzieży. Prasa syjonistyczna dużo pisała o dominującej beznadziei, o tym, że w oczach wielu, zwłaszcza biednych, gorzej być nie może. Polska nie była w tych grupach postrzegana jako ich dom. Komunizm niósł pewne elementy, które mogły im dawać jakąś nadzieję. Obietnicę równości, odrzucenia różnic narodowościowych, złamania dotychczasowej struktury społecznej, otwarcie dróg kariery. Gdy weszła armia sowiecka, spotykali żydowskich oficerów i działaczy państwowych, z którymi mogli poroz-

eprasa.pl 6c0f73be05

mawiać w jidysz. W przedwojennej Polsce było to niezmiernie rzadkie.

W pamięci narodowej Polaków zapisane są też opowieści, że przedstawiciele społeczności żydowskiej pomagali przygotowywać listy osób wyznaczonych do wywózek w głąb Rosji, na Sybir i do Kazachstanu, które ruszyły w lutym 1940 r. i zaledwie do końca tamtego roku objęły 250 tys. Polaków. Czy to jest fakt historyczny?

W wielu źródłach, chociażby znajdujących się w Instytucie Hoovera w Stanach Zjednoczonych, w relacjach zbieranych przez armię gen. Andersa, znajdują się potwierdzenia takich zdarzeń. Ten problem pojawia się także w relacjach żydowskich. Jest wydane po angielsku wspomnienie, w którym syn opowiada, jak tata siedział z enkawudzistami i sporządzali takie zestawienia osób do wywózki. Gdy syn zapytał ojca o powód spisywania tychże, usłyszał, że dobrze robi, bo to są wrogowie Żydów. Oczywiście represjonowane przez Sowietów są także elity żydowskie, czego Polacy często nie widzą lub ich to nie interesuje, bo te zachowania tłumów żydowskich przytłaczają wszystko inne. Te wszystkie sytuacje, konteksty, zaszłości umykają nie tylko młodzieży z kampusów uniwersyteckich, lecz również autorom takim jak Jan Tomasz Gross czy autorom promowanej właśnie książki Barbary Engelking i Jana Grabowskiego pt. „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski". Tam się to wszystko, ale i w innych pracach, przemilcza albo zwyczajnie fałszuje.

W jaki sposób?

Na wiele sposobów. Na przykład w jednym ze swoich esejów napisanych w latach 90. Jan Tomasz Gross próbował wytłumaczyć tłumy witające Armię Czerwoną przez ludność żydowską. Relacje o takich sytuacjach pojawiają się w źródłach białoruskich, ukraińskich, litewskich, polskich i żydowskich. Wedle Grossa wynikało to z faktu, że Żydzi byli tam biedni, żyli w ogromnej ciasnocie i dużo czasu spędzali na ulicach. Jeżeli mamy więc do czynienia z tego rodzaju podejściem, to musimy powiedzieć, że ma to mało wspólnego z nauką, z badaniem okresu II wojny światowej, a więcej z narracją jednego narodu, z podejściem mistyczno-religijnym.

Co w tym czasie dzieje się na terenach polskich włączonych do III Rzeszy i w utworzonym przez Niemców Generalnym Gubernatorstwie?

Oczywiście krok za krokiem postępują ograniczanie praw Żydów, rejestracje, obowiązek noszenia opasek, wyzucie z majątku, pędzenie do robót przymusowych, potem gettoizacja. W tym czasie nie dochodzi do masowych mordów na Żydach, co jest losem Polaków na Śląsku, w Wielkopolsce, w Warszawie. Trwa akcja „AB", plan mordowania polskiej inteligencji, zapełniają się doły śmierci w Palmirach, lasach piaśnickich i wielu innych miejscach. Polaków dotyka bardzo brutalna okupacja, eksploatacja gospodarcza, obowiązuje już dekret Hansa Franka, że za jakikolwiek objaw sprzeciwu wobec niemieckiej polityki na Wschodzie grozi kara śmierci. Obie strony mają w tym czasie swoje problemy, nie interesują się sobą nawzajem.

I wreszcie 22 czerwca 1941 r. Niemcy atakują dotychczasowego sojusznika, najeżdżają Związek Sowiecki i szybko całe terytorium II Rzeczypospolitej znajduje się pod ich panowaniem. Czy to, co działo się między Polakami a Żydami na Wschodzie, dociera do Polaków w GG?

Bardzo szybko i bardzo mocno. Wiemy o tym choćby z „Archiwum Ringelbluma", w którym znajdują się relacje o tym, że problem dramatycznie złych stosunków polsko-żydowskich na Wschodzie rozlał się po terenie całego Generalnego Gubernatorstwa, że panuje opinia, iż włosy na głowie stają na wieść o tym, co Polacy tam przeżyli. Przyjeżdżali, bo już mogli, Polacy ze Wschodu, opowiadali, to się błyskawicznie i mocno roznosiło. W polskich wspomnieniach też można spotkać np. relacje, że pamięć o zasiekanym bagnetami polskim oficerze przez Żydów z „czerwonej milicji" sprawiła, iż współczucie autora dla cierpień żydowskich malało. Potęgowała to wszystko jadowicie antysemicka propaganda niemiecka, eksploatująca też strach przed epidemiami, które rzeczywiście pojawiały się w zagłodzonych i zatłoczonych gettach. Trwało odczłowieczanie Żydów, podrzucanie wizji, w której usunięcie Żydów rozwiązuje wiele problemów.

> Cała ta historia, liczba 200 tys. rzekomo zamordowanych z udziałem Polaków czy przez Polaków Żydów, składa się w większości z różnych mistyfikacji. Musimy to kawałek po kawałku prostować, nie ma innego wyjścia

W styczniu 1942 r. na konferencji w Wannsee Niemcy podejmują decyzję o rozpoczęciu „ostatecznego rozwiązania", czyli zagłady Żydów europejskich. Kiedy Polacy stykają się ze zbrodnią przeprowadzaną przez Niemców na Żydach?

W pełnej skali latem 1942 r. Wtedy zaczynają się deportacje z gett, masowe mordy na miejscu. Dzieje się to niezmiernie szybko, jest zaskoczeniem także dla Polaków, którzy nie dysponują żadnymi środkami, by to zatrzymać. Niemcy posługują się w tej akcji podbitą ludnością. Czasami do otaczania gett i kopania dołów używają junaków z Baudienstu (Der Baudienst im Generalgouvernement – zorganizowana i dowodzona

eprasa.pl 6c0f73be05

przez Niemców przymusowa Służba Budowlana w Generalnym Gubernatorstwie), czasami straży pożarnej, która 22 kwietnia 1941 r. została podporządkowana niemieckim władzom cywilnym i niemieckiej żandarmerii jako „niemiecka techniczna jednostka policyjnej służby pomocniczej". Podobnie było z granatową policją, będącą służbą w pełni podporządkowaną Niemcom, z której dezercja karana była śmiercią. To ważne, bo w narracji o rzekomym polskim współudziale w Holokauście często pada fraza o „polskich formacjach". To nie były żadne polskie formacje, nie miały żadnych cech polskich – ani dowództwa, ani struktury, ani kierownictwa politycznego. Nikt w tych służbach nie był panem swego losu, nikt nie mógł nawet wybrać, czy chce tam służyć, czy nie. Za próbę ucieczki z nich czekała kara śmierci.

Tu trzeba przywołać chyba generalną zasadę prawa międzynarodowego: za wszystko, co dzieje się na terenach okupowanych, odpowiada okupant?

Tak, ale są różne odcienie. W przypadku Łotyszy, Litwinów czy Ukraińców sytuacja jest inna, bo funkcjonują i biorą udział w zagładzie Żydów formacje ochotnicze, policyjne, wojskowe czy paramilitarne. W Polsce żadnej takiej formacji nie było. Oczywiście nie będę bronił wszystkich granatowych policjantów, bo były tam również kanalie zabijające i Polaków, i Żydów. Ale całościowo ci ludzie nie byli panami swojego losu, nie mogli decydować, czy tam chcą być. Mogli wybierać: być albo zostać zabitymi, narazić rodziny na represję.

Tysiące Polaków stają się niemymi, bezwolnymi świadkami dokonującej się tragedii. Ludność żydowska jest spędzana w centralne miejsce miasteczka i albo gnana do wagonów, albo prowadzona na jakieś pobliskie miejsce egzekucji. Zarzut stawiany Polakom brzmi, że nic wtedy nie robią, nie reagują.

Narracje wobec Polaków są dwie. Pierwsza głosi, że nie ma czegoś takiego jak świadek Holokaustu. Ktoś, kto jest świadkiem i nie reaguje, współuczestniczy.

Boże mój, a jak może zareagować? Co można było zrobić wobec tej bestialskiej siły?

To jest pytanie ze świata logiki i nauki, odwołuje się do naszej wiedzy o postawie człowieka, jego możliwościach. W tych pracach próbujących obarczyć Polaków winą to zostaje wykluczone. W książce „Dalej jest noc..." już we wstępie następuje wykluczenie kategorii świadka. Proszę poczytać różne pozycje wydawane przez środowisko pisma „Zagłada Żydów", do którego należą wspomniani prof. Engelking i Grabowski. Popularyzatorką i liderką tej partii naukowych głupstw jest też związana z tym środowiskiem dr Alina Skibińska, która np. napisała, że Polacy-świadkowie obserwujący Holocaust są „uczestnikami akcji eksterminacyjnej".

Warszawskie getto, wiosna 1943 r.

Fot. East News/AP Photo

eprasa.pl 6c0f73be05

A druga narracja?

Druga odwołuje się właśnie do przymusowego użycia przez Niemców powołanych przez nich służb: junaków z Baudienstu, strażaków, policjantów. Padają na tej podstawie stwierdzenia o „polskich formacjach, które uczestniczą w niemieckich akcjach eksterminacyjnych". We wspomnianej książce „Dalej jest noc..." można przeczytać generalną konstatację (zapewne obejmującą w domyśle policję granatową, Baudienst i straż pożarną), że Żydzi byli mordowani przez „oddziały likwidacyjne i ich miejscowych pomocników". A to wszystko bez rozróżnienia na to, kto akcje organizuje, i na fakt, że Polacy są zmuszeni najpierw do służby w tych jednostkach, a następnie do udziału w akcji otaczania getta. Do tego dokłada się, że zawsze znajdą się męty jak policjant, który kopnie czy uderzy Żyda, jak miejscowy, który odstawi z powrotem uciekającego Żyda, okradnie go, pobije. My wiemy, że po wielu latach demoralizacji to jest niestety możliwe, ale ci, którzy budują swoje narracje o rzekomym polskim udziale w Holokauście, wyrywają je z tego kontekstu.

Podobnie jak nie chcą pamiętać, że w tych miejscach nie ma już polskiej elity, inteligencji, struktur państwowych, samoorganizacji społecznej.

To prawda, ale czy polska elita byłaby w stanie to powstrzymać, miałaby wpływ na sytuację, nie jestem pewien. Jeżeli w środku nocy otoczone zostaje getto w Węgrowie czy Bielsku, to nawet gdyby miejscowi lekarze, dyrektorzy szkół nie byli rozstrzelani albo by wcześniej nie uciekli, to co mogliby zrobić? Jak mogliby powstrzymać dantejskie sceny strzelającej żandarmerii niemieckiej, krzyków, śmierci co krok, paraliżującego strachu?

Chodzi mi o coś innego – zniknięcie autorytetów demoralizuje. Zgodnie z zasadą: chcesz rozproszyć stado, uderz w pasterza.

W tym wypadku to w mojej ocenie argument nietrafiony. Polskie stado nie miało możliwości zareagowania, przywódcy nie mogli niczego wyartykułować, sami byli dla Niemców łowną zwierzyną, też docelowo skazaną na śmierć. Choć w jej postawach, jak w każdej populacji, też można wskazać przykłady patologiczne.

Wiosną 1943 r. Niemcy zaczęli mordować za pomoc Żydom dzieci, całe rodziny. To było dla wsi straszliwym szokiem. Jak można zabijać kilkuletnie dzieci? Ilu z nas dzisiaj podjęłoby takie ryzyko, kładąc na szali nie tylko własne życie, lecz również ukochanej córeczki czy synka? Gromady małych dzieci!

To zapytam inaczej: czy możemy odpowiedzieć generalnie, jak zachowuje się polskie społeczeństwo wobec organizowanej przez Niemców zbrodni, do udziału w której albo przymusza przez wspomniane wcześniej służby, albo zaprasza każdego męta?

Generalnie każdy stara się przeżyć, bo każdy jest co chwila zagrożony śmiercią, wysłaniem do obozu koncentracyjnego, wywózką na roboty. Każdy się chowa w domu, każdy drży ze strachu o rodzinę. Dwie postawy w tej masie są inne: ci, którzy próbują jednak ratować Żydów, narażając rodzinę na śmierć, a swoją wieś na spalenie, oraz ci, zwykle z dołów społecznych, którzy przeszukują mieszkania żydowskie, odzierają trupy z odzieży. Przeciętny człowiek próbuje przeżyć. To podstawowa, najczęściej spotykana postawa w czasie niemieckiej okupacji. To działało we wszystkie strony. Nie róbmy sobie na przykład złudzeń, że polska konspiracja niepodległościowa miała większościowy zasięg. Zaangażowanych w nią było, w różnej formie, najwyżej kilkanaście procent.

Jednak dużo.

Zgoda, ale nie większość. Większość chciała przeżyć straszliwy, nieludzki, niebezpieczny czas.

To są historie tak skomplikowane, że dziś trudne do wyobrażenia, do zrozumienia. W jednym z niedawnych artykułów opisał pan historię Jankiela Liebermana, Żyda, którego próbował ukrywać u siebie chłop ze wsi Rogów Aleksander Kuraj. Zacytuję fragment: „Kuraj był biedny, ledwo piśmienny, z mniej niż pięciu hektarów ziemi musiał oddać kontyngent dla Niemców i jeszcze utrzymać siebie, żonę i dziewięcioro dzieci. Ale zlitował się nad Żydem i zezwolił mu na ukrywanie się w stodole, narażając życie swoje i całej rodziny. Nikt potem nie miał wątpliwości, że uczynił to całkowicie bezinteresownie. Skrytka, którą wykonał sobie Liberman w stodole, była prymitywna: zwykła jama w klepisku wyścielona i przykryta warstwą słomy. Część jedzenia dostawał od swego dobroczyńcy, resztę musiał »wychodzić« na wsi. Chłopi wspierali Liebermana, a kiedy zamieszkał u Kuraja, nikt na niego nie doniósł". A jednak potem dochodzi do tragedii. Strach miejscowych rośnie, wokoło Niemcy palą i mordują za ukrywanie Żydów, sąsiedzi Kuraja zmuszają go do zamordowania ukrywanego. W opowieści o tej sprawie autorstwa Dariusza Libionki znikają jednak wszystkie te okoliczności. Pozostaje tylko historia Żyda zabitego przez polskiego chłopa.

Historia Kuraja i to, jak ją sfałszowano, wstrząsnęła mną w dwójnasób. Zrozumiałem, jak niewiele wiemy o tym, co się działo w czasie wojny na wsi, jaką potęgą był strach przed brutalnym i perfidnym niemieckim systemem okupacyjnym, i z czym w pracy „Dalej jest noc..." mamy do czynienia.

eprasa.pl 6c0f73be05

Mistyfikacje dokonywane w latach 50. przez Zakład Historii Partii KC PZPR bledną przy tej książce. Mechanizmy, jakimi niemiecki okupant paraliżował możliwości pomocy Żydom, wymagają szczegółowego opisania i mam zamiar to zrobić. Weźmy gminę Radomyśl Wielki w powiecie mieleckim. Tam stosunki Żydów z chłopami były bliższe. I niemal w każdej wsi ich ukrywano. Niemcy w odwecie zaczęli organizować pacyfikacje, które – co w tej historii jest najgorsze – zostały spowodowane donosami dokonanymi przez Żydów.

Czym motywowanymi?

Czasy były tak straszne, że możemy tylko domniemywać. Może w nadziei na przedłużenie swojego życia? Albo z zemsty, że kolejnym szukającym ratunku odmówiono pomocy? Bywało i tak, że osoba ukrywająca się nie wytrzymywała tego napięcia, strachu, po wyjściu była łapana i wówczas natychmiast wydawała tych, którzy jej pomogli, inne same zgłaszały się do Niemców, informując o tym, kto im pomagał. Były też denuncjacje z zemsty, za odmowę dalszej pomocy. I to nie były niestety incydentalne przypadki.

Trudne pytanie, ale konieczne. Czy Polak, który ukrywał Żyda, pomagał mu, mógł w razie złapania ukrywanego liczyć na zachowanie tego w tajemnicy?

Chęć przeżycia jeszcze godziny, dnia była tak silna, że niestety nie. Zwykle wydawano wszystkich, którzy pomogli, a nawet mszczono się na tych, którzy odmówili pomocy, przez fałszywe stwierdzenia. Konsekwencje były straszne. W każdej wsi było kilku wyznaczonych przez Niemców strażników, którzy jednocześnie byli zakładnikami. Powiedziano im: znajdziemy we wsi Żyda, wy zostaniecie rozstrzelani. Znane są przypadki, kiedy groźby te zostały zrealizowane. To jeden z wielu wprowadzonych przez Niemców mechanizmów mających paraliżować polską pomoc. Podobną odpowiedzialność Niemcy nakładali na sołtysów. Jeżeli np. sołtys spotkał Żyda, kiedy był sam, to mógł próbować pomóc, kazać mu uciekać. Jeśli zdarzyło się to w grupie większej, to zwykle kończyło się odstawieniem do Niemców. Strach przed zadenuncjowaniem uniemożliwiał inny ruch. Niemcy stworzyli diabelski system strachu, donosów i zbrodni. Ludzie się siebie bali.

I o dzieci, bliskich, też rozstrzeliwanych za taką pomoc.

Tak. Wiosną 1943 r. Niemcy zaczęli mordować dzieci, całe rodziny. To było coś, co dla wsi było straszliwym szokiem. Jak można zabijać kilkuletnie dzieci? Ilu z nas dzisiaj podjęłoby takie ryzyko, kładąc na szali nie tylko własne życie, lecz i ukochanej córeczki czy synka. Gromady małych dzieci!

> W tych realiach było to ogromne bohaterstwo. Dlaczego ludzie się na to decydowali? Czasami dla pieniędzy, często, bo osobę przechowywaną znali, co zwiększało zaufanie, redukowało ryzyko. Niestety, jednym z największych zagrożeń dla ludzi, którzy chcieli ukrywać Żydów, byli sami Żydzi

Wróćmy do Radomyśla Wielkiego.

Konkretnie do wsi Podborze w tej gminie, która zostaje przez Niemców spalona, kilkadziesiąt gospodarstw. Policja ostrzega, że to spotka inne wsie za choćby jednego znalezionego Żyda. Przerażeni ludzie zaczynają wyrzucać Żydów. Ci jednak się odgrażają, że w zemście doniosą. A złapani proszą policjantów, by odwieźli ich do żandarmerii, bo chcą złożyć zeznania na Polaków – w zemście za odmowę dalszej pomocy. Zginę ja – zginiesz i ty. Chłopi przerażeni zaczynają więc Żydów wyłapywać. Wołają policję granatową, żeby ich wywiozła do lasu i zabiła. Zeznaje po wojnie policjant, który zabił w sumie kilkunastu Żydów: „Jadę wozem, wiozę żydowskie małżeństwo, a oni żądają odstawienia na żandarmerię niemiecką, bo chcą złożyć zeznania przeciwko chłopom". Granatowy myśli: „Spalą wieś, tragedia będzie". Za wozem idą chłopi i wołają, by nie ściągał na nich Niemców, by ratował ich życie, by sam ich zabił. Skręcił do lasu i zastrzelił. Policjant nazywał się Jan Pielach, zacytuję jego zeznania: „Żydzi prosili mnie, aby zawieźć ich do Mielca, iż tam chcą złożyć zeznania. Zabrałem więc tych Żydów na furmankę i jechaliśmy drogą gromadzką w kierunku Radomyśla. Zauważyłem, że za furmanką idzie grupa ludzi, którzy domagali się, aby Żydów nie odwozić do Mielca, tylko ich na miejscu zlikwidować. Mężczyzna, któregośmy wieźli na furmance, wypowiadał jakieś groźby pod adresem ludzi z Dąbia, że ich nauczy i skarżył się, że zabrali mu 12 dolarów. Doszedłem do przekonania, że w wypadku dowiezienia tych Żydów do Mielca i złożenia przez nich zeznań może się to przykro skończyć dla ludności z Dąbia".

Paradoks polega na tym, że policjant, który tych Żydów ostatecznie zastrzelił, ratował i uratował innych Żydów, którzy po wojnie zeznawali na jego rzecz w sądzie. To niejedyny przypadek, kiedy granatowy policjant, zmuszony okolicznościami, niedającą innego wyjścia sytuacją, strzelał do Żydów, a ratował innych, kiedy mógł. To wszystko jest niepojęte, jak się nie rozumie tragicznych dla wszystkich warunków niemieckiej okupacji.

eprasa.pl 6c0f73be05

Potworna historia.

Ale zwróćmy uwagę, jak to wszystko było diabelsko zorganizowane. Ta historia zaczyna się przecież od chęci pomocy, człowieczeństwa, od kilkunastu osób ukrywanych w każdej wsi, a kończy taką sceną, kiedy ci, którzy ratowali, domagają się zabicia tych, których ratowali. I teraz – jak to interpretować? W świetle przekazu książki „Dalej jest noc...": uruchomiły się antysemickie, krwiożercze instynkty polskie.

Gdzie cała przyczynowo-skutkowa sekwencja znika.

Gdzie nie ma całej tej machiny i siatki pułapek stworzonych przez okupanta. Pytanie jest fundamentalne: kto jest za te zbrodnie, za śmierć tych kilkudziesięciu Żydów odpowiedzialny? W „Dalej jest noc..." wyczytamy, że to jest właśnie polski współudział w Holokauście. Ja twierdzę, że to teza skandalicznie nieuprawniona. To wydarzenie z Podborza i dziesiątki podobnych są w prostej, bezpośredniej linii konsekwencją działań okupanta i stworzonego przez niego systemu. Systemu odpowiedzialności zbiorowej, mechanizmów wymuszających donosicielstwo, potwornych represji za pomoc Żydom, za każde przeciwstawienie się okupantowi. Od początku do końca winię Niemców, a Żydów i Polaków uważam za ofiary tej polityki.

W formacjach współuczestniczących w Holokauście brała też udział policja żydowska. Skoro przypisujemy odpowiedzialność Polakom za to, co robiły zorganizowane przez Niemców służby składające się z Polaków, to czy możemy też rozmawiać o odpowiedzialności tych Żydów? Ze strony izraelskiej słyszymy: nie macie prawa o tym mówić, oni też byli ofiarami, to wewnętrzna sprawa narodu żydowskiego, narodu ofiar. Jakie jest pana stanowisko w tej sprawie?

W jakiejś mierze podejście, że jedni i drudzy byli ofiarami, jest uzasadnione. Ale podejścia, że nie możemy o tym rozmawiać, nie mogę przyjąć. Tutaj też musimy pamiętać o kontekście i o generalnej niemieckiej odpowiedzialności. Co mogły zrobić Judenraty, którym nakazywano przygotowanie listy np. tysiąca osób do deportacji pod groźbą zabicia wszystkich członków Judenratu? Co oni mogli w ogóle zrobić? Sporządzili tę listę, w pierwszej kolejności umieszczając na niej biednych i osoby przybyłe z innych gett. Z drugiej strony, paleta postaw była też szeroka. Zjawiskiem powszechnym w gettach było wzajemne łupienie się, wyzyskiwanie, łapówkarstwo, choćby za miejsca pracy dające większe szanse przeżycia. Jest problem brutalności żydowskiej służby porządkowej. Byli w niej ludzie porządni, ale i wielu zachowujących się okrutnie wobec własnych obywateli bez realnej konieczności.

Jest też problem dużej liczby Żydów agentów Gestapo, wyszukujących swoich współrodaków, by wydać ich w ręce Niemców.

Odpowiedników polskich szmalcowników?

Powiedziałbym: łapaczy. Wiadomo było, że kilku takich łapaczy poluje zawsze na dworcu w Krakowie, byli na ulicach. Kim byli ci łapacze? Chcieli przeżyć, ale wielu chciało się wzbogacić. We wspomnianej książce Engelking i Grabowskiego jest wspomniana historia wsi, w której ukrywają się Żydzi, trochę sami, trochę dzięki pomocy Polakom. I tam kręci się taki agent łapacz, niezwykle groźny człowiek odpowiedzialny za śmierć wielu ludzi, nie tylko Żydów. I wie pan, jak to jest opisane w książce „Dalej jest noc..."? Jako przykład jednej z dwóch uprawnionych żydowskich strategii przetrwania. Czyli świniami mogą być tylko Polacy, od których oczekuje się najwyższych kwalifikacji moralnych, poświęcenia, którzy zdają bądź nie egzamin z człowieczeństwa. Ale agent Gestapo wydający na śmierć i Polaków, i Żydów okazuje się po prostu realizować strategię przetrwania. Nie możemy tej logiki przyjąć, ona jest niemoralna.

Na tle tego wszystkiego skala pomocy była zaskakująca duża?

W tych realiach było to ogromne bohaterstwo. Dlaczego ludzie się na to decydowali? Czasami dla pieniędzy, a najczęściej, bo osobę przechowywaną znali, co zwiększało zaufanie, redukowało ryzyko. Niestety, jednym z największych zagrożeń dla ludzi, którzy chcieli ukrywać Żydów, byli sami Żydzi.

Na ile postawa Polskiego Państwa Podziemnego, sprzeciwiającego się niemieckim zbrodniom, pomogła prześladowanym?

Czynnikiem decydującym realnie o tym, co się działo na terenach okupowanych, byli Niemcy. Państwo polskie informowało, alarmowało świat, apelowało do Polaków o właściwą postawą. Polska dyplomacja, choćby grupa berneńska, robiła, co mogła. Ale podkreślam: tu decydowali Niemcy, to ich odpowiedzialność.

Czy możemy w ogóle mówić o jakichś liczbach Polaków, którzy współodpowiadają za śmierć Żydów? Jak to w ogóle, w świetle całej naszej rozmowy, liczyć, rozdzielać?

Po pierwsze, nie wiem, jak by to można liczyć wtedy, tym bardziej nie wiem jak dzisiaj, 80 lat po wojnie. Po drugie, na pewno dane przedstawione w pracy „Dalej jest noc..." nie są wiarygodne. Oni przedstawiają dane wyssane z palca, robią tabelki pokazujące procent Żydów rzekomo zamordowanych przy udziale Polaków, do drugiego miejsca po przecinku. Co przy tych źródłach, jakimi dysponujemy, jest niepoważne, to naukowa mistyfikacja.

Może mają inne źródła?

Nie, podają to jako „obliczenia własne" czyli brak źródeł i możliwości weryfikacji. Ale podstawowy problem polega na wprowadzeniu kategorii takich jak „współudział Polaków", jak „administracja polsko-niemiecka". Niczego takiego nie było. To jest wszystko fabrykowane także w szczegółach.

Wręcz podręcznikowym przypadkiem manipulacji dokonywanych w „Dalej jest noc..." jest powołanie się na relację Henryka Spanlaga dotyczącą masowego mordu na Żydach dokonanego przez Niemców w Kazimierzy Wielkiej. Dariusz Libionka

eprasa.pl 6c0f73be05

napisał tak: „większość [żydowskich] mieszkańców [Kazimierzy Wielkiej] próbowała się ukrywać na miejscu lub u okolicznych Polaków. Chłopi, którzy wcześniej pobrali spore sumy i różne rzeczy, odmawiali, tłumacząc się grożącym niebezpieczeństwem. Wielu, nie mając się gdzie podziać, wracało. Niemcy gromadzili Żydów w budynku szkoły. Kiedy zebrało się 210–250 osób, wywieziono je furmankami w asyście granatowych oraz junaków i zamordowano w lasku koło wsi Słonowice".

A oryginał wspomnianego dokumentu brzmi tak: „podczas wysiedlenia 8 listopada 1942 pewna ilość Żydów ukryła się w kryjówkach, bunkrach i u Polaków. W dwa dni później wezwali Niemcy ukrywających się, żeby się zgłosili i zebrali w szkole. Przyrzekali, że się im nic złego nie stanie, że się ich nie zastrzeli, że zostaną »tylko« wysiedleni. Zgłosiło się 210 osób, między innymi moja matka i babka, wywieziono ich wszystkich do lasu i rozstrzelano".

Różnica między treścią wspomnianego źródła a tym, w jaki sposób je wykorzystano, jest kluczowa dla zrozumienia nie tylko intencji Libionki, ale także istoty konstrukcji omawianej książki. U Spanlaga nie ma chciwych Polaków, którzy wcześniej brali od Żydów różne wynagrodzenie, a potem ich oszukali, odmawiając pomocy. Są Polacy, którzy Żydów ukrywali. Ponadto – a może przede wszystkim – Spanlag nie obarczał winą za śmierć owych ponad 200 Żydów tym, że nie mieli się gdzie ukryć ze względu na zdradę Polaków. To Libionka dopiero dopisał do tej historii, iż wielu, nie mając się gdzie podziać, wracało. Tym sposobem autor obciążył co najmniej współodpowiedzialnością za śmierć tych ludzi Polaków.

To mistyfikacja.

Tak, dokonana tylko po to, by przypisać Polakom kolejnych 200–300 ofiar. I cała ta historia, liczba 200 tys. rzekomo zamordowanych z udziałem Polaków czy przez Polaków, składa się w większości z takich mistyfikacji. Musimy to kawałek po kawałku prostować, nie ma innego wyjścia.

W książkach Engelking, Grabowskiego i Libionki najbardziej przeraża fałszowaniu wymowy źródeł, a nawet przeinaczanie ich treści. Choćby w sprawie Libermana i Kuraja, gdzie wymazali to, co im nie pasowało. Jak coś takiego może w ogóle uchodzić w świecie nauki?

Nie powinno, to nie jest pytanie do mnie. Ja precyzyjnie sprawdzam, jak to, co napisali, ma się do faktów. Najczęściej korzystają z tzw. sierpniówek, czyli akt procesów toczących się po wojnie, dotyczących kolaboracji, na podstawie dekretu PKWN z 31 sierpnia 1944 r. Wszystko, co tam się znajduje, czasem oczywiste pomówienia wynikające ze sporów majątkowych, zaszłości wojennych, traktują jako pewnik, choć często jest to później w procesach obalone. Pojawia się na przykład donos na strażaka, że zgwałcił i zamordował Żydówkę. Autorem jest osoba z marginesu społecznego. Proces wykazuje, że to czysty wymysł, oskarżenie niewinnego człowieka. Co robi pan Grabowski? Bierze to zeznanie i daje na całą stronę opowieść o tym, jak strażak gwałcił Żydówkę.

W tych dniach znowu usłyszeliśmy z Izraela: „Polacy, nigdy wam tego, co zrobiliście, nie zapomnimy". Jak to jest, że nie padają takie oskarżenia wobec Słowaków, Węgrów, ba, na-

eprasa.pl 6c0f73be05

Fot. Andrzej Wiktor

Jest też problem dużej liczby Żydów – agentów Gestapo wyszukujących swoich współrodaków, by wydać ich w ręce Niemców

wet Niemców? Co decyduje o takim wyodrębnieniu Polski i Polaków? Może to, że – paradoksalnie – wielu Żydów tu przetrwało, a tamci zostali masowo i szybko zagazowani? Co my, Polacy, zrobiliśmy Żydom?

Warto pamiętać, że jest znaczna grupa osób, która ma tego rodzaju uzasadnione pretensje, bo przypadki denuncjacji, zabójstwa, okradania się zdarzały. Tak jak zdarzyłyby się w każdej populacji postawionej w obliczu takich sytuacji. Pytanie dotyczy, na ile te fakty są umiejscowione w prawdziwym kontekście, w realnej skali, a na ile stają się jakąś specjalną, dedykowaną, wyrwaną z kontekstu, wyolbrzymioną mistyfikacją. W mojej opinii mamy do czynienia z tym drugim. Tym bardziej że jest to pisane już przez kulturę masową, a nie historyków. Skala bredni jest chwilami szokująca. Oto kobieta, która bezinteresownie ukrywa kilkunastu Żydów. Po wojnie spotykają ją zarzuty, że kogoś wydała. W sądzie całkowicie to upada. Jeden z uratowanych w 1947 r. składa przed polskim konsulatem w Kanadzie relację, że ona uratowała ich całą rodzinę, nie brała pieniędzy, wszystko robiła z dobrego serca. Ale oto w 1997 r. ukazują się wspomnienia tego człowieka, po angielsku, gdzie on z przekąsem pisze o „sutym opłacaniu się" Polakom za ratowanie.

Jak możemy się jako Polacy bronić przed tymi wszystkimi uproszczeniami, przed książkami takimi jak „Dalej jest noc..."?

W tej książce chodzi o to, w jaki sposób per fas et nefas (wszelkimi dozwolonymi lub niedozwolonymi środkami) można obarczyć Polaków winą za Holokaust, w której nawet zbrodnie niemieckie przypisuje się Polakom. Tylko o to tam chodzi, a nie o prawdę, nie o pamięć o zamordowanych Żydach, którzy autorów w mojej ocenie mało interesują. Musimy to badać, musimy tworzyć instytucje, które to profesjonalnie udźwigną. Zwróćmy uwagę, jak duży atak idzie przy okazji na Instytut Pamięci Narodowej. Bez IPN będziemy bezbronni wobec takiej narracji, bo żaden uniwersytet czy akademia na to nie odpowie. Chodzi o to, byśmy stali się jako kraj i naród bezbronni, wtedy pójdą pewnie jeszcze dalej. Dziwi mnie tylko, że państwo polskie finansuje niektóre z tych manipulacji, że pozwala, by za jego pieniądze Polska Akademia Nauk np. organizowała właśnie w Paryżu konferencję o rzekomo „nowej polskiej szkole badania Holokaustu". Ale to już pytanie nie do mnie, ja staram się, jak mogę, odkrywać prawdę. Bywa ona dla Polaków piękna, bywa przykra i trudna, ale zawsze jest lepsza niż mistyfikacje. One są ponownym zbezczeszczeniem pamięci ofiar, one są użyciem ich w celu propagandowym.

eprasa.pl 6c0f73be05

Fot. Włodzimierz Rędzioch

Dlaczego świat milczy?

W połowie sierpnia światowe media nagłośniły raport dotyczący nadużyć seksualnych na nieletnich w stanie Pensylwania. Podano w nim, że w ciągu ostatnich 70 lat ofiarą 300 księży padło około tysiąca dzieci. I to właśnie w sierpniowy dzień ks. Fortunato Di Noto, sycylijski kapłan z Avola, poszedł do baru na kawę. Gdy grupa zgromadzonych tam mężczyzn rozpoznała po koloratce, że jest księdzem, pod jego adresem posypały się obelgi. No bo skoro ksiądz, to najprawdopodobniej pedofil.

Nikt z zebranych nie wiedział, że mężczyzna, któremu ubliżają, od 30 lat walczy z szerzącą się w sieci pedopornografią – w tym celu założył nawet Stowarzyszenie „Meter", którego członkowie monitorują internet w poszukiwaniu stron pedopornograficznych. Zyskał przez to przydomek „łowca pedofilów". Tylko w zeszłym roku Meter zasygnalizowało policji pocztowej – bo to ona odpowiedzialna jest za kontrolę sieci – strony z ponad 2 mln zdjęć i prawie milionem wideo pedopornograficznych. Najwięcej było materiałów dotyczących dzieci w przedziale wieku od 8 do 12 lat, ale były też zdjęcia i wideo noworodków i kilkuletnich dzieci.

Działania ks. Di Noto uderzyły w miliardowe interesy przemysłu pedopornograficznego, dlatego wielokrotnie grożono mu śmiercią. Ale to wszystko, co robi Kościół i tacy kapłani jak Di Noto, by położyć kres wykorzystywaniu seksualnemu dzieci, przestaje się liczyć w zakrojonej na cały świat kampanii medialnej przeciwko Kościołowi, w narzucaniu opinii publicznej obrazu kleru jako środowiska patologicznego, „wylęgarni" pedofilów. A atak na ks. Di Noto świadczy o tym, że wiele osób bezkrytycznie akceptuje tę manipulację.

Skontaktowałem się z ks. Di Noto, by wyrazić mu uczucia solidarności i porozmawiać o ataku na Kościół wymierzony przez fałszywych obrońców dzieci.

Włodzimierz Rędzioch

eprasa.pl 6c0f73be05

Z ks. Fortunatem Di Noto, „łowcą pedofilów", rozmawia Włodzimierz Rędzioch

W raporcie z Pensylwanii mówi się o tysiącu nieletnich wykorzystanych przez 300 księży w ostatnich 70 latach. To dużo, ale jaka jest skala podobnych nadużyć w świecie, dotycząca całej populacji?

Fortunato Di Noto: Tysiąc ofiar na przestrzeni trzech pokoleń to dużo, bo nawet jedno dziecko nie powinno być skrzywdzone przez kapłana, ale obecnie na świecie ok. 140 mln dziewcząt i 75 mln chłopców pada ofiarą nadużyć seksualnych. Nie tysiące, ale miliony, proszę to podkreślić! W samym tylko przemyśle pedopornograficznym wykorzystuje się dziesiątki milionów dzieci, a obroty tego haniebnego biznesu sięgają miliardów euro. Ofiarami pedofilów padają dzieci od 0 do 13 lat – tak od 0, bo zdarzają się przypadki molestowania seksualnego niemowląt!

Ale to chyba nie dotyczy Europy?

Oczywiście, że dotyczy to również Europy. Jak podają źródła Światowej Organizacji Zdrowia, w Europie, która ma ok. 741 mln mieszkańców, 18 mln dzieci jest wykorzystywanych seksualnie, 44 mln dzieci poddawane jest przemocy fizycznej, a 55 mln przemocy psychologicznej. Kto o nich mówi? Kto ich broni? Kto szuka i karze ich prześladowców?

Franciszek w sposób zdecydowany potępił nadużycia seksualne księży w czasie swojej podróży do Irlandii oraz w Liście do Ludu Bożego, w którym prosił wiernych o pomoc w ochronie najmłodszych oraz wykorzenieniu plagi, jaką jest wykorzystywanie seksualne dzieci. W odpowiedzi ksiądz napisał list otwarty do papieża. Dlaczego?

Chciałem podziękować papieżowi, ale również – z wielką pokorą – powiedzieć, że pedofilia, wykorzystywanie najmłodszych oraz bezlitosna a rozpowszechniona pornografia dziecięca są prawdziwą plagą na świecie. Ale nie dotyczy tylko Kościoła, wprost przeciwnie. To ludzkość, która stała się „nieludzka", musi się zmienić, ponieważ perwersje dorosłych wobec dzieci stały się zjawiskiem powszechnym. Zdumiewające jest milczenie mediów, ale także władz odpowiedzialnych za kontrolę tego zjawiska i ochronę coraz liczniejszych ofiar wykorzystywania seksualnego.

Dane statystyczne potwierdzają, że przypadki pedofilii wśród kleru stanowią ułamek procentu wszystkich nadużyć na nieletnich. Kto jest więc dzisiaj pedofilem?

W zbiorowej wyobraźni uważa się, że pedofil to jakiś potwór. W rzeczywistości pedofil jest zwykłą osobą, z reguły dbającą o swój wygląd. Często ma dobrą pozycję społeczną. Może mieć postać ojca, matki, wuja, dziadka, sąsiada, pediatry, sędziego, polityka, księdza. W każdym razie jest to osoba, która może zdobyć zaufanie nieletniego. Pedofile twierdzą, że nie robią krzywdy dzieciom, ponieważ ich tylko pożądają, ale nie dopuszczają się przemocy. Kochają dzieci i po prostu chcą ich szczęścia. Niektórzy twierdzą, że pedofile są najbardziej prześladowaną kategorią ludzi, tak jakby byli grupą etnicznie niższą (to sformułowania używane przez włoską sekcję Frontu Wyzwolenia Pedofilów, bo istnieje taka organizacja). Pedofila szczególnie pociągają dzieci w wieku przedpokwitaniowym (do 12.–13. roku życia), a także noworodki.

> Obecnie na świecie ok. 140 mln dziewcząt i 75 mln chłopców pada ofiarą nadużyć seksualnych

W 2015 r. na ekranach kin na całym świecie pojawił się film „Spotlight". Opowiada on o grupie dziennikarzy amerykańskiego dziennika „The Boston Globe", którzy od 2001 r. prowadzili śledztwo w sprawie nadużyć seksualnych kleru wobec nieletnich w Bostonie. Film, dobrze zrobiony i wciągający widza, daje głos ofiarom pedofilów w sutannach, którzy nadużyli zaufania nie tylko dzieci, lecz także Kościoła i samego Boga. Jednak ten film – jak podkreślił słynny włoski dziennikarz Giuliano Ferrara – to gwałtowna antykatolicka i antyklerykalna propaganda powielająca fałszywe przekonania, że pedofilia jest tylko problemem kapłanów i że Kościół broni i chroni pedofilów. I to właśnie ten propagandowy film został nagrodzony Oscarem jako najlepszy obraz roku, a wcześniej dziennikarze „The Boston Globe" za swoje dziennikarskie dochodzenie otrzymali prestiżową Nagrodę Pulitzera. Ich rewelacje dały początek umotywowanej ideologicznie kampanii przeciwko nadużyciom duchownych wobec nieletnich. Ta kampania propagandowa objęła cały świat i trwa do dziś. Sięgnęła również Polski, a jej elementem jest film „Kler". Co ksiądz o tym sądzi?

To wielka hipokryzja! Kościół już od lat walczy z nadużyciami na nieletnich wśród kleru. Dlaczego twórcy nie robią filmów o ohydnych nadużyciach dokonywanych na milionach dzieci przez ludzi z innych środowisk społecznych? Dlaczego nie zwracają się do głów wszystkich państw na świecie, aby zwalczały pedofilię i grupy przestępcze wykorzystujące dzieci? Tylko w ostatnich dniach odkryliśmy w sieci setki filmów z dziesiątkami maltretowanych seksualnie dziećmi. Ich oprawcami były również kobiety. Są to rzeczy nie do opowiedzenia, przerażające! Tym razem były to strony z domeną.de (Niemcy). Czasami aż mi ręce opadają, bo my to wszystko sygnalizujemy, a świat milczy! „Obrońcy dzieci" podnoszą głos tylko wtedy, gdy rozdmuchany zostanie kolejny skandal z kapłanami w roli głównej.

eprasa.pl 6c0f73be05

Milczące stadiony mojego ojca

KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Mój ojciec, bez krztyny przesady, jest legendą. O moim ojcu starsze pokolenie ciągle pamięta. Minęła właśnie czwarta rocznica jego śmierci

Fot. Zbigniew Furman/WPROST

eprasa.pl 6c0f73be05

Wysoki (186 cm) przystojniak przeżył z moją ciężarną matką apokalipsę powstania warszawskiego. Pseudonim Mały. Przedzierał się przez płonące ruiny Starówki ulicami: Miodową aż po Długą. Pod kościołem garnizonowym do dziś w chodniku jest ten sam stalowy właz do kanału. Ci, którzy to przeżyli (pozostali nieliczni), opowiedzieliby o zabitych koniach jedzonych przez wychudzone istoty. O rozstrzeliwanych rannych powstańcach w szpitalach. O palonych przez własowców miotaczami płomieni mieszkańcach Woli. Moja mama, w piątym miesiącu ciąży, próbowała wraz z setkami akowców i cywilów zejść na dół, by wydostać się z matni. Szczęśliwie sprzeciwił się temu 20-letni chłopak ze stenem w dłoniach. Stanowczym głosem rzekł: „Nie przejdzie pani w swojej sytuacji nawet 20 kroków i zatarasuje przejście".

Ojciec kilkakrotnie uszedł pewnej śmierci. Jak mi opowiadał, największym dylematem w jego długim (93 lata) życiu było pytanie: zostać z kolegami na barykadzie czy opiekować się młodziutką żoną? Wybrał to drugie. Być może uratował moją mamę, siebie i mnie. Urodziłem się tuż po upadku powstania.

Gdy piszę te słowa, zastanawiam się nad losem powstańczego pokolenia, które poniosło wielką ofiarę: 10 tys. poległych żołnierzy, 9 tys. rannych, 7 tys. uznanych za zaginionych, 180 tys. zabitych mieszkańców miasta. Dramat Polaków nie skończył się wraz z kapitulacją. 650 tys. osób wygnano z Warszawy. Zastanawiam się, skąd się wzięło następne, niesamowicie uzdolnione pokolenie. Dzieci przedwojennych ministrów, urzędników, adwokatów, kapitanów, sportowców, oficerów wojska polskiego, dyrektorów i właścicieli Wedla, Gerlacha, GAL-u, powstańców AK, wreszcie artystów. Ci wszyscy wspaniali poeci, kompozytorzy, pisarze, aktorzy. Czy dlatego, że ich całe rodziny doświadczyły piekła? Kto wie... Może, by stać się twórcą, trzeba nosić w sobie rany rodziców?

Mój ojciec, bez krztyny przesady, jest legendą. Kiedy codziennie przemierzam schody prowadzące z parteru mego domu na piętro, z ogromnym wzruszeniem mijam bezcenne fotografie matki, ojca, moich dzieci, pozostałej rodziny. W kilku albumach przechowuję zbiór pożółkłych przedwojennych zdjęć. Dbam o moje korzenie.

Bohdan Tomaszewski. Pisarz, komentator sportowy Polskiego Radia i telewizji, autor 15 książek, w tym najpiękniejszej, którą tak prosto zatytułował „Milczące stadiony". Któż nie słuchał jego brylantowej transmisji z biegu Bronisława Malinowskiego po złoty medal na olimpiadzie w Moskwie w 1980 r.? A sprinty Mariana Foika, Wiesława Maniaka na 100 m – tego ostatniego z Bobem Hayesem? Jerzego Chromika i Zdzisława Krzyszkowiaka na 3 km z przeszkodami czy Zbigniewa Makomaskiego, który pokonał mistrza olimpijskiego z Melbourne (1956) Toma Courtneya podczas meczu reprezentacji Polski i Stanów Zjednoczonych w 1958 r.? Najbardziej porywająca pozostanie dla mnie relacja ojca z biegu

REKLAMA

45/1218/F

eprasa.pl 6c0f73be05

Bronisława Malinowskiego. Oto jej fragment: „Malinowski prowadzi, rów z wodą, oby szczęśliwie, oby szczęśliwie! Załamały się nogi pod Baya'em, Malinowski ma 8, 10, 15 m przewagi... tak jest! Złoty... dzień po dniu, dzień po dniu, drugi raz »jeszcze Polska« na Łużnikach... Obejrzał się, obejrzał się, elegancko... nie było w tym wyższości, po prostu chciał sprawdzić... Bronek, Bronek! Malinowski w Moskwie pierwszy! Pierwszy złoty medal, a więc... wygrał!". Bohdan Tomaszewski komentował w sumie 12 olimpiad i niezliczoną ilość lekkoatletycznych meczów oraz kilka ich tysięcy w swej ukochanej dyscyplinie – tenisie. Jako dzieciak byłem na wielu z nich.

> Ojciec mówił do mikrofonu tak, jakby opisywał pole bitwy. Gdy relacjonował szermierkę, boks, maraton czy rzut oszczepem, zdawało mu się, że sam startuje. Tyle było w nim empatii, poezji, a równocześnie realizmu. Czarował tembrem głosu

Opisałem moje niekiedy trudne relacje z ojcem w kilku wydaniach biografii „Zawodowiec" i „Stadion zachodzącego słońca". Rozchodziły się lawinowo, choć złośliwcy szemrali, że „jechałem na jego plecach". Janusz Głowacki tak napisał na ostatniej stronie mojej książki: „Do historii przechodzą na ogół wielcy mordercy. Bohdan Tomaszewski zapewne przejdzie do historii polskiej, zwłaszcza że reprezentuje to coś, co znaczy o wiele więcej, niż bycie dziennikarzem. Bohdan stworzył niezwykłe radio, dzięki któremu wszystko wokół ożyło, i ja bardzo często słuchałem jego z zamkniętymi oczami. Był to taki szalenie intensywny teatr. Był w nim dyrektorem i głównym aktorem. Grał w tym teatrze role tragiczne, zabawne, role zwycięskie, role człowieka będącego w głębokiej depresji i przegrywającego. Pamiętam na przykład, gdy przewrócił się kolarz na stadionie, on mówił: »Polała się polska krew«. Jako dyrektor tego teatru przeszedł do historii, bo to był najbardziej oglądany teatr w Polsce". Gustaw Holoubek powiedział kiedyś trafnie: „Dzięki Bohdanowi – jego wspaniałym sprawozdaniom z Wyścigów Pokoju, lekkiej atletyki i tenisa – pokochałem sport. Jego następcy sprawiają, że zacząłem go nienawidzić...".

Ojciec mówił do mikrofonu tak, jakby opisywał pole bitwy. Gdy relacjonował szermierkę, boks, maraton, skok wzwyż, rzut oszczepem, zdawało mu się, że sam startuje. Tyle było w nim empatii, poezji, a równocześnie realizmu. Czarował tembrem głosu. Głosu niezwykle męskiego, wręcz seksualnego. Czuło się w nim olbrzymią witalność. Pasję życia. Nie na darmo jak nikt znał się na sporcie. Wszak sam go uprawiał przed wojną jako młodzik. Jeździł na nartach, kopał piłkę, a na kortach Legii grywał w tenisa. Z samą Jadwigą Jędrzejowską. Gdy dorastałem, mimo ogromu zajęć znajdował czas, by i mnie nauczyć forehandu oraz backhandu. Szło mi nielekko, gdyż mój stary był wymagającym partnerem. I dobrze. Mam jeszcze dziś w uszach jego zawołania: „Ugnij nogi! Niżej kolana!".

Jego relacje przeszły do historii. Gdy zbliżał się finał pojedynku, finisz wyścigu, ostatnia wymiana meczowej tenisowej piłki, bywał bliski histerii. Ale swoje emocje potrafił dozować. Trzymał je na wodzy. Wybuchał zawsze wtedy, gdy zbliżało się apogeum – ostatni zryw! Kochał ciszę. Twierdził, że cisza bywa niekiedy ważniejsza od samego pojedynku.

Mój ojciec był znakomitym autorem i pisarzem. Oto zaledwie fragment (mój ulubiony) z jego najlepszej książki „Milczące stadiony", wydanej w 1961 r. Opisał w nim Manilę z 1956 r.: „Na podmokłych polach pod miastem woły o skórze przypominającej hipopotama i dziwnych racicach, dzięki którym mogą swobodnie spacerować, małe, obdrapane domki drewniane z werandkami, zdobnymi w lampiony purpurowego koloru, i błoto na ulicach, w którym bawią się chłopcy, podnosząc ciemne głowy na widok konnej rykszy, brudne, zadymione herbaciarnie z jakąś pstrą reklamą, zaułki zupełnie nieoświetlone, rudery ogrodzone resztkami połamanego płotu, zza którego sterczy dyszel wyprzęgniętej rykszy, takiej samej, jaką jadę. Mały, mroczny autobus, nędznie oświetlony wątłą żarówką. Ciemne twarze w środku – jedna ślicznej kobiety, obca jak miasto i zapadający wieczór. Dźwięki muzyki płynące z narożnego baru, przed którym stoi grupka mężczyzn w szerokich, słomkowych kapeluszach o kształcie stożka, w białych, brudnych spodniach i bluzach, wyrzuconych na wierzch".

A oto jak ja opisałem w jego autobiografii „Stadion zachodzącego słońca" w 2008 r. głos taty – jego styl, profesjonalizm: „Transmisja ojca dobiega końca. Po meczu jeszcze mówi do mikrofonu, jeszcze opisuje pustoszejący z wolna stadion, a następnie nagrywa komentarz do wieczornego programu dla Polskiego Radia »Przy muzyce o sporcie«. Ten głos – do tej pory donośny, gardłowy i ostry – nagle staje się o ton cichszy, cieplejszy, bardziej melodyjny. Moduluje, jakby nucił, szuka innego rytmu, nowej barwy. Mój stary ma w tym swój cel. Gdy opadły emocje, zaczyna malować inny pejzaż. I używając miękkich, pastelowych barw, stara się oddać nastrój milczącego stadionu. Odzywa się w nim jego słowiańska nuta. Dają znać o sobie przodkowie. Widzę, jak przesuwa sito mikrofonu do samych ust i objąwszy jego uchwyt oburącz, wyrzuca z siebie cudowne opisy ludzi, światła i przedmiotów. Jego interpretacja staje się teraz bardziej intymna, namiętna, przez to niezwykle sugestywna, pełna kontrolowanej ekspresji. Dobór słów i zdań przypomina styl impresjonistów. Tak, mój stary jest niezły w swoich kawałkach. Szczególnie wówczas, gdy stara się przekazać obraz gasnących emocji. Po wybuchu nieokiełznanego szału, kiedy tłum wstaje z miejsc i opętańczo wrzeszczy, a potem nagle cichnie, co daje ojcu pretekst do oddania niezwykłego kontrapunktu ludzkich namiętności".

Dziś, po czterech latach od jego odejścia za horyzont wśród chmur, stale mam w oczach scenę w szpitalnej salce, gdy z wolna odchodzi. Śmierć nie bywa wzniosła ani oryginalna. Jest solą życia.

eprasa.pl 6c0f73be05

Trudna historia Winnych

Losy mieszkającej w podwarszawskim Brwinowie kilkupokoleniowej rodziny Winnych zostały ujęte w historyczną ramę. Jednak to nie wielka historia, ale wpisani w nią ludzie są w tej opowieści najważniejsi. Familię Winnych siłą doświadczenia, charakteru i matczynej miłości spina nestorka rodu Bronisława Winna, którą zagrała ***Kinga Preis****. Premiera serialu „Stulecie Winnych" w Programie 1 TVP 3 marca*

Fot. VIPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 6c0f73be05

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W prywatnej, współczesnej odsłonie jest pełną pozytywnej energii atrakcyjną kobietą. W wykreowanej na ekranie historii Kinga Preis gra nestorkę rodu Bronisławę Winną – chłopkę, matkę czterech dorosłych synów i babkę osieroconych bliźniaczek, która wspiera najbliższych w czasach dramatycznych wydarzeń rozpiętych między wybuchem I i II wojny światowej.

„Stulecie Winnych" – przez producentów i twórców serialu chętnie porównywane z jednej strony do „Nocy i dni", z drugiej do „Chłopów" – to zrealizowana z rozmachem produkcja, której scenariusz powstał na podstawie pierwszego tomu bestsellerowej sagi Ałbeny Grabowskiej, zatytułowanej „Stulecie Winnych. Ci, którzy przeżyli".

Losy mieszkającej w podwarszawskim Brwinowie kilkupokoleniowej rodziny Winnych zostały ujęte w historyczną ramę. Jednak to nie wielka historia, ale wpisani w nią ludzie są w tej opowieści najważniejsi. Familię Winnych siłą doświadczenia, charakteru i matczynej miłości spina właśnie Bronisława Winna, wspomagana przez nie zawsze odpowiedzialnego męża (w tej roli Roman Gancarczyk).

SZTUKA METAMORFOZY

Kilkadziesiąt lat życiu nestorki rodu dla grającej ją aktorki oznacza m.in. konieczność fizycznej metamorfozy. – Twarz jest moim sprzymierzeńcem, moim narzędziem pracy. Zmienić mogę ją do roli, na co dzień chcę się rozpoznawać w lustrze – mówi pytana o zabiegi upiększające. Przyjmując rolę w „Stuleciu Winnych", musiała zapomnieć o kobiecej próżności. Także swojej twarzy dała bardzo trudne fizyczne zadanie.

– Im bliżej finałowych odcinków, tym zadanie ciekawsze. I możliwość obserwowania wielkiej sztuki charakteryzacji – podkreśla Arkadiusz Janiczek, raptem dwa i pół roku młodszy od Kingi Preis, a grający najstarszego syna Bronisławy Winnej. – W 13. odcinku, czyli w 1939 r., mój bohater ma 52 lata, ja mam dziś 45 – przelicza aktor. – Łatwiej się mnie postarzało, niż odmładzało, jednak nie aż tyle, ile w przypadku mojej serialowej matki.

Janiczek jest dla niej pełen podziwu. Przekonany, że równie wiarygodnie pokazać doświadczaną przez życie starzejącą się kobietę (tak różną na dodatek od prywatnego wizerunku) mogła tylko aktorka miary Kingi Preis.

Wtóruje mu autorka powieści Ałbena Grabowska. – Tylko przez moment, gdy pojawia się w otwierającej serial scenie procesji, myślimy: „O, Kinga Preis", ale już w następnej chwili nie ma na ekranie ani pani Kingi, ani popularnej serialowej Natalii Borowik, jest Bronisława Winna.

Ilona Łepkowska ocenia fachowo: – Jest fantastycznie postarzona, ale ma też w sobie siłę charakteru literackiego pierwowzoru. Tworzac scenariusz, nie myślałam o tym, kto miałby zagrać Bronię, ale ten wybór uważam za znakomity.

Sama zainteresowana mówi o wysoko zawieszonej poprzeczce: – To wyzwanie i niesamowita ciekawość. Postaci i siebie. Ciekawość wynikająca nie tylko ze zmiany zewnętrznej, lecz i możliwości postawienia sobie pytania, jak by to było, mieć tyle lat.

BLISKO SIEBIE SAMYCH

– Najczęściej jesteśmy obsadzani bardzo blisko nas samych. Tak jest łatwiej, szybciej – zauważa aktorka. – Ktoś mnie widzi miłą, uśmiechniętą, łagodną i takie proponuje mi role. A ja, nie chcąc zamykać się w tym jednym wizerunku, dobudowuję sobie kolejne piętra i z tym się mozolę. Tutaj dostałam do zagrania postać – z racji metryki, wychowania, czasu i miejsca akcji – zupełnie inną ode mnie. Nie powiem, żeby było mi z tym od początku łatwiej, ale była to ogromna frajda, wynikająca m.in. z konieczności odróżnienia się od ludzi w moim wieku, którzy grają moje dzieci.

Dodatkowej radości dostarczało aktorce odkrywanie na nowo znanych wcześniej osób. Miała na ich temat jakieś wyobrażenie, ceniła za inny typ ról, tymczasem na planie

eprasa.pl 6c0f73be05

„Stulecia Winnych" widziała np. Jana Wieczorkowskiego. Spotykali się dzień w dzień. Mogła obserwować, jak rozgrywa psychologicznie postać doświadczanego przez los drugiego w kolejności syna Bronisławy.

Ałbena Grabowska, ponoć już pisząc powieść, myślała o Kindze Preis w obsadzie potencjalnego filmu. Była idealną kandydatką do roli Andzi, krewnej Winnych, która pomaga wychować osierocone bliźniaczki Manię i Anię. Teraz jest zachwycona ekranową postacią Bronisławy:

– Kinga Preis ma w sobie absolutną zdolność przeobrażania się w postać, którą gra. Potrafi też „odłączyć się" od wcześniejszych ról. Wtapia się w opowiadaną historię, niesamowicie współpracuje z partnerami na planie. Jestem zaszczycona, że gra główną rolę. A prywatnie to fantastyczna osoba – dorzuca autorka powieści.

OCZAROWANIA I WIZJE

Według Kingi Preis, która z familią Winnych spotkała się już pięć lat temu, podczas lektury książki, która ją pochłonęła, serialowe „Stulecie Winnych" pokazuje siłę prostej wiejskiej rodziny. Zależnej od przyrody, wiary i historii, ale też zdolnej do wielkiej determinacji w walce o siebie, o najbliższych.

Pani Kinga wspomina, że była powieścią oczarowana. Zafascynowana, myślała, jak by to było wspaniale, móc zobaczyć tę historię na ekranie. – Zamarzyłam, jak każdy próżny aktor, żeby w tym zagrać, ale widziałam się w roli raczej młodszej bohaterki. Nie przyznam się jednak, jak się obsadziłam – komentuje z uśmiechem. Teraz jest już inną postacią tej opowieści. Mówi: – Pewnie, jak niejeden czytelnik, mam problem, gdy oglądam ekranizacje książek, które mi się podobają. Inaczej je sobie wyobrażam, niż to, co stwarza reżyser lub operator. Mam jednak nadzieję, że widz nie będzie rozczarowany naszą wizją.

Kadr z serialu „Stulecie Winnych"

Fot. Mat. prasowe

Grający najmłodszego syna Bronisławy Krzysztof Kwiatkowski jest pewien: rozczarowania nie będzie. Wspomina wspólne sceny, gdy na jego oczach powstawał portret kobiety bardzo silnej i zarazem opiekuńczej, która jakoś musi ogarnąć całą rodzinę w kolejnych trudnych sytuacjach związanych z historycznymi przełomami i codziennym życiem. – W tle mamy nadciągającą I wojnę światową, obok jest zaglądający do butelki mąż, pojawiają się konflikty między synami, bracia przeżywają też osobiste tragedie... – wylicza aktor. – W tej konfiguracji buduje się portret nestorki rodu, z jednej strony czułej dla dzieci, ale też twardej i charakternej, dbającej o interes całego rodu.

Bronisława widzi i wie, że czasy są niespokojne, mężczyźni dążą do bitki, a w rodzinie Winnych do pewnego momentu rodzili się sami chłopcy. Podświadomie wyczuwa, że najważniejsza jest miłość, troska i opieka, ale gdy trzeba, potrafi działać.

– Seniorka rodu, matka Stanisława, Romana, Kajetana i Władysława, babcia licznych wnuków – wymienia scenarzystka. – Kobieta, która trzyma tę rodzinę w całości, w ryzach, która uczy swoich synów i wnuki miłości do Polski, która czyta im książki, co nie było takie częste w tamtych czasach i w tej warstwie społecznej.

HISTORIA OD PODSZEWKI

Ałbena Grabowska podkreśla, że Winni to zwykli niezwykli ludzie, których los został wpisany w czas burzliwych zmian. Dość przewrotnie nadane im nazwisko pozwoliło pokazać, jak wyglądają przełomowe historyczne wydarzenia z perspektywy małych ojczyzn i ich mieszkańców.

Do skojarzeń, które budzi „Stulecie Winnych" – także za sprawą seniorki rodu, bardzo ważnej zarówno dla rodziny, jak i opowieści – dołączyć można „Bożą podszewkę" w reż. Izabelli Cywińskiej z pamiętną rolą Danuty Stenki.

Pierwszy sezon „Stulecia Winnych" obejmuje czas do 1939 r., czyli 20 lat. Scenarzyści pracują teraz nad drugą serią, która zamknie się w okolicy śmierci Stalina. Kinga Preis ma więc szansę poprowadzić swoją postać przez kilka dekad. W doborowym towarzystwie (obok wspomnianych aktorów w tej serii zobaczyć będzie można m.in. Katarzynę Kwiatkowską, Olafa Lubaszenkę, Rafała Królikowskiego, Adama Ferencego, Iwonę Bielską). Reżyserem jest Piotr Trzaskalski, a za zdjęcia odpowiadał Witold Płóciennik.

– Robię cały czas rzeczy, które ode mnie czegoś wymagają. Nigdy nie mówię o sobie, że do końca coś o sobie wiem, że coś do końca umiem. Cały czas się uczę, cały czas mam chęć poznawania – podsumowuje Kinga Preis. – Jedyne, czego się w aktorskich zadaniach boję, to tego, że nie będę mogła czegoś ciekawego od siebie zaproponować.

prasa.pl 6c0f73be05

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

We władzy lekarzy

Można dyskutować, czy transmisje przedstawień teatralnych można nazywać Teatrem Telewizji w pełnym znaczeniu – nie mamy tu do czynienia z odrębnym gatunkiem. Pewne jest dla mnie jedno: im więcej takich spektakli TVP utrwali, tym lepiej. Dorobek polskiej kultury nie powinien ginąć. Ta uwaga dotyczy także „Chorego z urojenia" Moliera pokazanego wprost z krakowskiego Teatru im. Słowackiego.

Pamiętam, jak przed rokiem w wywiadzie dla mnie Jan Englert, dyrektor warszawskiego Teatru Narodowego, przeciwstawiał doraźności przedstawień politycznych granemu u niego 12. (teraz już 13.) rok „Świętoszkowi". Zawsze przy kompletach i z owacjami na stojąco. Z „Chorym z urojenia" jest podobnie. Wkrótce minie 17. rok od premiery przedstawienia Giovanniego Pampiglionego.

Po części wpływ na to ma popularność Andrzeja Grabowskiego, Kiepskiego z sitcomu Polsatu, ulubionego komika, ale i celebryty. Gra tu tytułową rolę. Podczas jej grania Molier umarł na scenie. Niemniej, pomijając sławę aktora, świat dawnej, nienaginanej do żadnej współczesnej tezy, komedii okazuje się znów receptą na sukces.

Mamy widowisko skręcające w kierunku comedii dell'arte. Także w kierunku współczesnego kabaretu, ale bez udziwnień i zbytnich ekstrawagancji. Muzyka Macieja Małeckiego jest odpowiednio „dell'artowa". Dekoracje i kostiumy Santiego Migneco fantazyjne, ale nie tyle współczesne, ile będące wariacją na temat klasycznej wyobraźni, nawet jeśli Doktor Czyściciel nosi ciemne okulary. Reżyser nie wychodzi z założenia, że to się gra samo, siłą osobowości aktorów. Ruch sceniczny zaplanowany jest starannie. Żywiołowa zabawa pozostaje żywiołowa tylko pozornie.

Grabowski jest świetny i ma przy boku dobry zespół z Lidią Bogaczówną, Anną Tomaszewską, Tadeuszem Kwintą, Feliksem Szajnertem i innymi. Mnie zaś przychodziły do głowy dodatkowe uwagi. „Chory z urojenia" to jedno z pierwszych przedstawień, jakie oglądałem na scenie – w warszawskim Teatrze Polskim – jako dziecko. Zdążyłem w nim podziwiać Tadeusza Fijewskiego. Wtedy niepopsuty setkami programów rozrywkowych i kabaretowych znajdowałem tam prawdziwy komizm.

A przecież „Chory z urojenia" jest podobny do „Świętoszka". I tu, i tam pan domu rządzi swoją rodziną bezwzględnie, naginając do swoich obsesji. W tym drugim przypadku gotów jest wydać córką za fałszywego dewota. W tym pierwszym za lekarza. Ta łatwość wynika z dziecinnej naiwności, ale korzystanie z władzy naiwne nie jest. Molier jest okrutny, nawet jeśli w finale rozładowuje okrucieństwo łatwym optymizmem zrządzenia losu. Jest też rewolucjonistą – zważywszy, jaki wpływ na zdarzenia ma zmyślna żeńska służba.

Zarazem... „Świętoszek" to punkt wyjścia do ataku na bigoterię. W sam raz na współczesne ideologiczne konflikty. Ale czy ma sens wojowanie dziś z lekarzami? Molier zarzucał im żerowanie na ignorancji reszty ludzkości. Lewatywy nie leczyły, ale można je było aplikować w nieskończoność. Ale brat Argana grany przez Kwintę wygłasza tyradę, którą można czytać jako wyraz niewiary w poznanie ludzkiego organizmu. Molier jako wróg nauki?

A może jeszcze inaczej? Po przedstawieniu uderzył mnie ciąg telewizyjnych reklam podsuwających nam, współczesnym, różne specyfiki. Może to bardziej aktualne niż myślimy? Może to wręcz opowieść o różnych korporacjach, także zawodowych, robiących nam wodę z mózgu uczonymi wywodami? Tylko jak się bronić?

Piotr Zaremba

Rodzina jako formacja kulturowa

Helena Mycielska przeżyła niemal 103 lata. Urodziła się w roku 1906, a zmarła w 2008. Można więc śmiało nazwać ją świadkiem XX w. Jej świadectwo zostało zapisane na kartach dziewięciu szkolnych zeszytów

GRZEGORZ GÓRNY

Sama mówiła o notowanych przez siebie wspomnieniach: „Mój patchwork". Nie jest to bowiem chronologiczna, linearna opowieść, lecz raczej zbiór krótkich form, impresji, minireportaży, opowieści o ludziach, miejscach, wydarzeniach, obyczajach, zjawiskach itd. Przypominają one drobne elementy mozaiki budujące panoramiczny obraz.

Wspomnienia zaczynają się jeszcze przed wybuchem I wojny światowej. Widzimy ówczesny świat z perspektywy dziecka. Przed nami przewija się korowód różnych postaci, zarówno słynnych arystokratów czy księży, jak i niemal nikomu nieznanych, lecz wymienionych z imienia i nazwiska, oraz celnie scharakteryzowanych kamerdynerów, służących, kredensowych, guwernantek, ogrodników, żebraków i wariatów. Prawdopodobnie autorka jest jedyną osobą na świecie, która ocaliła ich od całkowitego zapomnienia.

W swych zapiskach odmalowuje różne koleje losu klasy społecznej, z której się wywodzi, a więc ziemiaństwa. Opisuje życie w szlacheckich dworach w Białaczowie i Boryniczach, rodzinne perypetie podczas I wojny światowej, wydarzenia, których była osobistym świadkiem (np. zamieszki w Krakowie w 1923 r. czy zamach majowy w Warszawie w 1926 r.), dramat II wojny światowej, zagładę elit, instalację komunizmu w Polsce, wywłaszczenie i deklasację ziemiaństwa, długie lata realnego socjalizmu, w końcu upadek systemu i życie w III RP.

Helena Mycielska nie pisze autobiografii ani pracy historycznej – jej impresyjny, migawkowy styl przypomina raczej błyski flesza, które na moment wydobywają z mroków przeszłości konkretne sceny utrwalone w pamięci najpierw dziecka, potem panny, żony, matki, w końcu zaś babci i prababci. Z tej osobistej perspektywy poznajemy świat, który już przeminął, ale w ostatniej niemal chwili został utrwalony na piśmie.

Jakże ułomny i ubogi byłby nasz obraz minionych dziejów, gdyby nie tego typu diariusze, pamiętniki i wspomnienia. Z jednej strony są one świadectwem głęboko obecnego w człowieku pragnienia, by utrwalać na piśmie własny los wpisany w historię wspólnoty, z drugiej zaś – to bezcenna kopalnia wiedzy na temat wydarzeń z przeszłości, których często nie odnotowali zawodowi kronikarze i historycy.

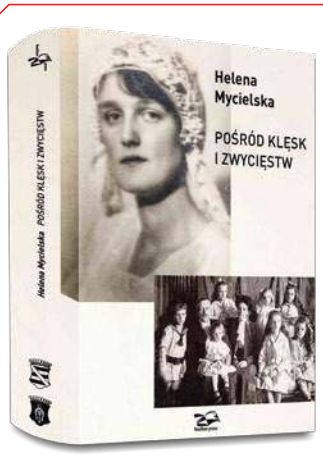

Helena Mycielska, „Pośród klęsk i zwycięstw", Rosikon Press, 2018

Książka Heleny Mycielskiej zwraca uwagę na jeszcze jeden istotny element naszych dziejów, umykający uwadze wielu specjalistów. Jest nim rola rodziny jako formacji kulturowej. Badań nad tym fenomenem nie prowadzono w czasach komunizmu, ponieważ znaczące rody wielopokoleniowe, będące nosicielami wartości wspólnototwórczych (a więc głównie szlacheckie lub mieszczańskie) traktowano w PRL z podejrzliwością jako wrogie klasowo. Po zmianie systemu sytuacja nie uległa większej zmianie – być może dlatego, że historycy mieli zbyt wiele „białych plam" do odkrycia.

W efekcie – chcąc poznać kulturotwórczą rolę rodzin w najnowszej historii Polski – jesteśmy zdani nie tyle na dzieła monograficzne, których brakuje, ile raczej na rozproszone świadectwa pojedynczych osób. Dzięki nim możemy odkryć, że w minionym stuleciu bywały sytuacje, gdy rodziny jawiły się jako jedyne instytucje, w których zachowała się ciągłość historyczna narodu.

Jedną z takich zasłużonych familii byli z pewnością Mycielscy, szczycący się rodowodem sięgającym średniowiecza oraz skoligaceni z wieloma szlacheckimi rodami nie tylko polskimi, lecz także europejskimi. Z ich rodziną spokrewniony był m.in. János Esterházy – przywódca węgierskiej mniejszości w przedwojennej Czechosłowacji, w czasie II wojny światowej zaangażowany w pomoc Polakom i Żydom, a po jej zakończeniu więziony przez komunistów i zmarły w więzieniu. Niedawno w Krakowie abp Marek Jędraszewski rozpoczął jego proces beatyfikacyjny. Pamięć o nim zachowała się głównie dzięki jego rodzonej siostrze – Marii Mycielskiej, co pokazuje, jak ważne jest spisywanie świadectw.

eprasa.pl 6c0f73be05

Muzyczny splendor epoki Wazów

Efektowną oprawę koncertową mają imprezy Roku Wazowskiego. Cykl wystaw i wykładów przybliża nie tylko polityczną i militarną potęgę Rzeczypospolitej XVI i XVII w., lecz także imponującą aktywność muzyczną polskich Wazów

ADAM CIESIELSKI

Podczas inauguracji na Zamku Królewskim zabrzmiały dzieła Marcina Mielczewskiego (początek XVII w.), najszerzej znanego w Europie kompozytora polskiego epoki baroku. Od 1632 r. był on muzykiem w kapeli na dworze Władysława IV w Warszawie, następnie został kapelmistrzem u przyrodniego brata króla, Karola Ferdynanda Wazy – biskupa wrocławskiego i płockiego. Jego utwory grywano m.in. na Śląsku, w Gdańsku, na Węgrzech, Morawach, w Niemczech, Danii, Rosji, we Francji. Wysoki kunszt tego twórcy zarówno w repertuarze sakralnym, jak i świeckim potwierdził teraz międzynarodowy skład Wrocław Baroque Ensemble pod dyrekcją Andrzeja Kosendiaka. Zespół ma już w dorobku dwie płyty z twórczością Mielczewskiego. Dodajmy, że za sprawą działań promocyjnych Instytutu Adama Mickiewicza splendor polskiej muzyki z epoki Wazów, w tym dzieł Mielczewskiego, w nagraniach i na koncertach propagują również znakomite zespoły zagraniczne: francuski Les Traversées Baroques, szwajcarski La Morra i brytyjski The Sixteen.

Jedną z największych atrakcji Roku Wazowskiego jest trwająca do 10 marca wystawa „Król się żeni! »Rolka sztokholmska« – skarb Zamku Królewskiego w Warszawie". To wyjątkowa okazja obejrzenia unikatowego fryzu, ukazującego uroczysty wjazd do Krakowa orszaku ślubnego króla Zygmunta III i arcyksiężniczki Konstancji Austriaczki 4 grudnia 1605 r. Obraz długości 15 m, wykonany przez anonimowego malarza techniką akwareli i gwaszu z użyciem złotej farby, prezentuje blisko 600 uczestników uroczystości. Od Zygmunta III, konno, nieopodal narzeczonej w powozie, jadącego na białym rumaku 10-letniego wówczas królewicza Władysława, po dyplomatów, dworzan i wojsko z oddziałami uskrzydlonej husarii. Barwna rewia mody i ceremoniału dworskiego z początku XVII w. Oryginał, zrabowany przez Szwedów w czasach potopu, został Polsce zwrócony w 1974 r. przez Olofa Palmego.

Serię wydarzeń muzycznych towarzyszących pokazom „Rolki sztokholmskiej" otworzył 10 lutego wieczór z Zespołem Męskim Gregorianum w repertuarze madrygałów Luci Marenzio, włoskiego kompozytora przełomu renesansu i baroku, kapelmistrza na dworze Zygmunta III. Jego wyrafinowana wielogłosowa forma eksponuje walory poezji miłosnej, m.in. sonetów Petrarki. Program dawał wyobrażenie o klimatach koncertów, jakich przy boku ojca słuchał młody Władysław, późniejszy władca Władysław IV. Ten miłośnik i koneser muzyki, pionierski promotor opery, na swym dworze zatrudniał artystów włoskich i polskich, marzył o sprowadzeniu do Warszawy Claudia Monteverdiego.

„Rolka sztokholmska" to początek emocji. Kilkadziesiąt atrakcyjnych koncertów odbędzie się przy okazji kolejnych wystaw Roku Wazowskiego na Zamku Królewskim. Na maj przewidziano wernisaż ekspozycji „Rządzić i olśniewać. Klejnoty i jubilerstwo w Polsce XVI i XVII w.". We wrześniu zobaczymy „Poczet królów Polski. Wizerunki władców na medalach i monetach", puentą obchodów będzie zaś przewidziana na listopad ekspozycja „Świat polskich Wazów. Przestrzeń – ludzie – sztuka". Krzepiąca lekcja historii przy fascynującej muzyce sprzed czterech stuleci.

Rok Wazowski 2019
Koncert inauguracyjny
Wrocław Baroque Ensemble pod dyr. Andrzeja Kosendiaka,
Twórczość Marcina Mielczewskiego,
3 lutego, Zamek Królewski w Warszawie

Koncert towarzyszący wystawie „Król się żeni! »Rolka sztokholmska«"
Zespół Męski Gregorianum pod dyr. Bereniki Jozajtis,
Luca Marenzio: madrygały,
10 lutego, Zamek Królewski w Warszawie
Pełny program Roku Wazowskiego 2019 na stronie: www.zamek-krolewski.pl

eprasa.pl 6c0f73be05

Nie odkładaj pomysłów do szuflady

„Polska gospodarka potrzebuje nowych impulsów rozwojowych, które zapewnią stabilny wzrost konkurencyjności [...], jednocześnie poprawiając jakość życia mieszkańców i ich zamożność" – czytamy w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju

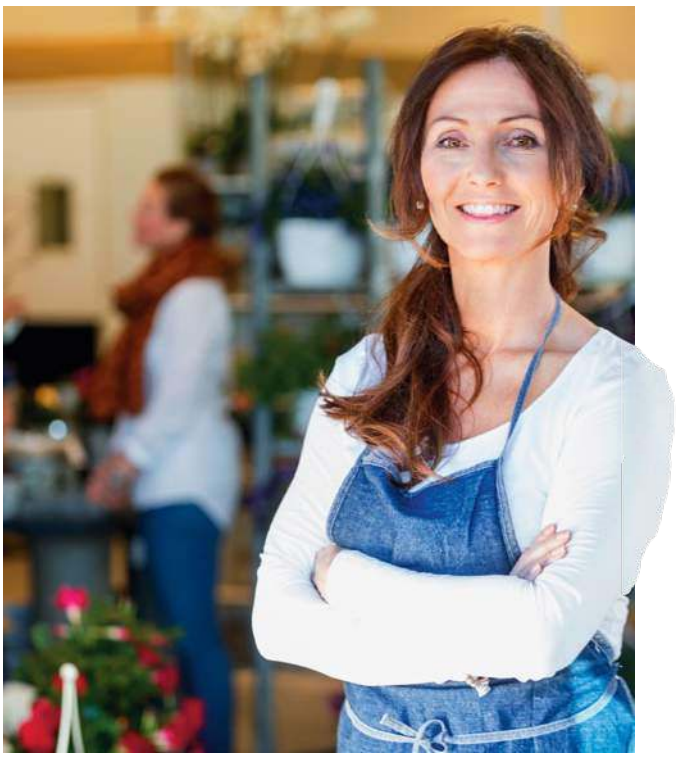

To ważny dokument, który nakreśla nowe kierunki i wskazuje nowoczesne narzędzia służące rozwojowi gospodarczemu naszego kraju. Nie od dziś mamy świadomość, że filarem efektywnej gospodarki są polskie przedsiębiorstwa różnej wielkości, które dzięki swej kreatywności i innowacyjności nie tylko stabilizują rodzimy rynek pracy, lecz również skutecznie konkurują na światowych rynkach.

„Zdrowy rozwój zależy od istnienia i stałego rozwoju zarówno małych, jak i średnich czy też dużych przedsiębiorstw i gospodarstw rolnych – ich współpracy i uzupełniania się na rynku. Odpowiedzialność polega na tworzeniu takich warunków, które pozwolą na wykorzystanie potencjału wszystkich podmiotów obecnych w gospodarce, bez względu na ich wielkość" – napisano w SOR.

Ta strategia wymaga realizacji w rzeczywistości. Przedsiębiorcy, szczególnie ci z sektora małych i średnich firm, potrzebują partnerów, którzy będą wspierać ich w rozwoju przedsiębiorczości. MŚP skupia całą rzeszę innowacyjnych spółek, mających wielki potencjał rozwojowy, prawdziwe „kopalnie pomysłów", które jednak bez zewnętrznego finansowania nigdy nie ujrzałyby światła dziennego. Wielkość spółki bowiem nie przeważa o jej potencjalne, niestety jednak często jest przyczyną wielu barier finansowych ekspansji.

Zewnętrzne kredytowanie pozwala małym i średnim przedsiębiorstwom rozwijać skrzydła: zwiększać kompetencje, inwestować w potrzebną infrastrukturę i sprzęt, poszerzać działalność – nawet na rynki zagraniczne lub o nowe branże, zatrudniać i szkolić pracowników. Warto więc zamiast odkładać genialne plany rozwoju gdzieś głęboko do szuflady w oczekiwaniu na bardziej sprzyjające okoliczności, sięgnąć po wsparcie finansowe od sprawdzonego banku.

Dokonując wyboru oferty kredytowej, należałoby sprawdzić, czy nie jest jedynie z nazwy przeznaczona dla segmentu MŚP: czy rzeczywiście stanowi odpowiedź na aktualne potrzeby przedsiębiorców. Elastyczną ofertę uwzględniającą aktualne trendy na rynku kredytów dla firm znajdziemy w portfolio Idea Banku. – Dla zapracowanego przedsiębiorcy liczy się dostępność różnorodnych form kontaktu z bankiem: zarówno bezpośredniego w placówkach stacjonarnych, jak i telefonicznego czy internetowego – mówi Tomasz Saulewicz, dyrektor Biura Produktów Kredytowych Idea Banku. – Głównym kanałem dystrybucji kredytów w Idea Banku jest aplikacja Obrotomierz. To narzędzie do procesowania transakcji kredytowych umożliwia ekspresową ocenę ryzyka transakcji i wydanie decyzji kredytowej w kilkanaście minut od złożenia wniosku. Zdecydowana liczba klientów otrzymuje środki już w dniu zaakceptowania umowy kredytowej – co często ratuje płynność małych firm – dodaje.

Wspieranie przedsiębiorców to nie tylko indywidualnie dopasowana usługa, lecz również edukacja w obszarze zarządzania finansami. A także – co można znaleźć w ofercie Idea Banku – cały wachlarz usług okołobankowych, jak coworking czy możliwość prowadzenia samodzielnej księgowości (chmura faktur). Dzięki kompleksowemu wsparciu dobrego partnera w biznesie, jakim jest Idea Bank, rodzą się długotrwałe relacje zaspokajające rosnące potrzeby rozwijającego się przedsiębiorstwa. Nowych klientów bank chce zachęcić do współpracy promocją kredytową Kredyt Sprint z oprocentowaniem 0 proc.

AR

Fot. Shutterstock | 39/0219/F

eprasa.pl 6c0f73be05

Wojciech Stanisławski

Przypowieść o biczownikach

Krytyczny namysł nad swoimi słabościami był przez wieki znakiem firmowym Europy i dźwignią jej rozwoju, tarczą chroniącą przed narcyzmem. Dziś stał się jej brzemieniem

Nie ma dnia, żeby w serwisach politycznych nie przemknęła podobna wiadomość: premier X poprosił o wybaczenie; prezydent Y zapowiedział odszkodowania; prominent Z wezwał do zamknięcia i zwrotu zbiorów. Za podobnymi zaś decyzjami większego kalibru stoją dziesiątki i setki innych, których starczy, by wypełnić podszyte nieco teatralną zgrozą rubryki typu „przegląd tygodnia" we wszystkich prawicowych mediach. Zdjęto z afisza „Zabić drozda". Zamalowano mural przedstawiający Kolumba. Zakazano świętowania odkrycia Australii. Co to wszystko znaczy?

Pascal Bruckner zestawia setki takich zjawisk pracy, która wydana 13 lat temu w Paryżu była proroctwem, dziś wydaje się na pierwszy rzut oka zapisem codziennego stanu rzeczy. „Rozważania na temat samobiczowania Zachodu" traktują o postrzeganiu własnej cywilizacji jako źródła wszelkiego zła, jak tworu odpowiedzialnego za wyzysk, wojny i narzucanie fałszywych wzorców na skalę globalną, a co za tym idzie – skazanego na daremny, nieprzynoszący pocieszenia i prowadzący do zatraty cykl przeprosin, zadośćuczynień i samozaprzeczania. W taki właśnie cykl wprzęgnięte zostały kraje Europy Zachodniej i Stany Zjednoczone.

Zjawisko to jest złożone i bierze swój początek z wielu źródeł: jedną z większych zasług Brucknera jest próba wyważenia składowych „świeckiej skruchy", na którą składają się i całkiem trzeźwa ocena zbrodni dokonanych podczas kilkuwiekowej ekspansji kolonialnej, i konsekwentna refleksja nad historią nowożytną w duchu marksizmu, i pospolity konformizm, nakazujący tysiącom publicystów i gwiazdek powielać obiegowe opinie. Niemal równie istotne jest żywotne zainteresowanie rosnącej liczby podmiotów międzynarodowych samobiczowaniem się Zachodu, które przynieść może już to cenne profity, już to bezcenną przewagę moralną: w rzeczy samej, głucho o refleksjach nad dawnymi niegodziwościami wśród potomków Czyngis-chana, nowych władców Państwa Środka, dziedziców chwały dawnych kalifów.

To jedna z istotnych aporii cywilizacji europejskiej, sprzeczności zaledwie wspomnianej w książce Brucknera. Zdolność do dystansowania się wobec swoich dokonań jest bowiem przecież czymś, bez czego nie wyobrażamy sobie rozwoju ani moralności. Nie tylko w wymiarze indywidualnym, również społecznym: krytyczny namysł nad swoimi słabościami, wyrastający w oczywisty sposób z praktyk chrześcijańskich, był przez wieki znakiem firmowym Europy i dźwignią jej rozwoju, tarczą chroniącą przed narcyzmem. Czy to możliwe, żeby na naszych oczach powtórzył się paradoks „ucznia czarnoksiężnika" i Zachód zapaść się miał pod ciężarem nie swoich win, lecz samooskarżeń? Mało kto pisał o tym przed laty w sposób równie przenikliwy, co Leszek Kołakowski, by wspomnieć bodaj jego szkic „Samozatrucie otwartego społeczeństwa". Było to już jednak w czasie, gdy wybitnego filozofa i krytyka współczesności nie tyle słuchano, ile urządzano mu żartobliwe jubileusze, dowodząc mimochodem, że zagłaskanie bywa najskuteczniejszym narzędziem neutralizacji.

Dziś samobiczowanie ma się świetnie, można by nawet wyobrazić sobie szyderczą broszurę zatytułowaną „Flagellacja jako najwyższe stadium imperializmu", a francuski eseista nie tyle dostrzega możliwe, lecz odległe konsekwencje niektórych nurtów myśli europejskiej, ile opisuje rwącą rzekę wyzwisk i werdyktów kierowanych pod adresem dokonań „białego człowieka". Cenne są przy tym szczególnie jego obserwacje nad istnieniem różnych odnóg tej prawdziwej Amazonki potępień. Czym innym jest bowiem (i znów: niebezzasadnym) refleksja nad ideą ludobójstwa, która, praktykowana przez wielu satrapów,

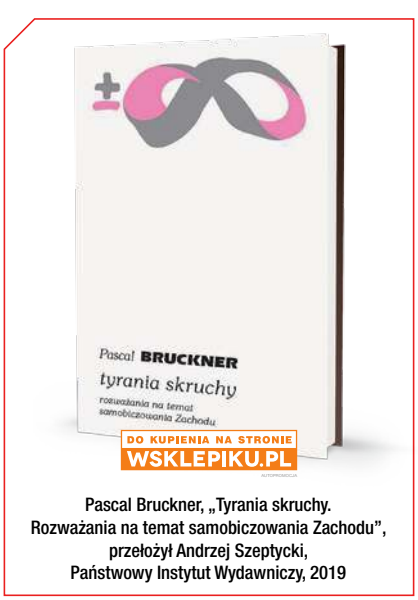

Pascal Bruckner, „Tyrania skruchy. Rozważania na temat samobiczowania Zachodu", przełożył Andrzej Szeptycki, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2019

eprasa.pl 6c0f73be05

została sformułowana i „zracjonalizowana" właśnie w Europie. Czym innym – namysł nad kosztami i przewinami globalizacji i kolonializmu, bardziej bez wątpienia potrzebny w Belgii niż w Bułgarii, zawsze jednak wymagający zniuansowania. Czym innym – pokusa przekierowania całego oburzenia Trzeciego Świata wobec białych wyzyskiwaczy na Stany Zjednoczone – pokusa, której uległo wielu przywódców i myślicieli europejskich, motywowanych tyleż kunktatorstwem, ileż kompleksami niższości, ochoczo szukających usprawiedliwień dla zamachowców z 11 września.

Pascal Bruckner sprawnie porusza się wśród różnych wątków, zogniskowanych wokół mniemanych przewin Zachodu: od oskarżeń o „islamofobię", mających szczególnie dużą wagę polityczną we Francji, po zagadnienia z pogranicza psychologii i duchowości, jakim jest znana wnikliwym spowiednikom skłonność niektórych penitentów do delectatio morosa, do czerpania osobliwej przyjemności z poczucia winy. Skupiony na polemikach wewnątrzfrancuskich, niestroniący od soczystych fraz w rodzaju „zamknąć mu dziób" czy „Arafat miał fart" dawny współtowarzysz, współbojowiec Alaina Finkielkrauta obdarzony jest temperamentem raczej publicysty niż filozofa, przez co jego książka sytuuje się na pograniczu traktatu, apelu i pamfletu, nie przestając być zresztą nader błyskotliwa; to, by tak rzec, raczej „Plus minus kwadrylion" niż „Plus minus nieskończoność", w której serii się ukazała. Na pewno warto przeczytać ją w Polsce, zanim zbyt daleko zaprowadzi nas skrucha wobec Prusów i Jaćwingów. Co nie znaczy z kolei, że myśląc o nich, powinniśmy być całkiem wolni od poczucia winy.

Jaworowy ludzik

Oczywiście znamy już takie zabawy literackie: nie tyle umieścić fikcyjnego bohatera w hojnie wymyślonym świecie, gdzie pisarz niczym sam Pan Bóg może, wymachując rękami, tworzyć nowe miasta i rzeki, wzniecać pożary i epidemie, a przede wszystkim powoływać do istnienia całe konstelacje fikcyjnych rodzin, indywiduów, kochanków, ile umieścić go, przedmiot naszej opowieści, wśród realnie istniejących postaci i wydarzeń historycznych, tak delikatnie, jakby zegarmistrzowską pęsetą umieszczało się miniaturowego ludzika pośrodku gęsto zaludnionej dioramy, uważając, żeby łokciem nie zburzyć stojących już pałaców, w niczym nie naruszyć prawdopodobieństwa.

Tak właśnie czyni w swojej najnowszej minipowieści Miljenko Jergović, wyrastający na następcę Ivona Andricia w swoim talencie do opisywania fenomenu Bośni – państwa niemożliwego, Bośni – krainy, o której śnią wszyscy wielbiciele splątanych rodowodów, języków i obyczajów, by, zapatrzeni, boleśnie uderzyć czołem o potrójne szkło pancerne: nie ma już i nie będzie sennej i niemożliwej ziemi z czasów Franciszka Józefa, Bośni ożywiającej wyobraźnię Ignacego Rzeckiego i narratora „Sanatorium pod klepsydrą". Oddziela nas od niej szkło trzech wojen, a może nigdy jej nie było, może istniała taka tylko na kartach „Konsulów ich cesarskich mości", wczesnego arcydzieła Andricia?

Jergović sięga po pęsetę literatury i w sercu Sarajewa latem 1914, dwa kroki od Gavrila Principa i jego towarzyszy, Danila Ilicia i Nedeljka Čabrinovicia, od sefardyjskiego golibrody Alfreda Moreny, pucybuta Dedeona Morigi z Vlahów i serbskiego pucybuta Dušana Popovicia, w środku wyżłobionej przez Miljackę kotliny, w środku tego „bębna powleczonego olbrzymią jagnięcą skórą, w którą w dzikim afrykańskim rytmie wali dwudziesty wiek" umieszcza małą, fikcyjną figurkę Josipa Gubernika: inżyniera leśnika, tropiciela szczególnej odmiany rosnącego w górach Bośni klonu jaworu, z którego drewna wytwarzano stradivariusy, autor równie fikcyjnych, choć cytowanych niezmordowanie w książce „Dzienników sarajewskich nocy".

Okrutna i czuła zabawa Jergovicia czasem przypomina nam figle Borgesa, szczególnie kiedy wplata fikcyjne dzienniki w prawdziwą historię jugosłowiańskiej literatury, każąc pochylać się nad spuścizną nieszczęśliwie zakochanego dendrologa chorwackiemu poecie Tinowi Ujeviciowi i serbskiemu wydawcy Predragowi Palavestrze; to są smaczki dla miejscowych czytelników. Nagromadzenie sarajewskich tożsamości, splot korzeni arnauckich, tureckich, austriackich, greckich, słowiańskich, jest jak z czytanki multikulti; krytykowałem podobny zabieg, do którego uciekł się w ubiegłym roku Piotr Nesterowicz w „Jeremiaszu", rozdymając nad miarę, niczym papierowy lampion, wielonarodowość ziem Wielkiego Księstwa.

Miljenko Jergović, „Bębny nocy. Studium", przełożyła Magdalena Petryńska, Książkowe Klimaty, 2019

Tyle że w Sarajewie podobna wielonarodowość zdarzyła się naprawdę – a Jergović, który nie dba o nieprawdopodobieństwa, który snuje historie o dźwięcznych jaworowych deszczułkach, o skrzynce z togą Kreona wypożyczonej z zagrzebskiego teatru i o miłości do autystycznej żydowskiej dziewczyny okazuje się raz jeszcze mistrzem opowieści i pojedynczej frazy. Ta książka to objaśnienie fenomenu Bośni udzielone nie w trybie podręcznika, lecz snu: nie zapomnijcie jej spakować, ruszając na wakacje na południe.

eprasa.pl 6c0f73be05

Adamski poleca

Kino

Surowa miłość ojca

Widać, że Łukasz Grzegorzek dobrze by się czuł, kręcąc niezależne filmy w USA, pokazywane potem na Sundance. Już debiutancki „Kamper" (2016) pokazał, że reżyser potrafi przeszczepić ten rodzaj kina na polski grunt. „Córka trenera" wypełnia wszystkie założenia jankeskiego kina drogi w wydaniu indie. Grzegorzek słodko-gorzką miksturę, która przez jedną fałszywą nutę bardzo łatwo może się stać niestrawna, podaje w idealnie wyważonych proporcjach.

Film otwiera scena treningu 17-letniej Wiktorii (Karolina Bruchnicka) i jej ojca Macieja (Jacek Braciak). Ojciec i córka przepychają między sobą wielką oponę. Typowy trening wytrzymałościowy symbolizuje przesłanie całego filmu. Karolina podąża trudną drogą, by stać się zawodową tenisistką. Jej ojciec trener niczego bardziej nie pragnie niż jej sukcesu. W upalne lato jadą przez Polskę, zaliczając kolejne turnieje tenisowe. Wykańczające treningi, kolejne wyrzeczenia i poświęcenie – to ich wakacyjna codzienność. On kładzie na szali swoje zdrowie. Ona poświęca swoją młodość, która nie upływa na imprezowaniu z przyjaciółmi, ale ciężkiej pracy. Maciej bierze pod swoje skrzydła poznanego na jednym z turniejów Igora (Bartłomiej Kowalski). Widzi w nim wielki talent, marnowany przez niezdyscyplinowanie. Idealna harmonia między ojcem a córką zostaje zachwiana przez pojawienie się tego trzeciego.

Najmocniejszym punktem „Córki trenera" jest świetnie skrojony i inteligentny scenariusz Krzysztofa Umińskiego oraz Grzegorzka. W półtoragodzinnym filmie zawarli dwie ważne opowieści. Z jednej strony dostajemy film sportowy, pokazujący, jak wygląda pierwszy krok do zrealizowania marzeń o byciu następcą Radwańskiej i Fibaka. Prowincjonalne i przaśne turnieje o puchar wójta, przydrożne motele przy stacjach benzynowych, pole namiotowe na Mazurach i codzienny morderczy trening. Surowa rzeczywistość, a nie bajka z Wimbledonu. O wiele ważniejsza jest relacja ojca i córki. Ten film ma coś, czego nie ma przesadnie oklaskiwany hollywoodzki „Whiplash" Chazelle'a. Tutaj surowy i skrajnie ambitny trener ma ludzką twarz. Nie jest sierżantem Hartmanem z „Full Metal Jacket".

Braciak tworzy wspaniałą rolę kochającego ojca. Ojca, który wybrał przyszłość córce. „Powiesiłem nad jej kołyską piłkę tenisową" – opowiada poznanej na Mazurach kobiecie (Agata Buzek). Czy córka poświęca się karierze nie z miłości do tenisa, ale z miłości do ojca? Czy on bierze pod uwagę, że jej marzenia mogą być inne? Braciak płynnie przechodzi między skrajnymi emocjami. Maciej wzrusza, bawi i wzbudza zażenowanie. Dobrze wypada też debiutująca Bruchnicka, pokazująca zarówno bunt niesfornej nastolatki, jak i potrzebę bliskości z ojcem.

Wszystko jest okraszone lekkimi, inteligentnymi i zabawnymi dialogami. Mimo lekkości, pięknie pokazanej Polski letnią porą nie zapominamy, że to film traktujący o poważnych sprawach. Każdy rodzic dorastającego dziecka może się w „Córce trenera" przejrzeć. To samo może zrobić zbuntowany nastolatek. To największa siła filmu Grzegorzka.

„CÓRKA TRENERA", REŻ. ŁUKASZ GRZEGORZEK, DYSTR. AKSON

DVD

Powrót Adasia

Adaś Miauczyński to najsłynniejszy neurotyk polskiego kina. Marek Koterski stworzył jedną z najbardziej charakterystycznych postaci w historii polskiej tragikomedii. W każdym ze swoich filmów mówił o sobie. Ukrywał swoje największe lęki, frustracje i emocjonalne pogruchotanie pod warstwą specyficznego humoru i języka, który sam wykreował na ekranie.

„7 uczuć" to powrót do dzieciństwa, a więc okresu, gdy najmocniej kształtują się nasze emocje i uczucia. Strach, złość, smutek, radość, wstręt, zazdrość, wstyd – siedem uczuć, których uczymy się w dzieciństwie. Próbujemy, ale natrafiamy na jedną zasadniczą przeszkodę – tyranię dorosłych.

To zabawny i zarazem mądry film z wykrzyczanym w twarz morałem. Koterski wraz z aktorami bawi się pomysłem, by dorośli grali dzieci, co samo w sobie jest komiczne. Muskała, Figura, Dorociński, Mastalerz czy Bogdańska wywołują salwy śmiechu. A prym wiedzie Michał Koterski, który pierwszy raz zagrał nie syna, ale samego Adasia. Rola napisana pod niego.

„7 UCZUĆ", REŻ. MAREK KOTERSKI, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 6c0f73be05

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Piękna wydmuszka

„Terminator" spotyka „Desperado"? „Avatar" łączy się z „Sin City"? Można było tak marzyć po tym, gdy się okazało, że James Cameron połączył siły z Robertem Rodriguezem w ekranizacji kultowej mangi od Yukito Kishirio. Na marzeniach się skończyło.

„Alita: Battle Angel" jest filmem Jamesa Camerona, któremu nie chciało się tracić czasu, by go reżyserować, i wynajął sobie Rodrigueza. Ten konsultował każde ujęcie z Cameronem, rezygnując przy tym ze swojej urwisowskiej radości z robienia filmów, która stoi za sukcesem „Pewnego razu w Meksyku" i wskrzeszeniem grindhouse'owej pulpy („Planet Terror", „Maczeta"). „Alita..." jest wizualnym majstersztykiem. To żadne zaskoczenie, skoro film robią spece od Camerona pracującego obecnie nad nowymi „Avatarami". Problemem „Ality..." jest sztampowy i podziurawiony scenariusz.

Rok 2563. Katastroficzna wojna zwana „The Fall" zdewastowała Ziemię. Metropolie zamieniły się w złomowiska. Z podniebnych miast przetrwało tylko jedno. Zalem jest niedostępnym dla pospólstwa żyjącego na ziemi rajem. Nadzieja na dostanie się do miasta wybrańców jest jedna – trzeba wygrać morderczy wyścig Motorball. Tyle że jest to możliwe jedynie w przypadku cyborgów. Doktor Dyson Ido (Christopher Waltz) nawet w upadłym świecie zachowuje człowieczeństwo. Pomaga zdekompletowanym cyborgom bezpłatnie. Po znalezieniu na wysypisku resztki wciąż „żyjącego" cyborga o pięknej twarzy młodej kobiety odzywa się w nim Gepetto. Naprawia robota i nazywa go Alita (Rosa Salazar). Okazuje się, że nie jest to zwykły cyborg, ale wytrenowana maszyna do zabijania, która w końcu rzuci wyzwanie łotrom z Zalemu.

Walki w Motorball, bitwy między wymyślnymi cyborgami (uroczy Ed Skrein jako narcystyczny robot) i konstrukcja miasta to nie są zwykłe efekty CGI. Duet Cameron–Rodriguez dopracował świat w najdrobniejszych szczegółach, by nie razić nas sztucznością. Twórcom nie zależy na snuciu

Kino

dystopijnych proroctw ani dysput o transhumanizmie. Słusznie. Po co mają naśladować „Łowcę androidów"?

Jednak po połowie interesująco rozwijanych wątków bombardują nas scenariuszowe skróty i wyświechtane rozwiązania. Akcja pędzi jak szalona, motywy bohaterów idą w kąt, Waltz korzysta wyłącznie z zestawu min, które dały mu dwa Oscary w filmach Tarantino, a czarne charaktery są irytująco plakatowe. Trudno zaakceptować to, że nie wykorzystano potencjału zdobywców Oscara – Jennifer Connelly i Mahershala Ali, którzy błąkają się po pięknie wykreowanych plenerach i w komiksowy sposób wypowiadają swoje villianowskie kwestie.

„Alita..." prędko uleci wam z głów. Możliwe, że powstaną sequele, co zapowiada finał „Battle Angel". Może wizja Camerona spowoduje, że będziecie na nie czekać. Mnie wystarczy ta część. Do jednorazowego spożycia.

„ALITA: BATTLE ANGEL",
REŻ. ROBERT RODRIGUEZ, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX

Czas na emeryturę

VOD

Z przykrością ogląda się jedyny w karierze miniserial Woody'ego Allena. „Crisis in six scenes" pokazuje, że 83-letni maestro jest już wyłącznie cieniem samego siebie. Niestety może to być ostatnia produkcja twórcy, który od pół wieku kręci jeden film rocznie, przekonując, że tylko to utrzymuje go przy życiu. Amazon przez zarzuty o molestowanie sprzed 40 lat „aresztował" jego „A Rainy day in New York". Sprawa skończyła się w sądzie. „W tej knajpie jedzenie jest fatalne. I do tego podają takie małe porcje!" – ta stara maksyma Allena wzięta od Groucho Marxa idealnie symbolizuje ten osadzony w latach 60. serial. Allen zawsze lubił wbijać szpilki amerykańskiej prawicy. Tutaj kpi z zapatrzonych w Fidela (Miley Cyrus jako lewacka terrorystka) hipisowskich rewolucjonistów oraz rozpuszczonych kapitalizmem intelektualistów zaczytujących się Mao i Leninem. Niestety wszystko wygląda jak odrzucone sceny z jego największych dzieł lat 70. i 80. Allen jest widocznie zmęczony aktorstwem, a gagi trącą teatralnością. W każdym z sześciu odcinków widać kryzys stetryczałego maestra. Smutne.

„CRISIS IN SIX SCENES"
DOSTĘPNY NA AMAZON PRIME

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 6c0f73be05

Nie odpuścimy Macronowi

Potrzeba nam polityki, w której centrum stoi człowiek. Europa składa się z krajów, które powstały w oparciu o wartości. Nie możemy pozwolić na ich zniszczenie. Każdy kraj ma swoje wartości i musimy je chronić – mówi jeden z liderów „żółtych kamizelek" we francuskim departamencie Vaucluse, współzałożyciel Alternatywnego Ruchu Obywatelskiego, kowal **Christophe Chalençon** w rozmowie z Aleksandrą Rybińską

Media nad Sekwaną określają protesty „żółtych kamizelek" „rewolucją". Chcecie obalić prezydenta Emmanuela Macrona? Siłą zmienić system polityczny Francji?

Christophe Chalençon: „Rewolucja" to nie jest dobre określenie. Nie chodzi nam o rewolucję, tylko o ewolucję. Systemu politycznego – tak by służył ludziom. Mieliśmy rewolucję w 1789 r. Upadła monarchia absolutna. Potem przez jeden lub dwa wieki mieliśmy niby-demokrację, a tak naprawdę rządziła burżuazyjna oligarchia, czyli wróciliśmy do punktu wyjścia. Rewolucja po to, by nie zmieniło się nic. Dziś burżuazję zastąpiła kosmopolityczna finansjera. My chcemy wyzerować system. Globalizacja, wspierana w Europie przez USA, niszczy narody, regiony wiejskie, rzemiosło. Służy wyłącznie niewielkiej liczbie ludzi. Tym, którzy żyją w dużych, kosmopolitycznych miastach i nie są przywiązani do ziemi. Człowiek, by się skonstruować i móc funkcjonować, potrzebuje rodziny, potrzebuje także terytorium, czyli ok. 40 km przestrzeni wokół siebie, gdzie będzie się toczyło 85 do 90 proc. jego życia. Jeśli go stać, to pojedzie od czasu do czasu na wakacje. Tak wygląda życie przeciętnego człowieka. Ci, którzy jeżdżą po świecie, przesiadając się z samolotu w pociąg, są w mniejszości, ale to oni decydują o tym, jak reszta ma żyć. Ewolucja, do której dążymy, opiera się na kilku prostych zasadach: chcemy sprawiedliwej redystrybucji bogactwa, chcemy

38/0219/F

eprasa.pl 6c0f73be05

bardziej sprawiedliwych podatków. Nie może być tak, że władze sięgają do kieszeni skromnych rzemieślników takich jak ja, podczas gdy firmy CAC40 [francuski indeks giełdowy – dop. red.] uprawiają tzw. optymalizację podatkową, czyli unikają płacenia podatków we Francji. My je do tego zmusimy. Chodzi o podstawową sprawiedliwość społeczną. Chcemy nieco przewietrzyć V Republikę.

Mówi pan o terenach wiejskich, o prowincji i „tych tam" w Paryżu. Co z przedmieściami, imigranckimi gettami? Problem imigracji wydaje się całkowicie nieobecny w dyskursie „żółtych kamizelek", a przecież obciąża system socjalny...

Mówimy o tym. Nie mamy jednak tej samej wizji, co Marine Le Pen, która wszędzie chce budować mury. Jesteśmy humanistami. Imigracja dziś to w większości przybysze z Afryki. Czarny Ląd jest eksploatowany przez Stany Zjednoczone, Europę i Chiny. To najbogatszy kontynent na globie. Finansjera wspiera tam różnorodnych dyktatorów, którzy gnębią obywateli. To musi się skończyć. Musimy pozwolić Afryce otworzyć się na demokrację i rozwój gospodarczy, by ludzie mogli żyć z bogactwa swojej ziemi. Z bogactw naturalnych, rozwinąć przemysł. Wtedy mieszkańcy Afryki przestaną przyjeżdżać do Europy, przekraczając Morze Śródziemne i ryzykując przy tym życiem. Wszystko po to, by następnie być wykorzystywanym jako tania siła robocza w takich metropoliach jak Paryż. Musimy także bronić zasady laickości Republiki. Nie może być tak, by imamowie wygłaszali w meczetach kazania pełne nienawiści. Religia należy do sfery prywatnej. Koniec kropka. Dla tych, którzy nie akceptują zasad i wartości Republiki, nie ma w niej miejsca. Tyle mogę powiedzieć.

A co z Unią Europejską? Przekaz „żółtych kamizelek" jest tu dość sprzeczny. Jedni mówią o frexicie, inni chcą budować paneuropejską sieć sfrustrowanych i zmieniać system od wewnątrz.

Unia Europejska niszczy Francję. Niszczy narody w imię otwartych rynków. Francja przeszła całkowitą deindustrializację. Dziś nawet tabletki na ból głowy są produkowane w Chinach. Skutkiem jest brak przemysłu, brak miejsc pracy. Stajemy się powoli społeczeństwem wspomaganych przez państwo. Musimy z tym skończyć. Przywrócić bariery handlowe, by zatrzymać tę krwawicę. Musimy stworzyć Europę socjalną. Ta Europa socjalna stanie się rzeczywistością, gdy pensja minimalna każdego robotnika będzie identyczna we wszystkich krajach Unii, gdy koszt pracy będzie identyczny we wszystkich krajach Unii. Wtedy będziemy mogli ponownie otworzyć granice. Obecnie jednak dalej niszczymy Francję. Dlatego ludzie się buntują. Albo Macron zatrzyma proces niszczenia narodu francuskiego i stanie się prawdziwym przywódcą

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście jest ubezpieczenie!

NOWOŚĆ

Ubezpieczenia mieszkaniowe

W ofercie dostępne również ubezpieczenia: podróżne, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl

eprasa.pl 6c0f73be05

Christophe Chalençon

Fot. Z archiwum Christophe'a Chalençona

suwerennej Francji, albo będzie dalej dążył do tego, by być prezydentem Europy. Ale wtedy będzie miał problem.

Ma pan wrażenie, że prezydent Francji was słucha? Przekaz „żółtych kamizelek" do niego trafia?

On jest zmuszony nas słuchać, bo polityka, za którą nas sprzedał, utknęła w martwym punkcie. Nie ma więc innego wyboru. Nie pozwolimy, by nas ignorował. Albo będzie nas słuchał i zmieni swoją politykę, albo będzie stracony. My mu nie odpuścimy!

To znaczy?

Wypędzimy go z Pałacu Elizejskiego.

To nie trochę naiwne sądzić, że wystarczy pozbyć się Macrona i wszystko będzie dobrze? Reformy zazwyczaj są bolesne i wymagają czasu. Problemy, z którymi boryka się Francja, nie pojawiły się dopiero za prezydentury Macrona, tylko narastały przez wiele lat.

Bolesne, bolesne. On to ciągle powtarza, bo chce nas zmusić do połknięcia tej gorzkiej pigułki. Jego obchodzą tylko wielkie korporacje, które uprawiają kradzież fiskalną! To ich interesów broni. Te firmy muszą zacząć płacić podatki we Francji i pomóc w jej rekonstrukcji. Potrzebujemy nowego paktu socjalnego. Podobnego do tego, który generał de Gaulle zawarł po wojnie z komunistami. Musimy wspólnie usiąść przy stole i zacząć od nowa. Każdy obywatel ma prawo do pracy. Praca jest sposobem na awans społeczny. Praca, która nam sprawia radość, dlatego kształcenie zawodowe młodzieży jest takie ważne. 90–95 proc. francuskiego terytorium to regiony wiejskie. Musimy więc wspomóc przede wszystkim małe i średnie przedsiębiorstwa, rzemieślników i rolników.

Przywrócenie barier handlowych i walka z dumpingiem socjalnym wymagałyby w tym kształcie, jaki pan proponuje, wyjścia Francji z Unii Europejskiej. Czy się mylę?

Myli się pani. Nie ma takiej potrzeby. Bo nie tylko Francja się dziś budzi. Wszystkie narody Europy się budzą. Tworzy się nowa, kolektywna świadomość w Europie. Francja zawsze była motorem Europy i nie inaczej jest dziś. Rozbudziliśmy [ruch „żółtych kamizelek" – dop. red.] nadzieje w innych narodach Starego Kontynentu. To znaczy, że otrzymaliśmy szansę na to, by zmienić Unię Europejską od wewnątrz. A pomysłów jest wiele: gospodarka ekologiczna, Europa socjalna zamiast kapitalistycznej, która w końcu zniszczy planetę. To bardzo proste. Albo nam się to uda, albo Francję i Europę czeka dalsza degrengolada. Macron upadnie i pociągnie za sobą V Republikę oraz całą Europę. Macron ma za sobą finansjerę, która pomogła mu zdobyć prezydenturę, ale przed sobą ma całą ludzkość.

No przecież uruchomił narodową debatę, obiecał, że wysłucha każdego Francuza...

Akurat. To folklor, a nie debata narodowa. Macron sobie po prostu urządza kampanię przed wyborami do Parlamentu Europejskiego na koszt Francuzów. Od trzech miesięcy protestujemy na ulicach i jasno wyrażamy nasze postulaty. Prezydent więc dobrze wie, czego chcą Francuzi. Ta debata to więc nic innego jak mydlenie oczu, sposób, by zyskać na czasie. Do tego dochodzą rundy dyskusyjne z burmistrzami na prowincji, którzy w taki czy inny sposób są skoligaceni z prezydencką partią La Republique en Marche (LREM). Czysty folklor. On nas naprawdę ma za idiotów. System Macrona dzieli się tak naprawdę na dwie części: z jednej strony są posłowie jego partii, wybrani po części spośród zwykłych ludzi wierzących, że wniosą nową jakość do polityki, a teraz głównie usprawiedliwiających głupoty swojego szefa. A z drugiej strony jest tzw. Macronie, czyli on i jego świta. Czysta polityka wertykalna. A ta polityka jest martwa. Zabiła ją choćby

1/0219/F

eprasa.pl 6c0f73be05

afera Benalla. A „żółte kamizelki" teraz dobijają LREM.

Tyle że „żółte kamizelki" nie są spójnym ruchem. Brakuje wyraźnego przywództwa, wyraźnej politycznej linii, zamiast tego mamy kakofonię głosów i postulatów. I więcej liderów niż jestem w stanie policzyć.

Ruch „żółtych kamizelek" przechodzi obecnie przemianę. Dotąd walczyliśmy głównie na ulicy i anarchiści chcą nadal iść tą drogą, siać chaos. Dlaczego? Bo skrajna lewica taka właśnie jest. To oni demolują sklepy i urządzają sobie bitwy z policją. Chcą doprowadzić do upadku V Republiki. A skrajna prawica chce zbić polityczny kapitał na protestach, by zdobyć głosy w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Większość „żółtych kamizelek" chce jednak czegoś innego. Chce polityki rozumnej, racjonalnej. Protesty trwają już ponad trzy miesiące, a żadnej z francuskich partii politycznych nie udało się dotąd przejąć ruchu. Bo my tych partii nie potrzebujemy. Stworzymy własny, wielki ruch obywatelski. Ludowy. Staniemy się lustrzanym odbiciem partii Macrona. Stworzymy zgromadzenia obywatelskie w regionach. We wszystkich francuskich gminach. Demokracja bezpośrednia zamiast reprezentacyjnej. Stworzyliśmy listę na wybory do Parlamentu Europejskiego, ale ta lista niestety już się rozsypała. Bo doszło do sporów i zabrakło jasnej wizji. Ale pracujemy nad nową listą. Sam nie będę startował. Jestem kowalem, tworzę narzędzia. Teraz pracuję nad stworzeniem długoterminowej wizji ruchu. W następnych wyborach prezydenckich wystawimy kandydata wywodzącego się z rodzącego się właśnie ruchu obywatelskiego.

„Żółtymi kamizelkami" interesują się także różne siły polityczne spoza Francji. Niedawno u „żółtych kamizelek" w podparyskim Morangis gościł Luigi Di Maio, lider włoskiego Ruchu Pięciu Gwiazd. Spotkał się pan z nim. Dlaczego? On nie chce zbić politycznego kapitału na protestach?

Nie o to chodzi. Chcemy współpracować z innymi ruchami w Europie, tak długo, jak są one obywatelskie, a nie populistyczne. Oraz tak długo, jak sytuują się w politycznym centrum, czyli nie są ani skrajnie lewicowe, ani prawicowe. Droga rozsądku, a nie droga zniszczenia. Potrzeba nam polityki, w której centrum stoi człowiek. Europa składa się z krajów, które powstały w oparciu o wartości. Nie możemy pozwolić na ich zniszczenie. Każdy kraj ma swoje wartości i musimy je chronić. Musimy odbudować prowincję. Ludzie żyją nie tylko w metropoliach. Musimy przypomnieć o wartości pracy, o humanizmie. Jak to możliwe, że w XXI w. nie jesteśmy w stanie zasiąść wspólnie do jednego stołu i znaleźć rozwiązania dla naszych problemów? My, obywatele. To musi być możliwe. Bardzo bym tego chciał.

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

Czym jeżdżą Polacy

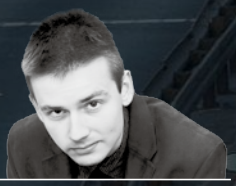

ARKADY SAULSKI

Polacy kupują rekordową liczbę aut, jednak miażdżąca większość z nich to samochody stare, a nawet bardzo stare. Ale w ubiegłym roku nabyli najwięcej w historii pojazdów nowych, co może świadczyć o tym, że nie lękamy się innowacji i chętnie spoglądamy w przyszłość ku rozwiązaniom oferowanym przez elektromobilność

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6c0f73be05

Dane zebrane przez Instytut Badań Rynku Motoryzacyjnego „Samar" w dokumencie „Polski rynek motoryzacyjny" nie pozostawiają wątpliwości – rok 2018 był dla importu używanych samochodów osobowych i dostawczych niezwykle ważny. Na tym polu polscy nabywcy wspięli się na czwarty wynik w historii. Import aut używanych (osobowych i dostawczych o DMC do 3,5 tony) wyniósł 1 003 290 sztuk, o 7,1 proc. więcej niż w 2017 r. Tylko w grudniu ubiegłego roku Polacy sprowadzili 68 930 aut, o 5,7 proc. więcej niż rok wcześniej.

Niestety na nasze drogi trafiają najczęściej pojazdy stare. Najpopularniejszy sprowadzany rocznik to 2007. Średni wiek samochodów sięga 11 lat i 10 miesięcy. Skąd importujemy? Najwięcej oczywiście z Niemiec – 58 proc., z Francji – 9 proc. oraz z Belgii – 7 proc.

Dokąd trafiają najczęściej sprowadzane auta? Głównie do Wielkopolski (12,4 proc.) i na Mazowsze (12,3 proc.), za którym plasuje się Śląsk (9,9 proc.). Istotne są też wskaźniki wzrostu importu – największy w województwie podlaskim (9,3 proc.), najmniejszy w Wielkopolsce (5,7 proc.).

LIDER Z NIEMIEC

„Niekwestionowanym liderem rynku samochodów używanych jest Volkswagen z liczbą 121 848 sztuk i udziałem 12,1 proc. Kolejna lokata należy do Opla (108 722 sztuki, 10,8 proc.), a dalsze do Audi i Forda (odpowiednio 83 178 sztuk, 8,3 proc., i 81 821 sztuk, 8,2 proc.)" – czytamy w opracowaniu instytutu Samar. Co ciekawe, gwałtownie rośnie import samochodów Audi, konkretnie modelu Audi A4 – wynik 35 565 sztuk sprawia, że marka ta cieszy się nadzwyczajną popularnością, systematycznie powiększając przewagę. Na kolejnych miejscach plasują się Volkswagen Golf (32 838 sztuk) oraz Opel Astra (30 416 sztuk).

SILNIK? TYLKO DIESEL

Mimo wielu działań zarówno rządu, jak i niezależnych organizacji na rzecz promocji rozwiązań przyjaznych środowisku wśród Polaków nadal największą popularnością cieszą się auta z silnikami Diesla. Takie samochody znacząco dominują nad konkurencją – ten trend w ciągu ostatnich 12 miesięcy wzrósł do poziomu 43,1 proc. Jak informuje Samar, „ostatnio taki wynik obserwowaliśmy w maju 2016 r., jednak wtedy udział ten spadał z miesiąca na miesiąc, a teraz rośnie nieprzerwanie od maja 2017 r. W samym grudniu udział diesla wyniósł 43,8 proc.".

Pocieszające pozostaje to, że choć udział silników wysokoprężnych rośnie, to i tak wyposażone w nie samochody są młodsze od bardzo nieprzyjaznych środowisku silników benzynowych. Statystyczny diesel sprowadzony w 2018 r. miał 10 lat i 8 miesięcy, z kolei wersje benzynowe – średnio 13 lat.

Skąd sprowadzanych jest najwięcej aut zasilanych olejem napędowym? Głównie z Niemiec (51 proc.), Francji (16 proc.), a także Belgii (13 proc.) – to właśnie owe trzy kraje stanowią obecnie 80 proc. importu diesla.

Co istotne, od wejścia naszego kraju do Unii Europejskiej, które nastąpiło 1 maja 2004 r., import używanych samochodów wyniósł 13,3 mln aut. W tym czasie zarejestrowanych zostało 5,5 mln nowych samochodów.

Ważne są też dane dotyczące pojemności silników, a także tego, jak na imporcie pojazdów zarabia skarb państwa. Jak informuje Samar, „samochody z silnikami o poj. od 1 do 2 l stanowią 85,5 proc. importowanych aut. Najpopularniejszym przedziałem jest 1,6–2,0 (390 745 sztuk, udział 42,6 proc.). Pojazdy z silnikami powyżej 2 l, czyli podlegające akcyzie 18,6 proc., stanowią 11,6 proc. importu". To właśnie na tych ostatnich autach budżet zarabia najwięcej. Jak wskazują dostępne dane obejmujące pierwsze 10 miesięcy ubiegłego roku, przychody z tytułu podatku akcyzowego wyniosły ponad 737 mln zł, a to oznacza, że każdego miesiąca budżet zasilony był kwotą ponad 73,7 mln zł, pochodzącą z tego podatku.

Co realnie oznaczają powyższe dane dla obrazu tego, czym jeżdżą Polacy? Jak analizuje Michał Hadyś z IBRM Samar, w 2018 r. padł rekord pierwszych rejestracji samochodów osobowych i dostawczych DMC do 3,5 tony w Polsce. Łącznie zarejestrowanych zostało 1 604 081 aut. To pobicie rekordu sprzed dekady, czyli z 2008 r., kiedy to zarejestrowano 1 548 702 auta. Wtedy jednak za taki wynik odpowiedzialny był wysoki odsetek importowanych aut używanych (można wręcz mówić o rekordzie). „Ciekawie prezentuje się struktura rejestracji ze względu na typ klienta w 2018 r." – wskazuje Hadyś i dodaje: „W przypadku importu – 97 proc. aut zarejestrowały osoby prywatne (972 801 sztuk), w przypadku samochodów nowych – prywatni nabywcy stanowią zaledwie 26 proc. (155 507 aut) – czyli ponad sześć razy mniej".

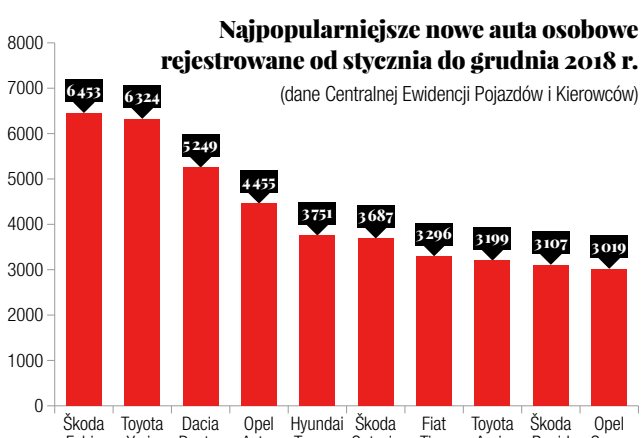

eprasa.pl 6c0f73be05

Na koniec warto dodać pewną być może zaskakującą informację. Otóż w segmencie nowych aut największą popularnością nie cieszył się żaden z modeli Volkswagena, lecz Škoda, konkretnie – Škoda Fabia. W rankingu Top 50 nowych aut osobowych rejestrowanych przez osoby fizyczne to właśnie popularna Fabia zajęła pierwsze miejsce z wynikiem 6 453 egzemplarzy. Drugie miejsce zajęła Toyota Yaris (6 324 sztuki), a dalej Dacia Duster (5324). Ostatnie, 50. miejsce zajął Suzuki SX S-Cross z liczbą 954 egzemplarzy.

Skąd takie, a nie inne dane? Przede wszystkim mimo znaczącego wzrostu gospodarki i poprawy jakości życia w ostatnich latach samochód osobowy, choć przestał być dobrem luksusowym jak w latach 90., to nadal dla wielu polskich rodzin (zwłaszcza jeśli mówimy o aucie nowym lub takim, w którym obecne są nowoczesne, proekologiczne technologie) jest sporym wydatkiem, znacząco obciążającym domowy budżet. Nie wspominając nawet o wydatkach na paliwo czy regularne przeglądy oraz ewentualne naprawy. Polacy nadal mają więc na tyle dużo pieniędzy, by nabyć auto i go używać, i jednocześnie na tyle mało, że nie są skłonni inwestować w auta nowe lub oferujące drogie proekologiczne technologie.

Najwięksi gracze na rynku w 2018 r.

(dane w proc.)

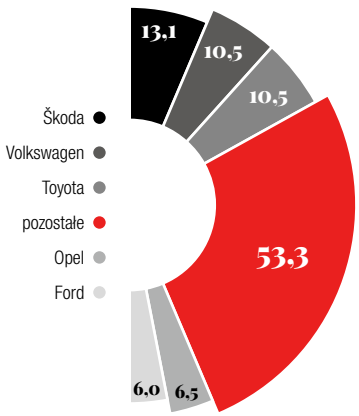

ELEKTROMOBILNOŚĆ? NIE TAK SZYBKO

Polska stoi jednak przed szansą odmiany motoryzacyjnego krajobrazu. Tą szansą jest oczywiście program elektromobilności, który może doprowadzić do sytuacji, w której nasz kraj stanie się potęgą jadącą na elektrycznych silnikach.

Według danych Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych (PSPA) na zachodzie Unii Europejskiej auta elektryczne cieszą się stale rosnącą popularnością. – W 2018 r. w Unii sprzedano 301 847 osobowych pojazdów elektrycznych. To o 38,2% więcej niż w roku 2017, gdy sprzedaż EV wyniosła 218 336 szt. – mówi Maciej Mazur, Dyrektor Zarządzający PSPA.

Kto najbardziej ceni elektryki? Przede wszystkim Niemcy, którzy tylko w 2018 r. nabyli 67658 takich aut. Na drugim miejscu plasuje się wciąż znajdująca się w UE Wielka Brytania z liczbą 59947 aut. Dalej Francja (45623), Holandia (29708) i Szwecja (28332).

Jak przy tych gigantach wygląda Polska? Zakończyliśmy ubiegły rok z wynikiem 1324 EV, które wyjechały z salonów. To wzrost o 22,9% w porównaniu do 2017 r. Nad Wisłą sprzedano 704 hybrydy plug-in (+9,7% r/r) oraz 620 samochodów całkowicie elektrycznych (+42,5% r/r).

Polacy interesują się więc autami elektrycznymi, mimo że wciąż nie mamy tak rozwiniętej infrastruktury do zasilania tego typu pojazdów. Innym czynnikiem, który nadal stanowi dla naszych rodaków barierę w dostępie do własnego elektryka, jest cena. Jak mówi Maciej Mazur z PSPA: „Przyczyną niskiego wolumenu rejestracji nowych pojazdów elektrycznych są wysokie koszty ich zakupu. Średnio auto elektryczne w Polsce jest dwukrotnie droższe od swojego konwencjonalnego odpowiednika. Jak wynika z Barometru, Polacy są w stanie zapłacić więcej za pojazd elektryczny, ale ich ceny muszą być niższe od 35 do 48 proc. w odniesieniu do aktualnych cen katalogowych EV".

Polacy byliby skłonni wydać na elektryczne auto od 80 do 90 tys. zł, znacznie poniżej katalogowych cen. „Dynamika wzrostu sprzedaży samochodów elektrycznych w Polsce, ponad 306 proc. rok do roku, wskazuje, że sam proekologiczny trend jest wspólny dla większości krajów Unii" – wskazuje w wypowiedzi dla PSPA Tomasz Sudaj, dyrektor zarządzający ds. strategii rynkowej w BZ WBK Leasing, i dodaje: „To, co odróżnia poszczególne rynki, to dostępność infrastruktury i możliwości finansowe społeczeństw. W obliczu tych wyzwań popularność zdobywają hybrydy, których sprzedaż systematycznie wzrasta. W 2018 r. w Polsce zarejestrowano 22 821 pojazdów tego typu - o 32,6% więcej niż w roku 2017.

- Średnio ponad 50% czasu eksploatacji i ponad 50% drogi przebytej przez współczesne pojazdy wyposażone w hybrydowe układy napędowe, odbywa się z napędem elektrycznym, przy zerowej emisji toksycznych spalin – tłumaczy popularność hybryd prof. Marek Brzeżański z Politechniki Krakowskiej. – Zużycie paliwa przez tego typu pojazdy jest średnio o ponad 50% mniejsze w stosunku do porównywalnych pojazdów z konwencjonalnym napędem. Częsta jazda na samym silniku elektrycznym pozwala ograniczyć zużycie paliwa zarówno w mieście, jak i poza nim. A to oznacza znaczną redukcję emisji spalin, która dzięki rosnącej masie hybryd w miastach przełoży się na poprawę jakości powietrza.

Nasz rynek motoryzacyjny szybko rośnie, ale mimo wszystko, na razie kupujemy w większości auta nie najnowsze i często starszej generacji. Oczekujemy elektromobilnej rewolucji, ale jesteśmy na nią zbyt biedni. Sytuacja ta może się zmienić pod wpływem rządowych programów i dzięki wzrostowi zamożności społeczeństwa.

Pomimo że ustawa obowiązuje już od niemal roku, EV są zwolnione z akcyzy dopiero od 19 grudnia, z uwagi na fakt, że odpowiednie regulacje musiały zdobyć akceptację ze strony Komisji Europejskiej.

– Faktycznym akceleratorem sprzedaży EV w Polsce byłaby możliwość odliczenia pełnego podatku VAT i dopłaty bezpośrednie. Branża na to czeka. W tym roku spodziewamy się jednak pierwszych efektów funkcjonowania Funduszu Niskoemisyjnego Transportu – mówi Jan Wiśniewski z Obserwatorium Rynku Paliw Alternatywnych.

Kto wie, być może już za kilka lat po polskich szosach zamiast benzynówek i diesli poruszać się będą smukłe, szybkie samochody elektryczne „made in Poland". Warto sobie życzyć takiej przyszłości.

eprasa.pl 6c0f73be05

Hit tygodnia

Olympus OM-D E-M1X

Mam pewien zgryz, bo lubię małe, zgrabne bezlusterkowce PEN Olympusa, w ogóle lubię system Micro 4/3 z jego ideą niewielkich aparatów i równie małych obiektywów, a tu Olympus wprowadza na rynek model OM-D E-M1X, który ma najwyraźniej konkurować w segmencie aparatów dla profesjonalistów. Ile to już lat minęło od ostatniego profesjonalnego aparatu fotograficznego Olympusa? Wiele i nie bez powodu. Przez te wszystkie lata Olympus wraz z innym gigantem z Kraju Kwitnącej Wiśni – Panasonikiem – rozwijały system lustrzanek o nazwie 4/3, którego następcą jest Micro 4/3 – bezlusterkowce. Konkurencja inwestowała w matryce APS-C – większe niż te w 4/3, z czasem z tzw. pełną klatkę – także Panasonic, a nawet średni format cyfrowy, Olympus zaś wiernie trwał przy swoim. Co prawda nie można nic zarzucić bezlusterkowcom Olympusa, poniekąd to właśnie za ich sprawą doszło do rewolucji w świecie sprzętu foto i wideo.

Model OM-D E-M1X celuje w półkę profesjonalną, stąd dodatkowy grip, wszystkie możliwe uszczelnienia i nowinki technologiczne. Ale pojawia się pytanie: właściwie dla kogo jest ten aparat, wcale nie taki tani (12–14 tys. zł)? Dla zawodowców? Profesjonaliści raczej pozostaną przy swoich pełnoklatkowych Nikonach i Canonach. Czy entuzjaści zdecydują się na taki wydatek, gdy za mniejsze pieniądze konkurencja oferuje znacznie więcej? Trudno dopowiedzieć na to pytanie. Być może ten model okaże się przełomowy dla przyszłości Olympusa. Oby była ona jak najlepsza. **Premiera**

Plusy i minusy

+ solidny aparat
– cena, nienowa już matryca i… cena

Dell Latitude 3300

Laptop Dell Latitude 3300 został stworzony z myślą o sektorze edukacyjnym. Odznaczający się atrakcyjnym, ciemnoszarym, matowym wykończeniem nowy notebook jest dostępny z procesorami, do wyboru: Intel Celeron, Pentium, aż do Core i5, aby sprostać wymaganiom oprogramowania STEM (Science, Technology, Engineering and Mathematics, pakiet aplikacji używany w edukacji). Komputer może się pochwalić złączem USB typu C zarówno dla transferu danych, jak i zasilania (poza konfiguracjami z Celeronem) oraz 4 lub 8 GB pamięci RAM typu DDR4. **Zapowiedź**

Optoma EH512

Firma Optoma wprowadza do swojej oferty projektor EH512. Urządzenie wyświetla obraz Full HD o wysokiej jasności i nie wymaga podłączania do komputera, np. podczas prowadzenia prezentacji. Optoma EH512 jest projektorem skonstruowanym z myślą o zastosowaniu przede wszystkim w salach konferencyjnych czy w placówkach edukacyjnych. Do jego portu USB wystarczy podpiąć pendrive z plikami Word, Excel, PowerPoint, PDF czy JPG i można zaczynać prezentację. Wbudowany czytnik dokumentów zwiększa wygodę użytkowania projektora poprzez brak potrzeby podłączania komputera. W parze z projektorem można używać opcjonalnych przystawek do bezprzewodowej transmisji obrazu, takich jak Optoma WHD200, Optoma QuickCast czy Optoma WUSB. Dwie pierwsze przesyłają sygnał z urządzeń z wyjściem HDMI. Natomiast WUSB umożliwia transmitowanie obrazu z urządzeń mobilnych, z wykorzystaniem sygnału Wi-Fi i dedykowanych aplikacji dla systemów Android oraz iOS. **Cena: 10 999 zł**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 6c0f73be05

Hit tygodnia

Audi e-tron GT – trzeci z rodziny

Tak, to już trzeci prototyp auta elektrycznego, które ma w nazwie e-tron, po Audi e-tron i Audi e-tron Sportback. Koncept powstał przy współpracy z firmą Porsche (niektórzy poszli dalej – porównali Audi e-tron GT z pewnym modelem Porsche i wyszło, że... mamy do czynienia z Porsche Taycan, tylko z innym nadwoziem). Ja bym się nie czepiał – jak korzystać, to z dobrych wzorców. Nadwozie mierzy 4,96 m długości, 1,96 m szerokości i 1,38 m wysokości. Dach został wykonany z kompozytu węglowego, z kolei część podzespołów jest zrobiona z aluminium albo stali o wysokiej wytrzymałości. Audi e-tron GT ma dwa silniki elektryczne o łącznej mocy 590 KM. By przyspieszyć do setki, potrzebuje 3,5 s, 200 km/h osiągnie po 12 s, a prędkość maksymalna to 240 km/h. Zasięg (przy wykorzystaniu akumulatora litowo-jonowego o pojemności 90 kWh) to 400 km. Co ciekawe, Audi e-tron GT ma trafić do produkcji.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Trwa walka o ochronę klimatu. Coraz silniejsze obostrzenia dotyczące emisji spalin wymuszają coraz to nowe pomysły i technologie na ich ograniczanie. Na przykład nowe BMW X5 ma mieć tak sprytnie zaprojektowany silnik (a właściwie komputer w samochodzie), że gdy na zewnątrz pojazdu powietrze będzie zbyt zanieczyszczone, silnik spalinowy automatycznie się wyłączy i dalsza podróż będzie możliwa przy użyciu silnika elektrycznego. System ma być testowany w wybranych niemieckich miastach.

Ciekawostka dla fanów Formuły 1 i firmy Renault. Otóż Renault Sport Formula One Team będzie teraz znany jako Renault F1 Team. Nazwa krótsza i lepsza marketingowo. I to tyle.

Elektryczny Volkswagen Transporter? Niemiecki koncern już w zeszłym roku zaprezentował koncept pojazdu elektrycznego o nazwie I.D. Buzz Cargo. Teraz otrzymujemy ostateczną wersję tego samochodu dostawczego. I.D. Buzz Cargo może się pochwalić 800 kg ładowności, 550 km zasięgu w cyklu WLTP, z największym akumulatorem. Jeśli chodzi o ładowanie akumulatorów: od 0 do 80 proc. przy ładowaniu prądem stałym – w 30 min dla 111 kWh, w 15 dla 48 kWh. I.D. Buzz Cargo trafi do produkcji seryjnej w 2022 r.

Koniec z płaceniem za odholowane auto? Trybunał Konstytucyjny uznał, że zapłacenie za odholowany samochód przed jego wydaniem jest sprzeczne z konstytucją. „Zdaniem Trybunału jest to znaczne ograniczenie prawa własności, ponieważ ogranicza jedno z podstawowych uprawnień, jakie posiada właściciel rzeczy, tzn. prawo do jej dysponowania" – czytamy w uzasadnieniu. Wyrok Trybunału jest ostateczny.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 6c0f73be05

Kształcenie dualne w Grupie Enea

Grupa Enea we współpracy z Politechniką Poznańską od października 2018 r. oferuje najzdolniejszym studentom Wydziału Elektrycznego możliwość praktycznego kształcenia w ramach studiów dualnych. Piątka młodych ludzi uczy się zawodu w rzeczywistym środowisku pracy. Dla nich to szansa na zdobycie doświadczenia zawodowego, które jest najcenniejszym zasobem na rynku pracy. Studenci mają już za sobą pierwszy semestr nauki

Uczestnicy pilotażowej edycji zostali wyłonieni spośród najlepszych studentów ze specjalności sieci i automatyka elektroenergetyczna. W wakacje odbyli praktyki, a w październiku rozpoczęli zajęcia praktyczne w spółkach Grupy Enea. W tej edycji bierze udział pięć osób. Zajęcia odbywać się będą przez trzy semestry i zakończą obroną prac inżynierskich.

Studia dualne to innowacyjny system nauki, zakładający równoczesne zdobywanie wiedzy akademickiej i doświadczenia praktycznego. Program łączy wiedzę teoretyczną uzyskiwaną na wykładach, ćwiczeniach, laboratoriach na Politechnice Poznańskiej (trzy dni w tygodniu) z praktyką – zajęciami laboratoryjnymi i projektowymi w spółkach Grupy Enea (dwa dni w tygodniu). Inicjatorem projektu studiów dualnych w Grupie Enea jest Mirosław Kowalik, prezes Enei. – Współpraca z Politechniką Poznańską wynika z potrzeb przedsiębiorstwa i celów zdefiniowanych w strategii rozwoju Grupy Enea. Nasze działania wpisują się również w plany ministra nauki i szkolnictwa wyższego w zakresie wzrostu udziału przedsiębiorstw i uczelni w praktycznym kształceniu studentów – wyjaśnia Mirosław Kowalik.

Skuteczna realizacja strategii rozwoju Grupy Enea wymaga aktywnego zaangażowania w kształcenie przyszłych kadr, w tym inżynierskich, w podstawowych obszarach funkcjonowania Grupy. To też działanie w kierunku wypełnienia luki pokoleniowej. Program studiów dualnych wpisuje się w te założenia, dlatego Enea zaangażowała się w ich organizację i prowadzenie

2/0219/F

na Politechnice Poznańskiej. Rozwój Grupy – organizacji opartej na wiedzy – wymaga kształcenia kadr wyróżniających się wysokimi kwalifikacjami zawodowymi i innymi kompetencjami, jak przedsiębiorczość, komunikatywność, umiejętność wykorzystania nowoczesnych technologii, praca w zespole. Te cechy przekazywane są studentom przez Politechnikę Poznańską.

– Wzięliśmy udział w rekrutacji do programu, bo chcieliśmy rozwijać się w kierunku praktycznym. Część z nas już od najmłodszych lat konstruowała układy elektryczne. Gdy nadarzyła się okazja do zdobycia doświadczenia, o które trudno na początku ścieżki kariery, postanowiliśmy spróbować swoich sił – opowiada Magdalena Ćwirko-Godycka, uczestniczka programu.

– Tematyka studiów dualnych wpisuje się w kontekst planu odpowiedzialnego rozwoju oraz strategii rozwoju nauki i szkolnictwa wyższego. Polsce potrzebna jest modernizacja procesów kształcenia. W naszym projekcie młodzi ludzie, jeszcze w trakcie studiów, pod okiem specjalistów z Enei, zdobywają doświadczenie zawodowe, wiedzę i praktyczne umiejętności. To ułatwi im start zawodowy, przedsiębiorcom pozwoli na pozyskanie wartościowych pracowników – zaznacza Aneta Pelczarska, dyrektor Departamentu Zarządzania Zasobami Ludzkimi w Enei.

eprasa.pl 6c0f73be05

Przekop pod ostrzałem

EDYTA HOŁDYŃSKA

Opozycja wytoczyła wszystkie najcięższe działa przeciw kanałowi na Mierzei Wiślanej. Do akcji wkroczyła już nawet Komisja Europejska. Rząd PiS nie zamierza się jednak pod tą presją ugiąć. Przygotowania do budowy tej strategicznej inwestycji właśnie ruszyły

Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej buduje kanał żeglugowy przez Mierzeję Wiślaną, by znacząco poprawić dostęp do portu w Elblągu oraz zagwarantować Polsce swobodny dostęp z Zalewu Wiślanego na Bałtyk z pominięciem kontrolowanej przez Rosję Cieśniny Piławskiej. I już rok wcześniej Federacja Rosyjska przeciwko inwestycji głośno protestowała, podnosząc argumenty natury ekologicznej.

Dzisiaj grzmi opozycja. O tym, że inwestycja jest nieopłacalna, bo zwróci się dopiero po setkach lat. Komisja Europejska interweniuje natomiast wobec wycinki drzew pod inwestycję. Marszałek województwa pomorskiego mówi z kolei o nieuprawnionym płoszeniu ptactwa. Po co nam właściwie przekop Mierzei Wiślanej i dlaczego droga wodna łącząca Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską tak bardzo przeszkadza?

Dzięki temu rozwiązaniu, jak zaznacza resort żeglugi, elbląski terminal ma swobodnie przyjmować mniejsze ładunki, odciążając porty trójmiejskie. Rozwój tego portu ma sprzyjać powstawaniu nowych miejsc pracy, poprawić walory turystyczne miejscowości położonych nad Zalewem Wiślanym oraz wpłynąć na rozwój gospodarczy całego regionu północno-wschodniej Polski.

Największym z zadeklarowanych przeciwników tej inwestycji jest Mieczysław Struk, marszałek województwa pomorskiego. Wskazuje on, że zakończona już wycinka drzew była niezgodna z prawem. Dlatego, że marszałek nie wydał potrzebnego pozwolenia na płoszenie ptactwa żyjącego wśród koron ścinanych drzew.

„Nie jesteśmy zaskoczeni faktem wycinki, ponieważ mamy świadomość determinacji obecnych władz, by realizować tę inwestycję. Możemy ubolewać, że odbywa się to bez poszanowania faktu istniejących kontrowersji i nierozwianych wątpliwości, a także pomimo toczącego się postępowania przed Generalną Dyrekcją Ochrony Środowiska w sprawie odwołań od decyzji środowiskowej" – oświadczył Michał Piotrowski, rzecznik prasowy Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego.

Istotnie, Urząd Morski w Gdyni jako inwestor, zgodnie z prawem łowieckim, zwrócił się 15 stycznia do marszałka pomorskiego z wnioskiem o zgodę na płoszenie zwierząt na obszarze wycinanego lasu. Urząd Marszałkowski miał 30 dni na wydanie odpowiedniego zezwolenia po zasięgnięciu opinii Polskiego Związku Łowieckiego. Urząd poinformował jednak, że zgoda nie została wydana, bo wnioskodawca został poproszony o uzupełnienie wniosku.

Jednak zdaniem ministerstwa wycinka drzew jest „jak najbardziej zgodna z prawem" i musiała się odbyć

eprasa.pl 6c0f73be05

właśnie teraz, jeszcze przed okresem lęgowym ptaków. Właśnie po to, by ich nie płoszyć. Jak twierdzi resort, wycięcie drzew i przygotowanie terenu pod budowę byłoby niemożliwe w czasie innej pory roku. Wobec czego wycinkę drzew już wykonano. Jak dużą? Liczba wyciętych drzew – 10 tys., obszar wycinki – 25 ha, co stanowi ok. 0,5 proc. obszaru leśnego na Mierzei Wiślanej.

Inwestycja mogła ruszyć, bo zezwolenie wydał wojewoda pomorski Dariusz Drelich. Dokument miał rygor natychmiastowej wykonalności i dotyczył części budowy znajdującej się w województwie pomorskim, czyli kanału, wyspy i części toru podejściowego na Zalewie Wiślanym. Nie dotyczy to obszaru położonego na terenie województwa warmińsko-mazurskiego. Jest już co prawda decyzja o środowiskowych uwarunkowaniach dla inwestycji wydana przez Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Olsztynie, ale nie jest prawomocna, bo odwołania od niej złożyli zarząd województwa pomorskiego i organizacje ekologiczne.

– Decyzja środowiskowa, która jest wymagana przy tego typu inwestycjach, została oparta na bardzo żmudnym procesie przygotowania raportu oddziaływania na środowisko. W raporcie tym udowodniono, że przekop może być realizowany bez znaczącego wpływu na środowisko. Raport ten nawet przeciwnicy przekopu swego czasu ocenili jako bardzo restrykcyjny. W XXI w. da się budować obiekty infrastruktury z poszanowaniem przyrody i taki sposób realizacji tej inwestycji gwarantujemy – zaznacza Michał Kania z biura prasowego Ministerstwa Gospodarski Wodnej i Żeglugi Śródlądowej.

I tak, zgodnie z art. 25 specustawy z dnia 24 lutego 2017 r. o inwestycjach w zakresie budowy drogi wodnej łączącej Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską, Urząd Morski w Gdyni podpisał porozumienie z Państwowym Gospodarstwem Leśnym Lasy Państwowe – Nadleśnictwo Elbląg, obejmujące wycinkę drzew i krzewów oraz ich uprzątnięcie.

Wycinka to jednak nadal prace przygotowawcze pod całą inwestycję. Rozpoczęcie głównych prac budowlanych nastąpi po rozstrzygnięciu przetargu i podpisaniu umowy z wyłonionym tą drogą wykonawcą. Przetarg ma ruszyć w kwietniu, a jego rozstrzygnięcie przewidziane jest w ciągu kolejnych kilku miesięcy. Wówczas rozpoczną się prace budowlane.

Ale poza marszałkiem Strukiem i ekologami piach w tryby sypie jeszcze Komisja Europejska, która żąda rozmów na temat inwestycji. W połowie grudnia KE zwróciła się do polskich władz z pismem w sprawie raportu oddziaływania na środowisko i pozytywnej decyzji RDOŚ w Olsztynie. W styczniu Komisja poinformowała, że otrzymała odpowiedź i że przeanalizuje ten dokument. Teraz chce się spotkać w tej sprawie z przedstawicielami polskich władz. I wysłała list zaadresowany do Anny Moskwy, wiceminister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej. Zaznaczono w nim, że sprawa jest pilna, gdyż w Polsce rozpoczęły się już prace związane z budową przyszłego kanału żeglugowego. Bruksela ma wątpliwości co do uzasadnienia samego projektu. Komisja w piśmie powołuje się na zobowiązania rządu PO-PSL z 2013 r. oraz z lipca 2015 r., że Polska będzie konsultować projekt z Brukselą. Co ciekawe, zasadność drogi łączącej Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską badał już Donald Tusk. Za 5 mln zł przygotowano raport na temat opłacalności budowy. Wynikało z niego, że inwestycja jest zasadna.

> Komisja Europejska nie ma podstaw do wstrzymania inwestycji, ponieważ jest ona dobrze udokumentowana, jeśli chodzi o wpływ na środowisko oraz cele strategiczne państwa

Strona polska, powołując się na kwestię obronności, wychodzi z założenia, że do przekopu Mierzei można zastosować wyjątek przewidziany w dyrektywie siedliskowej, w związku z czym nie musi występować do KE o wydanie opinii środowiskowej.

– Komisja Europejska nie ma podstaw do wstrzymania inwestycji, ponieważ jest ona dobrze udokumentowana, jeśli chodzi o wpływ na środowisko oraz cele strategiczne państwa polskiego jako państwa granicznego Unii Europejskiej i NATO – uspokaja Michał Kania.

Jednocześnie minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marek Gróbarczyk wyraża nadzieję, że prośba Komisji nie jest pokłosiem pisma, które wysłał do niej z kolei rosyjski wiceminister rolnictwa. Inwestycja na Mierzei Wiślanej przeszkadza przede wszystkim Rosji. Głośne protesty przeciw przekopowi Federacja Rosyjska rozpoczęła już pół roku wcześniej. W tej chwili jedynym sposobem, by dopłynąć do portu w Elblągu, jest przejście przez Cieśninę Piławską, którą kontroluje Rosja. Mniej więcej połowa Mierzei Wiślanej to terytorium tego państwa, do tego terytorium o specjalnym statusie. W Bałtijsku, położonym na cyplu tworzącym cieśninę, stacjonuje rosyjska flota bałtycka. Jest to więc obszar strategiczny i niezwykle ważny dla Rosji z militarnego punktu widzenia, z tzw. ograniczonym dostępem dla obcokrajowców.

Cały spór o Mierzeję Wiślaną dziwi Jerzego Kwiecińskiego, ministra inwestycji i rozwoju, bo jego zdaniem jest ona szalenie ważna dla województwa pomorskiego i warmińsko-mazurskiego. Dzięki dostępowi do morza ma się ożywić cały subregion Elbląga i jego okolic. Na pytanie, czy minister nie obawia się, że Komisja Europejska zablokuje tę inwestycję, Jerzy Kwieciński odpowiedział, iż takie obawy istnieją przy każdej inwestycji, ale trzeba rozmawiać, pokazywać, jakie jest jej znaczenie.

Przekop będzie liczył ok. 1,3 tys. m długości i 5 m głębokości. Umożliwi wpływanie do portu w Elblągu jednostek o zanurzeniu do 4 m. Przez kanał będą mogły przepływać statki o długości 100 m i szerokości 20 m. Koszt budowy oszacowano na 880 mln zł. Środki na ten cel w całości będą pochodziły z budżetu państwa. Pierwsze statki mają wpłynąć do zatoki w 2022 r.

Fot. Urząd Morski w Gdyni

eprasa.pl 6c0f73be05

Odrodzenie złotego

Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, podejmując w 1919 r. decyzję o wyborze nazwy polskiej waluty, przywrócił jeden z symboli polskiej państwowości. Mimo że przez stulecia złoty był jedynie jednostką obrachunkową, to od czasów króla Stanisława Augusta pomagał wizerunkowo w odbudowie pozycji Rzeczypospolitej

Kościuszkowskie banknoty, monety i banknoty z czasów powstania listopadowego miały wartość symboliczną, były czymś więcej niż patriotyczną pamiątką. Świadczyły o narodowych ambicjach i żywotności idei odrodzenia państwa. Zarówno w dwudziestoleciu międzywojennym, jak i po wojnie projektantami polskich znaków pieniężnych byli wybitni artyści: Józef Mehoffer, Wacław Borowski, Julian Pałka i Henryk Tomaszewski, Andrzej Heidrich, a także Edward Wittig, Stanisław Szukalski, Józef Gosławski, Jerzy Jarnuszkiewicz.

Wraz z odrodzeniem państwa polskiego ustanowienie jednolitej waluty na terytorium Rzeczypospolitej stało się koniecznością. Kwestia ta była przedmiotem ożywionej dyskusji, wśród zgłaszanych propozycji nazw były m.in. piast, pol i sarmata. Dekret naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego z 5 lutego 1919 r. stanowił, że nową polską walutą jest lech. Ponieważ dekrety Naczelnika wymagały zatwierdzenia przez Sejm, ten skorzystał ze swoich uprawnień i – nawiązując do wielowiekowej tradycji – nadał polskiej walucie nazwę złoty.

Trudna sytuacja gospodarcza i polityczna Polski w pierwszych latach niepodległości sprawiła, że wstrzymano się z wprowadzeniem nowej waluty. Kolejne rządy skupiły się na obronie niepodległości, organizacji sił zbrojnych i administracji, odbudowie kraju ze zniszczeń wojennych. W okresie przejściowym funkcję emitenta pełniła Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, jednakże niezwłocznie zlecono we Francji i w Anglii druk nowych złotowych banknotów z datą 28 lutego 1919 r. Na tych banknotach jako emitenta wpisano nieistniejący jeszcze wtedy Bank Polski.

Lata 1919–1923 to okres przygotowań do emisji monet, organizacji mennicy państwowej. W latach 1922–1923 przeprowadzono próbne emisje monet zaprojektowanych przez Władysława Wasiewicza i Konstantego Laszczkę. W 1923 r. Ministerstwo Skarbu wraz z Ministerstwem Wyznań i Oświecenia Publicznego zorganizowało konkurs na projekty monet groszowych (zwycięzca Wojciech Jastrzębowski) i złotowych (zwycięzca Tadeusz Breyer). Władze odrodzonej Rzeczypospolitej prowadziły bardzo konsekwentną politykę propagandową, umieszczając na znakach pieniężnych postacie symbolizujące walkę o niepodległość (Tadeusz Kościuszko, ks. Józef Poniatowski, Emilia Plater, Józef Piłsudski) oraz przypominając wydarzenia istotne dla polskiej historii (koronacja Bolesława Chrobrego, uchwalenie Konstytucji 3 maja). Rocznicę odzyskania niepodległości upamiętniono monetą przedstawiającą Nike, a na rewersie monety przypominającej wymarsz Legionów z Krakowa znalazł się strzelecki orzeł.

Złoty polski był znakiem ambicji i sukcesu odradzającego się państwa. Utrzymał wartość do końca II Rzeczypospolitej, będąc świadectwem pomyślnie przeprowadzonych reform, skutecznej odbudowy gospodarki, a przede wszystkim faktycznego zjednoczenia ziem polskich.

We wrześniu 2018 r. polska jednostka monetarna ZŁOTY została wpisana na Polską Listę Krajową Programu UNESCO Pamięć Świata

Dzisiaj emitentem złotego jest Narodowy Bank Polski, któremu Konstytucja RP przyznała wyłączne prawo emisji polskiej waluty. NBP odpowiada za wartość polskiego pieniądza, pełniąc trzy podstawowe funkcje: banku emisyjnego, banku banków oraz centralnego banku państwa. Podstawowym zadaniem NBP jest utrzymanie stabilnego poziomu cen. Zgodnie z opracowaną przez Radę Polityki Pieniężnej Strategią Polityki Pieniężnej po 2003 r. celem NBP jest ustabilizowanie inflacji na poziomie 2,5 proc. z dopuszczalnym przedziałem wahań +/- 1 punkt procentowy. Narodowy Bank Polski odpowiada za stabilność narodowego pieniądza. Wypełniając ten konstytucyjny obowiązek, NBP opracowuje i realizuje strategię polityki pieniężnej oraz – uchwalane corocznie – założenia polityki pieniężnej.

Poprzez zarządzanie rezerwami dewizowymi NBP zapewnia odpowiedni poziom bezpieczeństwa finansowego państwa. Dzięki emisji banknotów i monet zabezpiecza płynność obrotu gotówkowego.

Ważnym celem NBP jest dbałość o stabilność systemu finansowego. W ramach pełnionych funkcji nadzorczych i regulacyjnych NBP dba o płynność, sprawność i bezpieczeństwo systemu płatniczego. Przyczynia się również do rozwoju bezpiecznej infrastruktury rynku finansowego. NBP podejmuje ponadto działania służące upowszechnianiu wiedzy ekonomicznej.

Obecnie może się nam wydawać, że polski złoty jest oczywistym elementem na mapie monetarnej Europy. Warto jednak pamiętać, że historia mogła się potoczyć inaczej.

32/0219/F

eprasa.pl 6c0f73be05

NBP Narodowy Bank Polski

100 lat złotego

Emisją monet kolekcjonerskich Narodowy Bank Polski upamiętnia setną rocznicę uchwalenia nazwy złoty dla waluty Rzeczypospolitej Polskiej.

1919 | Polski
2019 | Złoty

www.nbp.pl/monety
#polskizloty

Polski Złoty to silna polska gospodarka

eprasa.pl 6c0f73be05

Pożyczki unijne – nie tylko dla firm

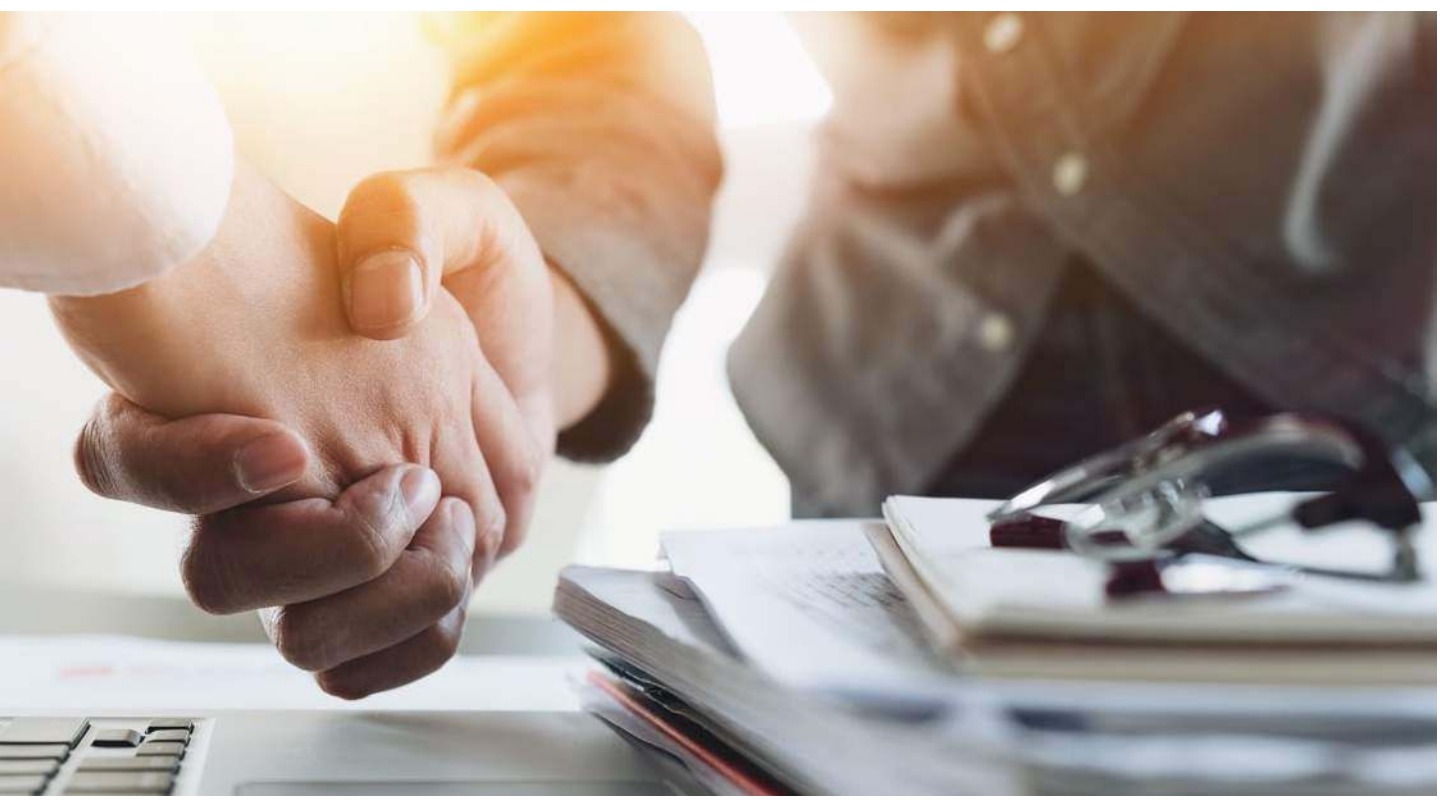

Pożyczki unijne uzupełniły ofertę komercyjną, a to, co je wyróżnia, to fakt, że po ich spłacie można znowu sięgnąć po te same środki. Mogą z nich skorzystać mikro, małe i średnie przedsiębiorstwa z różnych sektorów, zarówno te, które są już na rynku, jak i nowe – stawiające pierwsze kroki w biznesie

Rozwój, rozbudowa firmy, poprawa efektywności czy wdrożenie innowacji to tylko namiastka inwestycji, na które przedsiębiorca może otrzymać wsparcie. Tak bogata oferta przygotowana jest nie tylko dla przedsiębiorców, lecz również dla osób niepracujących i nieaktywnych zawodowo, które dzięki otrzymanemu wsparciu mogą zrealizować swój biznesowy plan. Z finansowania mogą skorzystać także wspólnoty i spółdzielnie mieszkaniowe, JST czy TBS, które dzięki środkom mogą dokonać modernizacji cieplnej nieruchomości. Dlaczego warto sięgnąć po unijną pożyczkę? Odpowiadamy poniżej

Przedsiębiorstwo – niezależnie od swoich rozmiarów i stażu na rynku – nieustannie ma potrzeby inwestycyjne. Wydatki na cele rozwoju, modernizacji, innowacji... Powodów może

Fot. Shutterstock | 114/0119/F

eprasa.pl 6c0f73be05

być wiele, kosztów – jeszcze więcej. Tutaj z pomocą może przyjść unijna pożyczka udzielana w 15 województwach z Regionalnych Programów Operacyjnych 2014–2020. Dzięki niej przedsiębiorcy mogą sfinansować m.in. zakup środków trwałych (maszyny i urządzenia), adaptację pomieszczeń i ich wyposażenie czy specjalistyczne oprogramowanie IT, które rozbuduje informatyzację wewnętrzną w firmie. To jednak nie wszystko. Przedsiębiorca może wykorzystać pieniądze na poprawę efektywności energetycznej i termomodernizację firmy (ocieplić budynki i hale produkcyjne, zakupić energooszczędne maszyny, zainstalować systemy zarządzania energią czy przebudować systemy grzewcze).

POŻYCZKA DLA INNOWACYJNYCH FIRM

Firmy, których core biznesu bazuje na innowacyjności, dzięki pożyczce unijnej mogą m.in. ulepszyć swój pomysł, wprowadzić nowe produkty i usługi na rynek czy zainwestować w nowe technologie. Dzięki czemu mikroprzedsiębiorstwa i start-upy mogą powiększyć skalę działalności i zacząć budować swoją rynkową pozycję. To, co odróżnia pożyczkę unijną od innych produktów dostępnych na rynku, to bardzo szeroki zakres inwestycji.

POŻYCZKA NA ZAŁOŻENIE FIRMY

„Mam pomysł na biznes, ale brakuje mi środków na rozpoczęcie" – to sformułowanie może odejść do lamusa. Dzięki unijnej pożyczce możesz wziąć środki na rozwinięcie własnej działalności gospodarczej i dzięki niej zrealizować swoje marzenia i plany zawodowe. Do niedawna z pożyczek mogli skorzystać jedynie przedsiębiorcy, teraz pożyczki dostępne są także dla osób niepracujących, które skończyły 29 lat i planują założenie własnej firmy. Osoby o utrudnionej sytuacji na rynku pracy mogą otrzymać wsparcie na start na bardzo atrakcyjnych warunkach. W zależności od województwa, w którym jest ona udzielana, jej wysokość waha się od 70 tys. do 100 tys. zł. To niemała kwota pokrywająca wiele potrzeb stawiającego pierwsze kroki przedsiębiorcy. Wystarczy założyć działalność na terenie takiego województwa, a środki na rozwój działalności pozwolą ją rozpocząć. Co ważne, oprocentowanie pożyczki jest stałe, niezależne od kwoty, o jaką ubiega się wnioskodawca.

STARE OKNA I DRZWI W BLOKU MIESZKALNYM? WYSOKIE OPŁATY ZA OGRZEWANIE?

Starsze budynki, a także bloki powstałe z tzw. wielkiej płyty, potrzebują dziś często kompleksowych i kosztownych inwestycji remontowych, których nie da się przeprowadzić bez zaciągnięcia kredytu bankowego. Wysokie koszty kredytów zmuszają zarządców nieruchomości do podniesienia lokatorom opłat funduszu remontowego. Trwający okres grzewczy i rosnące opłaty za energię dodatkowo utrudniają podjęcie decyzji o zaciągnięciu długu na remont, który często jednak jest nieodzowny. Czy jest zatem jakiś inny sposób, aby wyremontować stare budynki, gdzie nieszczelne elewacje i stolarka okienna powodują marnotrawstwo ogromnych ilości energii cieplnej, nie zadłużając wspólnoty czy spółdzielni? Z pomocą przyjdzie pożyczka na termomodernizację i poprawę efektywności dla wspólnot i spółdzielni mieszkaniowej, JST i TBS. Po pierwsze, pożyczka finansowana jest ze środków unijnych przez państwowy bank BGK, a wynieść może nawet 5 mln zł w zależności od rodzaju inwestycji i audytu energetycznego. Dodatkowo wspólnota lub spółdzielnia nie ponosi żadnych opłat ani prowizji za przyznanie i obsługę zaciągniętego zobowiązania. Wsparcie można wykorzystać na ocieplenie ścian i stropów, wymianę stolarki, unowocześnienie systemów grzewczych czy instalację energooszczędnych rozwiązań. Nie są to oczywiście wszystkie inwestycje, które może pokryć pożyczka.

PROSTE I PRZEJRZYSTE WARUNKI

Pożyczka unijna to odpowiedź na nie zawsze finansowo atrakcyjne kredyty, krótki okres spłaty i duże odsetki. Dlaczego warto sfinansować swoje inwestycje ze środków unijnych? To proste! Pierwsze i najważniejsze jest stałe, niskie oprocentowanie (niższe niż oferowane na rynku przez instytucje komercyjne), wysoka kwota finansowania może sięgać 5 mln zł w zależności od rodzaju pożyczki, a nawet 15 mln dla pożyczki rewitalizacyjnej. Do tego długi okres spłaty, który może wynosić nawet 20 lat, prosty i szybki proces uzyskania pożyczki oraz brak opłat i prowizji za jej udzielenie. Co ważne, środki mają szansę otrzymać również firmy, które z różnych powodów mają utrudniony dostęp do finansowania komercyjnego, czyli te z krótką historią biznesową i kredytową. Niebagatelne znaczenie ma to, że istnieje możliwość karencji w spłacie kapitału do 24 miesięcy.

POŻYCZKA UNIJNA W KILKU PROSTYCH KROKACH

Proces otrzymania pożyczki jest szybki i łatwy. Aby ją uzyskać, wystarczy zgłosić się do wybranej profesjonalnej instytucji finansującej współpracującej z BGK, która przeprowadzi przez cały proces uzyskania wsparcia. Kontaktując się bezpośrednio z instytucjami finansującymi w danym województwie, można uzyskać komplet informacji oraz wsparcie przy wypełnianiu wniosku. Więcej informacji o produktach oferowanych na terenie województw znajduje się na stronie: pozyczkiunijne.bgk.pl

Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.

Fundusze Europejskie Program Regionalny
Rzeczpospolita Polska
95 lat BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO
Unia Europejska Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne

eprasa.pl 6c0f73be05

5G przyszłość na wyciągnięcie ręki

Stoimy u progu kolejnego skoku technologicznego. Piąta generacja sieci telefonii komórkowej (5G) może zmienić świat

Współczesny człowiek żyje w środowisku cyfrowym. Globalna sieć nieodwracalnie zmieniła świat pracy, nauki i rozrywki, a także wpłynęła na interakcje międzyludzkie. Prowadzimy wideo rozmowy, idąc ulicą, oglądamy seriale w dowolnym czasie, słuchamy muzyki z najdalszego zakątka świata, monitorujemy swoje zdrowie, przesyłając dane prosto z urządzenia na nadgarstku, coraz częściej sterujemy urządzeniami kuchennymi, oświetleniem czy temperaturą w mieszkaniach za pomocą smartfona.

Jednakże wraz z rozwojem popytu na usługi sieciowe skokowo zwiększa się obciążenie infrastruktury przesyłowej. Obsługuje ona już nie tylko popularne komórki, lecz także coraz częściej samochody, urządzenia audio-wideo i wkrótce także tzw. inteligentne domy. W sieci czwartej generacji robi się zwyczajnie ciasno, a jej skalowanie poprzez dostawianie nowych stacji bazowych staje się nieefektywne i energochłonne. Odpowiedzią jest nowa technologia – sieć piątej generacji (5G).

SIEĆ NIEOGRANICZONYCH MOŻLIWOŚCI

Piąta generacja sieci niesie z sobą znacznie więcej niż tylko ogromny skok ilości przesyłanych danych. Sieć 5G jest pierwszym systemem, który uwzględnia

Fot. Shutterstock | 37/0219/F

eprasa.pl 6c0f73be05

rozwój cyfryzacji i automatyzacji wielu różnych usług konsumenckich i przemysłowych. Jest to krok w stronę upowszechnienia tzw. internetu rzeczy, stanowiącego element czwartej fali rewolucji industrialnej (zwanej przemysłem 4.0). Stoimy na progu epoki, w której zarówno urządzenia w fabrykach, jak i przedmioty codziennego użytku zyskają pewną autonomię, która pozwoli im na komunikowanie się zarówno z człowiekiem, jak i z innymi urządzeniami. Już dziś maszyny mogą same diagnozować usterki i wzywać serwis, samochód uczestniczący w wypadku automatycznie powiadamia służby alarmowe. Biorąc jednak pod uwagę zwiększający się ruch w sieci i zapotrzebowanie na dane, w perspektywie kilku lat obecna infrastruktura telekomunikacyjna stanie się niewydolna. 5G jest naturalnym krokiem w zapewnieniu ciągłości ewolucji sieci komórkowej, gwarantującym ciągły dostęp do technologii przyszłości.

Wraz z rozwojem sieci 5G innowacyjne rozwiązania staną się obecne w wielu innych dziedzinach życia, tj. w telemedycynie, inteligentnej produkcji czy przy wdrażaniu systemów bezpieczeństwa publicznego.

Technologia 5G przyczynia się również do budowania tzw. inteligentnych domów, miast czy samochodów, a także innych przedmiotów, które już dzisiaj znajdują się w naszym codziennym użyciu.

ŚWIAT W KIESZENI

Każdy z nas, użytkowników smartfonów czy tabletów, doceni zalety sieci 5G. Wszelkie dane staną się dostępne niemal natychmiast w „chmurze". Nowa generacja sieci pozwoli nam przesyłać i odbierać obraz w ultrawysokiej rozdzielczości wideo (4K, nawet 8K) oraz korzystać z aplikacji wykorzystujących rzeczywistość wirtualną (VR) i wzbogaconą rzeczywistość (AR). Nietrudno sobie wyobrazić zwiedzanie przedwojennej Warszawy za pomocą specjalnych okularów nakładających zrekonstruowane modele trójwymiarowe na współczesne widoki.

Sieć 5G oznacza także wzrost bezpieczeństwa oraz poszanowania prywatności użytkownika, kładąc nacisk na aspekty poufności i kontroli dostępu. Piąta generacja wprowadza takie procedury jak ujednolicone uwierzytelnianie czy szyfrowanie wszechstronne, a ponadto jest pierwszym systemem, w którym dane identyfikacyjne użytkownika są w całości ukryte. Tak jak dotychczas operatorzy sieci będą odpowiedzialni za całkowite bezpieczeństwo architektury sieciowej.

Aby umożliwić wdrożenie najwyższych standardów bezpieczeństwa, światowy lider rozwiązań 5G – Huawei – uruchomił centra cyberbezpieczeństwa w Niemczech, Wielkiej Brytanii oraz w Belgii. W tych ośrodkach operatorzy telekomunikacyjni i jednostki rządowe mogą testować kody źródłowe oraz rozwiązania użyte w oprogramowaniu i produktach 5G pod kątem bezpieczeństwa. W ten sposób chiński koncern demonstruje całkowitą transparentność swoich produktów oraz oprogramowania. Huawei jest pierwszym producentem na świecie oferującym komercyjne rozwiązania 5G, obejmujące sprzęt sieciowy oraz terminale użytkownika.

Generacje sieci komórkowej

1G (zwana w Polsce „Centertel") 1982. Pierwsza telefonia mobilna. Wielkie analogowe „cegły" znane początkowo z amerykańskich filmów. W latach 90. zawędrowały nad Wisłę, stając się jednym z symboli wczesnej fazy rozwoju polskiego biznesu.

2G (GSM) 1992. Początki cyfrowej sieci komórkowej i pierwsze SMS. Telefonów z tego okresu można używać do dziś, co cenią zwolennicy urządzeń działających dłużej niż jeden dzień na jednym ładowaniu.

3G (UMTS) 2001. Internet w komórce. Niezbyt szybki i dość ograniczony, zapoczątkował jednak rozwój rynku smartfonów, które w ciągu dekady niemal całkowicie wyeliminowały tradycyjne telefony z klawiaturą.

4G (LTE) 2012. Epoka, w której żyjemy. Internet jest stale dostępny z poziomu smartfona, w którym pierwotna funkcja prowadzenia rozmów staje się dodatkiem do wciąż rosnących możliwości cyfrowego świata.

5G – niedaleka przyszłość. Sieci 5G pozwolą na ultraszybkie połączenie z internetem (10 Gbps), masowe połączenie urządzeń/sensorów (rząd 1 mln urządzeń na kilometr kwadratowy), oraz bardzo niskie opóźnienia (1 ms). Oznacza to lawinowy przyrost prędkości i dostępności przesyłu danych oraz integracji autonomicznych systemów przemysłowych, transportowych i infrastruktury tzw. inteligentnych miast. Wirtualna i rozszerzona rzeczywistość będą na wyciągnięcie ręki.

KIEDY 5G W POLSCE?

Dyrektywa europejska (Strategia 5G dla Europy) nakazuje, aby do 2025 r. każdy kraj Unii miał pokrycie 5G na terenach zurbanizowanych i głównych szlakach komunikacyjnych. Pod koniec lutego 2019 r. na corocznym Mobile World Congress w Barcelonie spodziewane są premiery nowoczesnych smartfonów obsługujących nowy standard 5G. Globalnie przewiduje się, że wielu operatorów uruchomi sieci w tym roku.

Polska jest w europejskiej czołówce rozwiązań telekomunikacyjnych. T-Mobile w grudniu 2018 r. uruchomił testową sieć 5G obejmującą swoim zasięgiem ścisłe centrum Warszawy.

Warto podkreślić, że aktualne uwarunkowania środowiskowe obowiązujące w Polsce są zbyt restrykcyjne (ponad 100 razy mniejsze dopuszczalne natężenie pola elektromagnetycznego niż w pozostałych krajach europejskich), a kluczowe częstotliwości są użytkowane na podstawie pozwoleń regionalnych przez wielu samodzielnych dostawców internetu oraz samorządy. Przewiduje się, że dopiero w okolicach 2022–2023 r. pasmo będzie mogło być w całości udostępnione dla operatorów sieci komórkowych. Pełne komercyjne wdrożenie 5G w Polsce jest uzależnione od dostępności odpowiednich częstotliwości radiowych oraz harmonizacji wymagań środowiskowych zgodnie z limitami obowiązującymi w większości krajów Unii Europejskiej.

eprasa.pl 6c0f73be05

Zakłady Górnicze w Lubinie od stycznia mogą się pochwalić jednym z najbardziej innowacyjnych systemów sterowania i monitoringu. „Kopalnia zyskuje drugą młodość" – przekonują szefowie KGHM Polska Miedź S.A.

Druga młodość kopalni

Control Room to dyspozytornia w najnowocześniejszym stylu. Pomieszczenie zostało wyposażone w nowoczesne środki łączności, monitoringu oraz urządzenia sterownicze, dzięki którym obsługujący i analizujący spływające dane mają natychmiastowy dostęp do praktycznie każdej informacji dotyczącej pracy kopalni z zagłębia miedziowego, gdzie zatrudnionych jest łącznie niemal 3,2 tys. osób.

KOMUNIKACJA I MONITORING

Zmiana procedur znacznie obniża możliwość wystąpienia potencjalnego zagrożenia. 280 kamer i dwóch pracowników na zmianie stale obserwują na każdym poziomie pracę w zakładzie górniczym. Wyposażeni w odpowiednie akcesoria i przyrządy nie tylko badają efektywność pracy, obserwują działanie kopalni, wychwytują zagrożenia czy szybko reagują na awarie. Dzięki specjalistycznemu oprogramowaniu dyspozytorzy mogą m.in. sami uruchamiać taśmociągi. Skala przed-

eprasa.pl 6c0f73be05

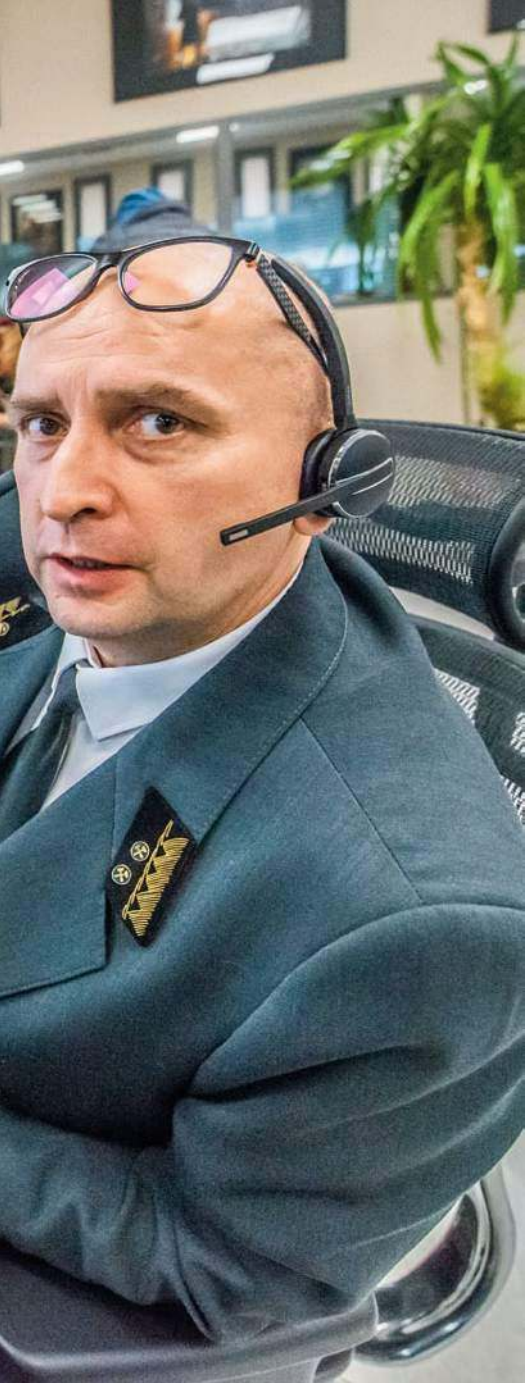

34/0119/F

sięwzięcia? Wystarczy wspomnieć, że system generuje aż 16 mln sygnałów informacyjnych na dobę.

Kopalnia Lubin zyskuje drugą młodość – przekonują przedstawiciele KGHM Polska Miedź S.A. Nowoczesne centrum kierowania stanowi znaczący przełom, jeśli chodzi o wprowadzanie technologii i wykorzystywanie jej do komunikacji oraz monitoringu. Pomagają w tym wysokiej jakości serwery oraz pulpity dyspozytorskie.

– Nasza strategia jest jasna: wdrażamy rozwiązania zwiększające efektywność i jednocześnie bezpieczeństwo. Control Room jest świetnym przykładem. Szybsze i sprawniejsze informowanie jest bezwzględnie jednym z najważniejszych procesów w działaniu kopalni – mówi o wadze systemu dowodzenia wiceprezes KGHM Polska Miedź S.A. ds. produkcji Radosław Stach.

W przeszłości monitoring wielu parametrów był rozproszony, brakowało tym samym miejsca, gdzie można byłoby zbierać wszystkie dane i na bieżąco je aktualizować. Teraz system jest w pełni zintegrowany, ujednolicony i wkomponowany w naturalne środowisko pracy kopalni. Podobną transformację przed dwoma laty przeszła kopalnia Polkowice-Sieroszewice.

GIGANTYCZNY PROGRES

– W Control Room zintegrowaliśmy systemy wspomagające funkcjonowanie kopalni. Dzięki temu, że wszystkie służby dyspozytorskie pracują w jednym miejscu, jest możliwość błyskawicznego rozpoznawania problemów i odpowiednie reagowanie. Wpływa to naturalnie na tempo i efektywność procesów wydobycia oraz produkcji, ale jeszcze większe znaczenie ma w sytuacjach kryzysowych, np. podczas akcji ratowniczej – tłumaczy Radosław Stach.

Control Room otwiera wiele możliwości, które nie były do osiągnięcia przy działaniu wcześniejszego systemu. Z technicznego punktu widzenia to gigantyczny progres, jeśli chodzi o sposób pozyskiwania i przetwarzania gromadzonych danych. Każde działanie i ruch w kopalni są natychmiast rejestrowane i analizowane, a to pozwala na bieżącą szczegółową obserwację najdrobniejszych elementów oraz pełną kontrolę.

– Naszym celem jest optymalizacja pracy przenośników taśmowych i odstawy urobku. Do tej pory monitoring i obserwacja przenośników były prowadzone w sposób rozproszony. Stworzenie jednego systemu, który pozwala zbierać wszystkie dane i prezentować je w przejrzysty sposób, diametralnie zmienia sytuację – wyjaśnia dyrektor naczelny Zakładów Górniczych Lubin Dariusz Jach. – Teraz możemy lepiej sterować całym procesem, co pozwala oszczędzić czas, ograniczyć koszty oraz pozytywnie wpływa na poziom bezpieczeństwa – dodaje Dariusz Jach.

E-PRZEMYSŁ I SYSTEM 4.0

Zdalna kontrola i obsługa procesu produkcyjnego pozwala także na ograniczanie kosztów eksploatacji wszystkich systemów w kopalni. To pochodna programu KGHM 4.0, który wciela w życie lubińskie konsorcjum. Strategia została przyjęta w grudniu 2018 r. Planowe założenia poprawiające funkcjonowanie obszaru bezpieczeństwa, produkcji, zarządzania, informowania łączą się w rozwiązaniu Control Room. Technologia staje się tym samym drogą prowadzącą do zysku, ale – co ważniejsze – chroniącą ludzkie życie i zdrowie.

To nie koniec modernizowania polskich kopalni. W przyszłości podobny projekt ma zostać wprowadzony w Zakładach Górniczych Rudna. Zarząd KGHM Polska Miedź S.A. sukcesywnie wprowadza zmiany, które gwarantują wzrost bezpieczeństwa i poprawę funkcjonalności kopalni. Dzieje się to przy wykorzystaniu nowoczesnych technologii.

BEZCENNA POMOC

– Ostatnie wydarzenia w kopalni Rudna pokazały, jak istotne w chwilach prawdziwego niebezpieczeństwa są odwaga, opanowanie i nieustępliwość. To dzięki tym wartościom, prezentowanym przez ratowników i całą załogę, ostatecznie zostali uratowani wszyscy pracownicy. Teraz czas zrobić naprawdę wszystko, by minimalizować ryzyko wypadków także dzięki systemom wspomagającym pracę. Powinniśmy być jak najlepiej przygotowani do wszelkich wydarzeń. Chcę, żeby wszystkie nasze oddziały jak najszybciej mogły korzystać z nowoczesnych rozwiązań technologicznych – podkreśla wiceprezes Radosław Stach.

Chociaż ryzyko groźnych zdarzeń z natury jest wpisane w specyfikę branży wydobywczej, odpowiedni system obserwacji i analizy danych może zminimalizować takie niebezpieczeństwa. A w wypadkach krytycznych, gdy zagrożone jest zdrowie ludzi pracujących pod ziemią, szczegółowa informacja o sytuacji w kopalni i natychmiastowy dostęp do tej wiedzy stanowią bezcenną pomoc. Bezcenną, bo mogącą uratować życie.

eprasa.pl 6c0f73be05

Góry wciąż dzikie

Nie ma drugiego takiego miejsca w Polsce, którego historia zaczęłaby się tak niedawno, wcześniej będąc jedynie niewyraźnym wyobrażeniem lub legendą

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czasami z Krakowa, jeżeli powietrze jest przejrzyste, można zobaczyć Tatry wznoszące się 100 km dalej na południe. Najlepiej widać je na tle nieba wczesnym rankiem albo pod wieczór, kiedy wraz z zachodzącym słońcem śnieg pokrywający góry robi się różowawy, a potem fioletowy. Co jakiś czas od Tatr wieje ciepły i silny wiatr, docierający daleko na północ na niziny, a biorący początek pośród hal i nazywany halnym, niepozwalający zapomnieć o bliskości Tatr.

SABAŁA I TATAR

Tatry – najwyższe pasmo górskie wielkiego łuku Karpat i jedyne nasze góry posiadające piętro skalnych turni to miejsce, którego historia, ta znana nam, zaczęła się bardzo niedawno. Wcześniejsze zdarzenia są tajemnicą, bo nikt nie zapuszczał się pomiędzy tatrzańskie szczyty. Co roku każdego października spadał śnieg, który utrzymywał się aż do maja (tak się dzieje do dzisiaj). Czego świadkami przez całe wieki, do czasów bardzo niedawnych, były górskie kotły, żleby, granie oraz zielonkawe stawy odcięte od reszty świata i bezludne?

Nie ma drugiego takiego miejsca w Polsce, którego historia zaczęłaby się tak niedawno, wcześniej będąc jedynie niewyraźnym wyobrażeniem lub legendą. Niewiele ponad 100 lat temu zmarł pod Tatrami Sabała – Jan Krzeptowski, ojciec chrzestny Witkacego, kłusownik i przypuszczalnie ostatni zbójnik tatrzański. Polując na kozice i świstaki, korzystał podczas wypraw w góry z kryjówek swojego poprzednika Tomasza Tatara (który zbójnikiem przez kilkadziesiąt lat samotnego życia w górach był już niewątpliwie), a o którym mawiał: „Nad Tatara, nad Myśliwca polowaca więksego nimas w całyk Tatrak". I niewiele więcej pewnego możemy powiedzieć o całych wiekach, które przebiegły w tej krainie, bo żadne kroniki ich nie spisały, a opowieści odeszły razem z ostatnimi ludźmi, którzy je zasłyszeli i mogli powtórzyć.

TERRA INCOGNITA

Za wyjątkiem nielicznych awanturników nikt się do niedawna w Tatry, zwłaszcza w trwającej miesiącami porze śnieżnej, nie wyprawiał. Kiedy hrabia Kazimierz Wodzicki wybrał się w Tatry, opisał później swoje doświadczenia w książce „Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1850 roku". Wyruszając późną wiosną, stwierdził, że jest to „czas, w którym dotąd żaden podróżujący nie śmiał wstąpić na szczyty okryte śniegiem niezgłębionym". Była to eskapada romantyczna i nieustępująca urokiem wyprawom na krańce świata. W tamtych czasach na samą tylko podróż z Krakowa do podnóży Tatr, oczywiście zaprzężonym w konie i wyekwipowanym na dłuższy pobyt wozem, potrzeba było przynajmniej dwóch dni. I nie była to podróż zbyt bezpieczna.

Oprócz ptaków, których poszukiwanie było jednym z istotnych celów wyprawy hrabiego – ornitologa, pisał Wodzicki o „dzikich kozach, coraz rzadszych w naszym kraju", które ostatnie siedziby mają w rejonie „Miedzianej, Koziwiru i Pustej", a których z racji ich

eprasa.pl 6c0f73be05

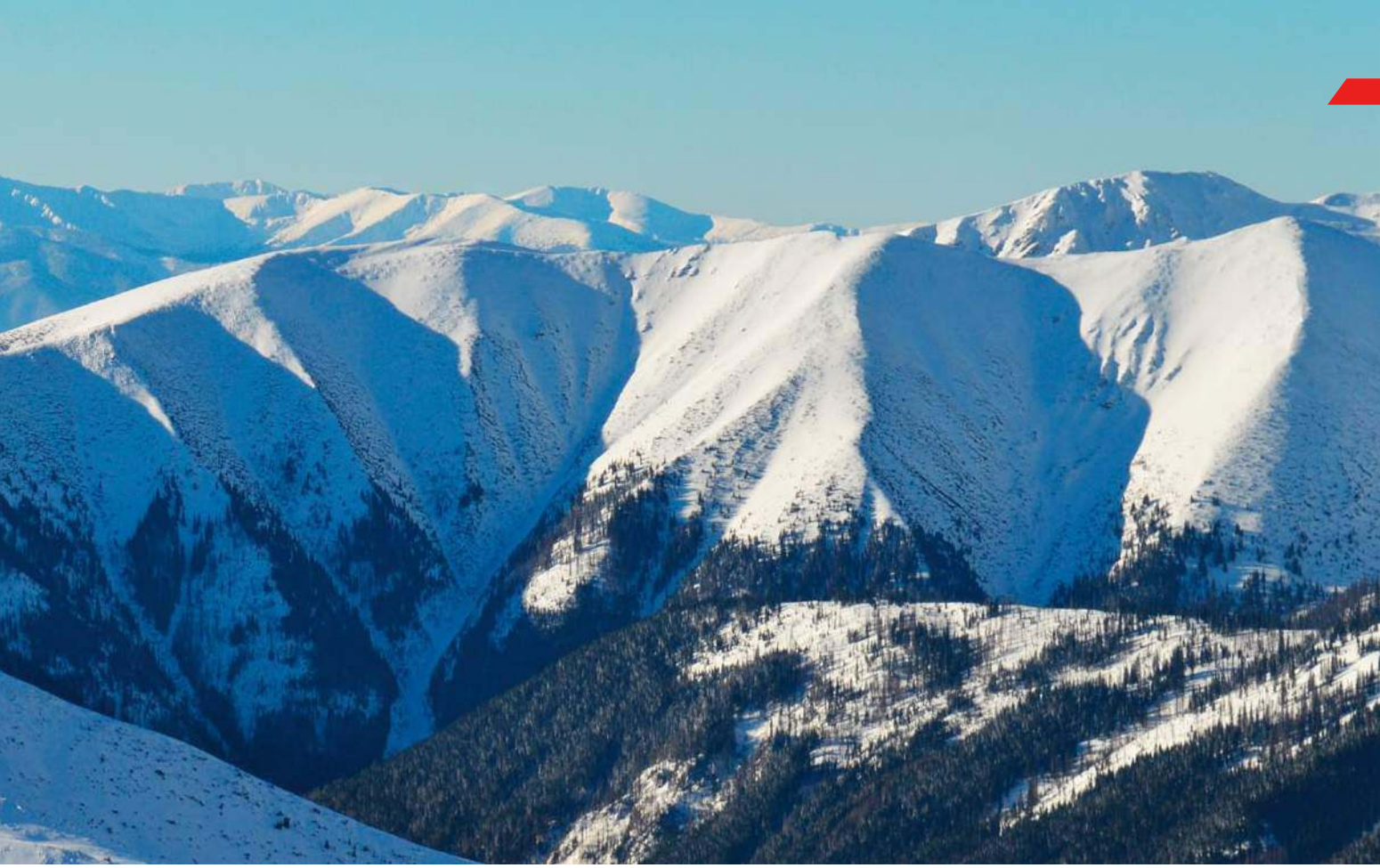

zręczności i ostrożności nie udało się podejść bliżej, lecz jedynie obserwować przez teleskop.

Turystyczna eksploracja Tatr czyniła wolne postępy. Pierwsi ludzie (góral Bartłomiej Obrochta i etnograf Jan Grzegorzewski), którzy dotarli zimą do Doliny Pięciu Stawów Polskich, uczynili to dopiero w styczniu 1894 r. Przed nimi, o ile wiemy, nikt nie stanął tam o tej porze roku. Najwyższy szczyt polskich Tatr, Rysy, został zdobyty w 1840 r., w dodatku latem.

SKRZELOPŁYWKA BAGIENNA

Tatrzańskie stawy to też zjawisko wyjątkowe. O tej porze roku trzeba zaczekać kilka miesięcy, żeby je zobaczyć. Słyną z niezwykłej przejrzystości, sięgającej kilkunastu metrów i oryginalnych barw: zieleni lub czerni. Jeżeli patrzy się na granitowy głaz spoczywający na dnie takiego stawu, niełatwo ocenić, czy znajduje się tuż pod powierzchnią, czy w głębinie, a tylko przejrzystość wody oszukuje wzrok. Niektóre związane ze stawami historie to tylko legendy, jak ta o połączeniu Morskiego Oka z Adriatykiem lub żyjącym w jego wodach wielkim, siwym ze starości pstrągu potokowym. Inne, jak ta o skrzelopływce bagiennej, są prawdziwe.

> Pierwsi ludzie, którzy dotarli zimą do Doliny Pięciu Stawów Polskich, uczynili to dopiero w styczniu 1894 r.

Skrzelopływka bagienna Branchinecta paludosa jest gatunkiem intrygującego skorupiaka, występującego w okolicach podbiegunowych i w Tatrach na Słowacji w Wyżnim Małym Furkotnym Stawku. Do roku 1968 skrzelopływki bagienne żyły także w jednym, jedynym stawie po polskiej stronie, a mianowicie w Dwoistym Stawie Gąsienicowym. Staw ten ma tę specyfikę, że chociaż głęboki na dziewięć metrów, zimą pod lodem całkowicie się opróżnia, a dno zamarza – woda odpływa bowiem z niego podziemnymi szczelinami. Takie warunki sprawiały, że jaja skrzelopływek przemarzały, co jest konieczne do ich dalszego rozwoju.

Niestety skrzelopływek nie ma już w Dwoistym Stawie. W latach 60. XX w. wpuszczano do niego pstrąga potokowego, który jest gatunkiem rodzimym, ale w sposób naturalny zasiedla tatrzańskie potoki i tylko jeden staw – Morskie Oko. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że pstrągi wyjadły skrzelopływki, lecz same też nie przeżyły w specyficznym stawie. W każdym razie nikt już później skrzelopływek bagiennych w Dwoistym Stawie Gąsienicowym nie spotkał.

Kiedy czyta się wcale nie tak dawne opisy Tatr, ma się wrażenie, że dotyczą jakiejś niezbadanej krainy i czasów trochę baśniowych, w których nic nie jest pewne. I wystarczy się tam wybrać w mało uczęszczany dzień powszedni, aby się przekonać, że Tatry po dziś dzień nic ze swojej niezwykłości nie utraciły.

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 6c0f73be05

ALEKSANDRA KOSTKA PREZENTERKA, POGODYNKA

Na talerzu – słonecznie

W moim zawodowym, ale i prywatnym życiu dzień rozpoczynający się od śniadania pełnego pytań i wielu ciekawych na nie odpowiedzi jest czymś bardzo smakowitym. Choćby za oknem była szaruga, „Pytanie na śniadanie" oznacza piękny poranek, w którego czasie spotykam wielu fantastycznie różnorodnych gości. Poznaję niezwykłych ludzi z branż, o których – bywa – nie miałam nawet pojęcia. To szansa na rozbudzanie w sobie ciekawości świata.

Pamiętam, kiedy jako mama dwójki dzieci od 5.30 byłam na nogach (nie pracowałam wtedy jeszcze w „Pytaniu na śniadanie") i czekałam na godzinę 8 rano. Osoby starsze też lubią tę porę emisji. O ósmej już stoi wszystko na stole, by dołączyć się do telewizyjnego śniadania. To dla wielu widzów rytuał. A dla nas, ludzi pracujących w telewizji, zaszczytem jest, że w ten sposób stajemy się poniekąd członkami rodziny.

Telewizyjne „Pytanie na śniadanie" ma wiele smaków. Można je celebrować. Natomiast to moje codzienne, domowe śniadanie, jest najczęściej na szybko. Zawsze jednak sięgam po coś zdrowego i różnorodnego. Ważne, żeby było kolorowo, więc jest na talerzu dużo warzyw.

W czasie nagrania „PnŚ" często i chętnie zaglądamy do kuchni. Tu zawsze dzieje się coś ciekawego i inspirującego. „Pytanie..." z pewnością potrafi poszerzyć także kulinarne horyzonty. Teraz jest np. moda na koktajle, zdrowe i pożywne napoje. Częściej po nie sięgam. Dzięki programowi polubiłam też mango.

Telewizyjne studio zaczęło również naszą familijną kulinarną przygodę. Kiedyś całą rodziną byliśmy zaproszeni do programu i mój synek nauczył się robić roladę kubańską po królewsku. Dziś ma kilkanaście lat, ale jak jest w domu jakieś święto, siada w kuchni do stołu i robi właśnie roladę.

Młodsza o rok córka też do kuchni zagląda. Każde z nich szuka swoich smaków, natomiast rodzinnie jesteśmy przywiązani do typowych polskich dań. Nie wyobrażamy sobie niedzieli bez rosołu i schabowego. Lubimy bigos, ale jesteśmy otwarci również na inne potrawy. Niekiedy nie trzeba wiele, by osiągnąć kulinarny efekt „wow".

Jolanta Gajda-Zadworna

Słoneczne brzoskwinie

To moje ulubione, bardzo szybkie, ale też wykwintne danie. Brzoskwinie przekrojone na pół – świeże albo wzięte z syropu – wypełniam pastą przygotowaną z twarogu zmieszanego z tuńczykiem i natką pietruszki. Genialne. Robi się w dwie minuty, łącznie z dekorowaniem półmiska listkami natki, a jakie wywołuje wrażenie. I jak smakuje. Każdy, kto wpada na niezapowiedzianą kolację, jest zaskoczony: „Jak to, takie danie? Kiedy zdążyłaś to zrobić?". Odpowiadam wtedy: „Specjalnie dla ciebie, drogi gościu". I o to chodzi.

eprasa.pl 6c0f73be05

SŁODKO-SŁONY

Kot na omlety

ANNA MONICKA

Kiedy zacząć dziecko uczyć gotowania? Dobry jest każdy moment. Od czego zacząć? Można na początek wrzucić koncentrat pomidorowy do rosołu z wczoraj lub jakiegokolwiek bulionu, można dać do rąk dwa jajka i trzepaczkę.

Ja zaczęłam od jajek. Może dlatego, że córka nie chciała ich wcale jeść, a mnie zależało na tym, aby ją jednak przekonać, iż żółtko i białko są smaczne oraz bardzo zdrowe. Było więc rozcieranie żółtka z żurku, mieszanie w sałatce śledziowej czy paście z awokado. Myślę jednak, że własnoręcznie utrzepany omlet wiele w kwestii jajek zmieni. Córcia się nim zainteresowała bynajmniej nie dlatego, że omlet lubimy ja i mój mąż, ale że wyjątkowym amatorem tego dania jest nasz tłusty kot Bolesław. Jeden kocur jada jaja tylko na surowo i gdy usłyszy, że otwieram lodówkę i sięgam po pudełko z nimi, rzuca się na mnie, roztrącając wszystko, co stanie mu na drodze. Drugi kot gustuje wyłącznie w puchatych omletach smażonych na porządnym maśle. Jeśli chodzi o dodatki – w zasadzie jest mu to obojętne. Zje i z zielonym groszkiem, i z bobem, i z pomidorkami koktajlowymi, a jeśli posypię parmezanem lub jakimś innym markowym serem, muszę od razu przygotować dokładkę.

Tak więc swój pierwszy w życiu omlet – z dwóch jaj – córcia przygotowała dla kota. Musiał wyjść nieźle, bo Bolek rozprawił się z nim w dziesięć minut, a potem poszedł sprawdzić, czy te przyrządzone dla ludzi nie udały się przypadkiem lepiej.

Nasz omlet jest dietetyczny. Nie dodajemy mąki, solidnie trzepiemy, żeby dobrze napowietrzyć jajko. Do smarowania patelni używamy wyłącznie odrobiny domowego masła klarowanego, które doskonale znosi wysokie temperatury. Roztrzepane jajko doprawiamy odrobiną soli i wonnego hinduskiego curry, które genialnie podkreśla naturalny smak i zapach jajka. Wylewamy masę na bardzo gorącą patelnię i natychmiast przykrywamy, a po minucie dodajemy warzywa – najlepiej mrożony zielony groszek przelany wrzątkiem i młode pikantne listki nasturcji, rzeżuchy, czosnku niedźwiedziego czy rzodkiewki. Oprószamy tartym twardym serem i składamy na pół. Obok szakszuki to nasze najlepsze śniadanie.

Fot. shutterstock

WILCZYM OKIEM

Rzeki plastiku

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dziesięć rzek świata dostarcza do oceanów ponad 90 proc. plastiku. Samą tylko Jangcy każdego roku spływa 1,5 mln ton plastiku. Pozostałe z dziesiątki trucicielek to Rzeka Żółta, Hai He, Rzeka Perłowa, Amur, Mekong, Indus, Ganges, Niger, Nil.

Można szacować, że rocznie na świecie do mórz trafia kilka milionów ton plastiku – to tyle, ile masa np. miliona słoni (oczywiście dawno nie ma już tylu słoni na świecie). Trzeba też pamiętać, że od połowy ubiegłego wieku wyprodukowano na świecie kilka miliardów ton plastiku. Nie winńmy tylko Chińczyków. Chociaż w Europie stosujemy segregację odpadów i mamy spalarnie, i tak nie jesteśmy w stanie zapanować nad częścią z kilkudziesięciu milionów ton tworzyw (niemal 20 proc. światowego plastiku powstaje w Europie, bo do czego można pakować serki, ekologiczne jogurty i nalewać napoje?).

Plastik, czyli tworzywa sztuczne zbudowane z polimerów, rozpada się na mikrocząsteczki trudne do zarejestrowania i bardzo niebezpieczne. Te mikroplastiki suną dalej z prądami rzecznymi i morskimi. Wchłaniane są przez drobne organizmy wodne, obrastają glonami, trafiając do przewodów pokarmowych kolejnych ogniw łańcucha, kumulują się w rybach, skorupiakach i mięczakach, zatruwając je i zaburzając funkcjonowanie ich organizmów. Mikroplastiki znajdowane są w organizmach zwierząt z dna oceanicznego kilka tysięcy metrów pod powierzchnią wody i ptaków z najdalszych zakątków Arktyki. Trafiają też do naszych ciał.

Wielka Pacyficzna Plama Śmieci jest kilkukrotnie większa od Polski (takie plamy na swojej powierzchni mają też inne zbiorniki – a ile jest głębiej?). Dryfuje po oceanie w postaci plastikowej wyspy, a przede wszystkim zawiesiny mikrocząsteczek. Jak mogły powstać tak gigantyczne twory? Wystarczy prosty eksperyment: wybrałem się nad brzegi niewielkiej miejskiej rzeki. W Polsce, nieważne w którym mieście; wszędzie jest podobnie. Postanowiłem zebrać wszystkie śmieci na mało uczęszczanym odcinku około 200 metrów z obszaru ograniczonego wałami, czyli z terenu, z którego prędzej czy później zabierze je wyższa woda. Mój łup to dwa pełne odpadów kilkudziesięciolitrowe worki – czubek plastikowej góry, bo nie zbierałem tego, co płynęło wodą lub spoczywało na dnie.

Fot. Fotos593/Shutterstock.com

eprasa.pl 6c0f73be05

My jesteśmy przyjaciele

No i mamy kolejny dowód, że Żydzi – naród twórczy. Od kilku lat nie możemy się w Polsce między sobą dogadać w żadnej sprawie, nie widać pola wspólnego. A tu proszę: dziennikarka z USA, żydowski premier i żydowski minister w szybkich abcugach, kilkoma ruchami warcabów błyskawicznych sprawili, że polski rząd i opozycja przemówiły jednym głosem, mając w sprawie łańcuchowej prowokacji Mitchell–Netanjahu–Katz niemal identyczne zdanie. Zatem Żyd potrafi.

Ale serio: bardzo dobra decyzja premiera Morawieckiego o zerwaniu szczytu V4 przerwała ciąg niezrozumiałych gestów, jakie wobec Izraela wykonuje Polska. Wygląda to tak, jakby część polskich urzędników umyśliła sobie, że uwiedziemy Żydów pokorą i ścieleniem się u stóp. Malowniczą słabością i żarliwą gotowością do spełnienia każdego żądania, niekończących się gestów bezwarunkowego uwielbienia.

Ze swej historii Żydzi wysnuli strategiczny wniosek, że muszą być silni, inaczej zginą. Więc próbują – z różnym skutkiem. Trzeźwo oceniają partnerów i na zimno planują ruchy. Dostrzegają siłę i determinację, dostrzegają wahanie i słabość. Ze słabością liczyć się nie ma sensu, słabemu się dyktuje, co ma robić. Im bardziej zgięty w pokłonie, tym więcej pleców odsłania, żeby na nie załadować kolejne ciężary. Z wyprostowanym trudniej. Rozum mówi, że liczyć się warto tylko z siłą. Po słabości przejeżdża się czołgiem, ona w swej rozpłaszczonej pokorze nawet tego nie zauważy. Żydzi chcą być silni i silnych szanują. Słabych nie szanują. Wielu Żydów otwarcie mówi, że nie lubi w Polakach ich niskiego poczucia własnej wartości.

Polska wobec Izraela niestety zbyt często grała politykę rozpłaszczenia. My im wszystko, ale za to oni nam w zamian nic. Albo prawie nic. Finansujemy muzeum Polin, restaurujemy żydowskie cmentarze, finansujemy festiwale żydowskiej kultury i żydowskie instytuty, zbudujemy muzeum getta, organizujemy ryzykowną konferencję. Bez żadnych oczekiwań w zamian. Pozwalamy, by izraelska młodzież przyjeżdżała do Polski jak do kraju trędowatych, rozszalałych morderców, do których nie wolno się zbliżać. Co najwyżej hotele im demolować, żeby pomścić ich zbrodnie. Pozwalamy, by wychodząc z Auschwitz, żydowska młodzież nadal sądziła, że to „polski obóz śmierci", że Żydów mordowali w nim Polacy. Finansujemy filmy „Pokłosie" i „Ida", na filmy o Polakach ratujących Żydów środków nie ma, bo po co? „Pokłosie", „Ida" i nadchodzący „Malowany ptak" wystarczą, by opowiedzieć światu, kim są Polacy. Że wszystkie trzy filmy kłamliwe? Ale za to jakże piękne, no i rozliczające nierozliczone polskie winy.

Na szczęście premier Morawiecki rozumie, że leżenie na pleckach nie jest dobrą pozycją negocjacyjną. Pewne zapisy ubiegłorocznej wspólnej deklaracji są cenne. Ale organizując konferencję, wykonaliśmy wobec Izraela wielki gest, za co pan Katz z bezczelnym uśmiechem nasikał nam do zupy. Zerwanie szczytu V4 może być początkiem uzdrowienia polsko-izraelskich relacji. Bo status quo jest dla nas fatalne. Żyjący w wiecznym feudalizmie Rosjanie mówią: bije po pysku, widać ma prawo. Ogrom antypolonizmu, jaki istnieje w Izraelu, może być więc przez nas akceptowany, a tym samym pielęgnowany i wzmacniany, lub też może być bezustannie wskazywany i oprotestowywany, dokładnie tak, jak robią to Żydzi z prawdziwym lub wyimaginowanym antysemityzmem. Mam nadzieję, że dziś już wszędzie dotarło, iż jedynym możliwym standardem relacji obu państw i obu narodów są pełna równoprawność oraz pełna symetria. W gospodarce, polityce, edukacji, kulturze i nauce. I oczywiście pełna suwerenność. Bez sfer tabu, bez wydanego Polakom przez pewnego rabina (wbrew polskiemu i żydowskiemu obyczajowi oraz prawu) zakazu badania zbrodni dokonanej w Polsce na polskich obywatelach w Jedwabnem.

Są Żydzi, którzy po cichu cenią i stymulują pewien poziom antysemityzmu. Bo pozwala on Żydom trzymać się razem, organizować i wspierać w – prawdziwym lub wyimaginowanym – zagrożeniu. Dobrze walnąć kijem w klatkę, niech małpy wrzeszczą. Przecież tylko to potrafią. A tu siurpryza. Polski premier pokazał, że jest polskim premierem. Może więc zaczyna się nowe, może wreszcie sporządzimy agendę spraw polsko-izraelskich i będziemy je rozliczać absolutnie symetrycznie. Z obu stron żadnej bezinteresowności, z obu stron wyłącznie interes. Każdy przyjazny polski gest czy działanie wobec Izraela lub żydowskich środowisk tylko za konkretne izraelskie i żydowskie gesty oraz działania na rzecz Polski i Polaków. Tylko tak. Tylko wtedy „będziem przyjaciele".

Maciej Pawlicki

57/1118/F

eprasa.pl 6c0f73be05

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

TY MASZ DOM, A ONI?

AKCJA DOM

„Rzeczą godną pochwały jest powrót wielu osób i rodzin oraz odbudowa domów w Dolinie Niniwy” – kard. Pietro Parolin – Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej

Aby tak się stało, potrzeba również Twojej pomocy.

I Ty możesz się włączyć w BUDOWĘ DOMÓW

w Dolinie Niniwy, w dwóch miastach Iraku: BARTELLA i BASZIKA

POMÓŻ I WPŁAĆ:

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów
Tytuł przelewu: Akcja DOM
Numer konta PLN:
65 1140 2004 0000 3602 7608 3791

Więcej informacji na:
www.fundacja.niedziela.pl

Archiwum ks. Mariusza Boguszewskiego/PKWP

niedziela

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE

maika MŁODZIEŻOWA AGENCJA INFORMACYJNA

eprasa.pl 6c0f73be05

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ważny wywiad

Ten wywiad można już traktować jako pewien testament polityczny Jana Olszewskiego zostawiony Polakom

W dniu pogrzebu śp. Jana Olszewskiego miałem okazję cytować w PR24 fragmenty wywiadu, którego udzielił mi we wrześniu 1995 r., kiedy kandydował na urząd prezydenta RP. Było dla mnie oczywiste, że z 17 kandydatów na ten urząd najlepszym byłby dla Polski Jan Olszewski. Wygrał Aleksander Kwaśniewski, który odmówił wywiadu mimo moich usilnych starań. No cóż, zadawałem pytania dotyczące majątku, oszczędności itd. – tak jak wszystkim innym kandydatom. Wówczas, w 1995 r., Jan Olszewski posiadał mieszkanie własnościowe i samochód osobowy rocznik 1988. To go całkowicie satysfakcjonowało, choć – jak dodawał żartobliwie: „Zawsze lepiej byłoby mieć więcej".

Ten wywiad można już traktować jako pewien testament polityczny Jana Olszewskiego zostawiony Polakom. Wbrew pozorom i upływowi lat „sprawy polskie" pozostają bowiem dziś tak samo aktualne i ważne.

Na pytanie, czym jest lewica, czym prawica i z jaką opcją się utożsamia, Jan Olszewski nie tylko scharakteryzował prawicę („konserwatyzm społeczny z naciskiem na wartości religijne, rodzinne") i lewicę („postawa kontestująca pewne zastane wartości"), lecz wprowadził ważne rozróżnienie. „Twierdzę, że w naszych obecnych warunkach trzeba mówić raczej o tradycji niepodległościowej i peerelowskiej, ten podział jest istotny". Dlatego dziś – mówił – bardzo trudno określić, kto naprawdę jest prawicowcem. „Pan Korwin-Mikke jest prawicowcem. W dyskusji ze mną oświadczył, że nie rozumie, co to jest właściwie niepodległość, że to przecież nic nie znaczy. To jeżeli ja też jestem prawicowcem, to w podstawowej sprawie różnimy się zasadniczo". Przypomniały mi się te słowa, gdy Korwin-Mikke gdzieś tam publicznie powiedział o Ryszardzie Kuklińskim „zdrajca".

Śp. Jan Olszewski był bardzo skromnym człowiekiem. Jarosław Kaczyński wspominał, że długo się zastanawiał nad tym, czy zostać premierem. Wskazywał innych kandydatów, nie siebie. Ale wracając do wywiadu, okres tzw. transformacji systemu i jego beneficjentów, którzy już szykują się do uroczystych obchodów 30-lecia, Jan Olszewski scharakteryzował krótko i dobitnie: „To jest grupa, która przejęła zasadę świętości własności prywatnej pod jednym warunkiem, że to jest własność, którą ona sama ukradła". Także jego uwagi na temat Funduszu Emerytalnego, niezależnego od państwa, ale opartego na części majątku narodowego, pozostają ważnym do zrealizowania postulatem. A w słowach: „Na pewnym poziomie cywilizacyjnym gospodarka nie może być gospodarką amoralną, musi być – poza prawem – regulowana zespołem moralnych pojęć obowiązujących w danym społeczeństwie" odnalazłem przemyślenia prof. Feliksa Konecznego, w jego „40 tezach zasadniczych o życiu społecznym i politycznym w Polsce". Pisał: „Wszelka nieprawość w życiu publicznym jest również godna potępienia i wzgardy, jak w życiu prywatnym".

Zadałem oczywiście pytanie o zagrożenia dla polskiej demokracji. Dla Jana Olszewskiego tym zagrożeniem było „przekonanie znacznej grupy obywateli, może w tej chwili już nawet największej, że nie mają żadnego wpływu na państwo i że to nie jest ich państwo, ich władza". Tu z satysfakcją możemy odnotować zmianę na lepsze. To nie jest już obce państwo ani obca władza. PiS ma stabilną większość, która pozwala realizować wyborcze obietnice obywateli, oczywiście głównie tych obywateli, którzy na taką władzę zagłosowali. A co z resztą? – należałoby zapytać. Czy jest jakiś fragment wywiadu poświęcony obecnej opozycji, która w tamtych czasach przez wiele lat była wyłącznie władzą? Jest taki fragment. Zapytałem, czy we współczesnej Polsce możemy mieć do czynienia z problemem umownie zwanym „targowicą". „W moim przekonaniu w tej chwili mamy nie tylko targowicę, bo targowica była zjawiskiem w gruncie rzeczy marginalnym w stosunku do ówczesnej polskiej państwowości, polskiego społeczeństwa. W tej chwili mamy do czynienia w Polsce z piątą kolumną, która jest silniejsza od czterech pierwszych".

Czy można się doszukać w tej wypowiedzi reakcji na obalenie jego rządu, trzy lata wcześniej? Jednak nie. Przez ten czas wiele się w Polsce wydarzyło, niekiedy nawet wyostrzyło. Ci sami ludzie, którzy obalali tamten rząd, nie ustają w swoich planach podporządkowania Polski. Czy tylko sobie?

Choć był to dopiero początek wywiadu z Janem Olszewskim, felieton kończę pytaniem będącym kontynuacją poprzedniego: czy to jest lobby proros yjskie, czy prosowieckie? I pada odpowiedź: „To jest lobby związane z dawną sowiecką nomenklaturą. A ta sowiecka nomenklatura ciągle stanowi kościec władzy rosyjskiego państwa i odbudowującego się rosyjskiego imperium". Nie dziwią więc oskarżenia obecnej opozycji w stosunku do PiS o jego proputinowską politykę. Zwykle tak krzyczy złodziej.

www.wojciechreszczynski.pl

116/0119/F

eprasa.pl 6c0f73be05

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ NIE DAM SIĘ LICHWIE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

eprasa.pl 6c0f73be05

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Felieton egzaltowanie mesjanistyczny

Kiedy przeszkody piętrzą się z każdej strony, gdy zewsząd nadciąga złowieszczy pomruk... Po pierwsze, nie ma co histeryzować, po drugie – trzeba spokojnie usiąść pod ścianą i zastanowić się, jak jednak zwyciężyć. Po trzecie... popatrz w górę!

Soros bezczelnie, nieproszony wpycha się do Polski medialnymi drzwiami i oknami, agresywne środowiska żydowskie szkalują nam kraj i nas samych, w polityce zło i wulgarne błoto myślowe, wokół spoceni karierowicze. Czy trzeba jeszcze mocniejszych ostróg, aby podnieść głowę i działać? Jeśli z każdej strony widzę ścianę i tonę w bagnie, muszę zaczerpnąć oddechu i spojrzeć w bezkres wolności, w najbardziej optymistycznym kierunku, jaki wymyśliła ludzkość – spoglądam śmiało w górę.

Witold Gadowski

Jestem przekonany, że Polska wyjdzie cało ze wszystkich ataków, wzbiera we mnie przekonanie, iż nadchodzi czas brzmienia Wielkich Dzwonów Wolności. Nie, nie zwariowałem i ze stosunkowo trzeźwego komentatora nie przeistoczyłem się w nawiedzone medium. Po prostu czuję w kościach, że nadchodzi dobry czas. Wyłączcie te piekielne telewizory, spalcie gazety i posłuchajcie, jak w polskich żyłach zaczyna krążyć zupełnie nowa krew. Nadchodzi nowe pokolenie, nowe myślenie i patriotyzm, który nie boi się wyzwań nowoczesności. Polska będzie rosła i z entuzjazmem oraz pokorą zamierzam się w tym nowym powiewie zanurzyć. Już niedługo ruszę w trasę po kraju, aby wyjść naprzeciw temu, co nadchodzi.

Powiecie: ot, zmesjanizował się chłop do reszty, stał się egzaltowany jak, nie przymierzając, panienka przed potańcówką. Nieprawda, twardo stąpam po ziemi i racjonalnie ważę sytuacje, jednak nie mogę się oprzeć przekonaniu, irracjonalnej aurze, którą czuję już w powietrzu. Polska dorośleje, staje się wspaniałym krajem – dzięki jej mieszkańcom. Polacy mają niespożytego ducha, który uwalnia się właśnie w trudnych, często beznadziejnie wyglądających czasach. Mówiąc krótko: im trudniej, tym dla Polaka ciekawiej. Podołamy temu, co nadchodzi, i wyjdziemy z tego wzmocnieni jak nigdy.

Mój sen o Wielkiej Krucjacie – Pielgrzymce z Częstochowy do Santiago de Compostela przybiera na realizmie. Oczyścimy Polskę, wzniesiemy się ponad zapiekłe emocje, bo to, co nas czeka, jest większe i mądrzejsze niż wszystkie strategie politycznych degeneratów. Polska ich już przerasta. Jesteśmy narodem obarczonym potężnym obowiązkiem – musimy dać przykład Europie. Przykład, pod wpływem którego kontynent wróci na swoje stare łono.

A teraz rechotajcie Biedronie, Kwaśniewskie, Schetyny... Wasze drwiny spadają kroplami lodu do stóp Polski, która po was idzie.

Pod opieką psychologów

Kiedy w kraju zdarzy się jakaś tragedia, gdy rozegra się dramat z ofiarami w tle, natychmiast pojawia się w mediach komunikat: „Rodziny otoczono opieką psychologów". Uzyskanie duchowego wsparcia jest dziś znacznie łatwiejsze niż otrzymanie konkretnej pomocy materialnej. Moda na „lekarzy dusz" dotarła do nas z Zachodu, gdzie w niektórych kręgach wręcz wypada mieć osobistego psychoterapeutę.

Lech Makowiecki

Kiedyś ludzie byli twardsi i – mimo ekstremalnie traumatycznych przeżyć – sami radzili sobie ze stresem. Mówię choćby o tragicznych przejściach wojennych, które zostawiły trwały ślad w psychice wielu Polaków. Przez wieki wykształciliśmy sobie naturalne mechanizmy obronne, np. zawsze mogliśmy liczyć na krewnych, przyjaciół, sąsiadów czy znajomych. Ludzie wierzący szukali najczęściej pociechy w Bogu. I zwykle odnajdywali spokój w modlitwie, a po spowiedzi czuli prawdziwą ulgę i oczyszczenie. Kryzys wiary, rozluźnienie rodzinnych więzów i brak prawdziwych przyjaciół (tych w realu) pozbawiły nas tego odwiecznego wsparcia. Dlatego dziś próbujemy kupić sobie czyjąś uwagę/poradę/przyjaźń. A ja wciąż wzdragam się na myśl o tym, że miałbym na kozetce u terapeuty (zupełnie obcego mi człowieka!) szukać ratunku na moje życiowe problemy. Zapewne po otrzymaniu rachunku za „usługę" wpadłbym w jeszcze większą depresję.

Naprawa zranionej duszy wymaga ogromnej wrażliwości, doświadczenia życiowego i mądrości. To bardziej misja niż praca; nie zawsze udaje się wykształcić u studentów właściwą ku temu empatię.

Przyczyn niepowodzeń psychologowie szukają najczęściej, analizując dzieciństwo pacjenta. Standardowo winne są trauma szkolna lub/i błędy wychowawcze rodziców. Tymczasem to my sami, pogrążając się w oderwanym od rzeczywistego świata matriksie, oddalamy się od normalności. Egoizm i hedonizm nie zapewnią nam życiowej harmonii ani szczęścia. Potrzebujemy normalnej rodziny, przyjaźni, miłości. Tak nas zaprogramowano.

116/0119/F

eprasa.pl 6c0f73be05

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ JESTEŚMY BEZPIECZNE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

eprasa.pl 6c0f73be05

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Pokój murowany

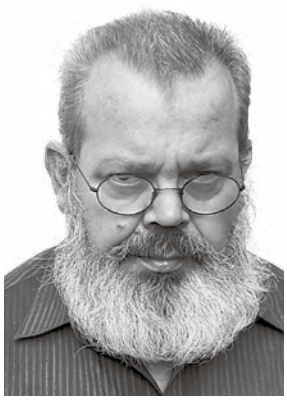

Aleksander Nalaskowski

Tak się złożyło, że dosłownie kilka dni wcześniej, przed fatalnym weekendem polsko-żydowsko-amerykańskim z Iranem w tle, wróciłem z Izraela. Napisano już o tym wiele. Zauważę tylko, że solidarność Grupy Wyszehradzkiej jest chyba mocno podbarwiona, bo jednak członkowie tych delegacji odbywali „spotkania dwustronne". Wszyscy oprócz Polaków. A argument, że już zdążyli dotrzeć do Izraela, że mieli zarezerwowane hotele etc., obraża każdego myślącego. Mogli sobie pozwiedzać i wrócić.

To nie była moja pierwsza podróż do tego kraju, a zatem w pewien sposób mogłem traktować pobyt wybiórczo. Miejsca święte z powodu intencji modlitewnych oczywiście odwiedziłem, ale obficie poznawałem życie miejscowej społeczności. Najdłużej mieszkałem w Betlejem. Korzystałem z taksówek, rozmawiałem z ludźmi, pospolicie się snułem i jak wszyscy oganiałem się od namolnych sprzedawców pamiątek. Ale w żadnym momencie nie czułem zagrożenia. Czy to w dzień, czy to po zmierzchu. Nie padłem łupem arabskich kieszonkowców, nie zostałem porwany i niemal wszędzie słyszałem „You're my friend", wypowiadane z szerokim uśmiechem okraszającym ofertę pamiątkarską.

Zarówno islamscy Palestyńczycy, jak i ortodoksyjni czy niewierzący Żydzi żyją tu z Chrystusa

Podobnie zresztą było w Jerozolimie, którą zdeptałem do bólu bioder i stóp. Pogoda (+15°) sprzyjała wędrówkom. Okutane w chusty kobiety arabskie, przechodnie, duchowni najrozmaitszych wyznań, żołnierze, sprzedawcy owoców chętnie odpowiadali na pozdrowienia „Hallo" albo „Laudetur Jesus Christi", którymi ich obficie raczyłem. Taką miałem tym razem wenę. Wszyscy oprócz tradycyjnie ubranych ortodoksów żydowskich. Dla nich byłem absolutnym powietrzem i chyba nawet morowym powietrzem. Żaden nie zareagował na pozdrowienie. Byłem turystą, a turysta to wszak niechybnie chrześcijanin, a chrześcijanin to przecież obcy. I tak się przy nich czułem.

Byłem więc w miejscu, w którym dominują dwie religie: judaizm i islam. Obie dalekie od chrześcijaństwa. Przy czym pierwsza całkowicie odrzuca Jezusa, a druga traktuje go zaledwie jak jednego z proroków. Obie pilnie strzegą swojej tożsamości. Świadczą o tym zarówno tałesy, jak i śpiew muezina. Zarówno islamscy Palestyńczycy, jak i ortodoksyjni czy niewierzący Żydzi żyją z Chrystusa. Kto był, to wie o czym mówię. Turystyka, a właściwie mniej lub bardziej pielgrzymkowe wędrówki do Izraela, to nade wszystko spotkania z Ziemią Świętą. Wielu, bardzo wielu ludzi (hotele, gastronomia, handel, transport, przewodnicy) żyje z Jezusa, nie wierząc w niego. Każda grupa turystów, bez względu na religijną gorliwość, jedzie do Nazaretu, Betlejem, Jerozolimy, pod Górę Kuszenia, na Górę Błogosławieństw, do ogrodu Getsemani, nad brzeg Jordanu. A tam podziwia wzniesione przez chrześcijan, najczęściej europejskich (od wypraw krzyżowych po współczesność) świątynie chrześcijańskie. Nie budowali ich ani wyznawcy Mahometa, ani wychowankowie Tory. W takim znaczeniu byłem więc u siebie. Tak jak ogromne grupy chrześcijan rosyjskich, koreańskich, francuskich, brytyjskich, amerykańskich. Przyjechali tu z powodu Ewangelii, a nie Talmudu ani Koranu. Polacy są do tego stopnia obecni, że na stateczku spacerowym na jeziorze Genezaret z głośników płynie słynna „Barka" w polskim wykonaniu. Oczywiście pasażerowie natychmiast podejmują śpiew.

Budowlą współczesną, ogromnym „popisem" architektonicznym Izraela jest mur dzielący m.in. Betlejem, mur z przejściami granicznymi, szykanami i utrudnieniami dla palestyńskich mieszkańców. Rozmowy, które prowadziłem, odkrywały bezgraniczny żal arabskiej części ludności z Betlejem. Zostały podzielone pola, posesje, ogrody. Rozdzielono rodziny. Charakterystyczne, żółte taksówki z palestyńskimi rejestracjami mają niemal zerową szansę zawieźć pasażerów do nieodległej Jerozolimy czy chociażby żydowskiej części Betlejem. To szykana wpływająca na zarobki i nastroje. Taka „ograniczona" taksówka nie wzbudza większego zainteresowania turystów. Ów olbrzymi mur wybudował naród, który szukając swojego miejsca na ziemi, zburzył mury Jerycha.

Zapytałem jednego z taksówkarzy o terroryzm palestyński. Powiedział mniej więcej tak: „Poszliśmy po rozum do głowy; jak będziemy strzelać, to wy nie przyjedziecie i wszyscy stracą". Nie wiem, na ile reprezentuje on Palestyńczyków, ale mnie przekonał.

W jakiś sposób chrześcijanie pełnią więc tam misję pokojową... Słowem często obecnym na banerach, frontach instytucji, pomnikach jest „pokój". Aby nie było wątpliwości pisany jako „peace", by wszyscy przybysze rozumieli, że Izrael miłuje pokój. Zapewne więc ogromny, upiorny mur z wieżyczkami i wojskiem jest murem miłości i pokoju. Tak, jak język „Jerusalem Post", premiera Natanjahu czy ministra Katza jest językiem miłości i pojednania z Polakami.

Autopromocja

eprasa.pl 6c0f73be05

PRZEZ ŚWIETLIK

Tetrycy i dialektycy

Dziadek Marks uważał, że społeczeństwa, idee i w ogóle cały świat rozwijają się na zasadzie walki rozmaitych sprzeczności. Co prawda dzisiejsza lewica nieco różni się od tej z czasów trzech brodatych Dziadków Mrozów i nie wiadomo, czy na pewno znaleźliby oni wspólny język z takim Robertem Biedroniem albo panią Scheuring-Wielgus, ale pewna sprawa pozostała. Lewica wciąż wierna jest zasadzie sprzeczności. Nawet stały się one jej najbardziej charakterystyczną cechą.

Profil twitterowy Koalicji Obywatelskiej, w skrócie chyba KOOBY (oby, oby), został zablokowany przez Roberta Biedronia. Sam Biedroń został wcześniej zaatakowany przez KOOBY za to, że kpił, pisząc, iż formacja ta składa się z oldbojów, zgredów i wapniaków. Po pierwsze, wiek Cimoszewicza i Buzka się nie liczy, gdyż są młodzi ideologicznie, podłapują wszystko, o czym „Wyborcza" napisze im, że jest modne. Jak to kiedyś Marek Migalski, w czasach gdy jeszcze głosił poglądy dokładnie odwrotne niż obecne, napisał o Róży Thun: gdyby Komisja Europejska wymyśliła syfilis, promowałaby to wspaniałe osiągnięcie cywilizacji. Nie chodzi jednak tylko o to. Biedroń wykazał się ejdżyzmem, a z takimi sprawami nie ma żartów. On, najbardziej tolerancyjny, nowoczesny, młodzieżowy, a wykazał się najbardziej przez takich młodzieżowców koło czterdziestki zwalczanym trendem. Stygmatyzował określoną grupę społeczną, mówiąc, jaka jest. Jak wiadomo, dziś nie wolno powiedzieć o kobiecie, że jest kobietą, bo może czuje się mężczyzną, o niepełnosprawnym, że jest niepełnosprawny, o 75-latku, że jest stary. Można co najwyżej powiedzieć o Polaku, że jest antysemitą i faszystą. Jak widać, Robert Biedroń z tym sobie zapewne radzi, ale z resztą średnio.

Wiktor Świetlik

Karta LGBT? Następnym etapem powinna być opaska na ramię. Tak lewica walczy z wykluczeniem

Ale to nie koniec problemu. Rafał Trzaskowski wraz ze swoim zastępcą Pawłem Rabiejem od dłuższego czasu pokazują, iż są prezydentami wszystkich warszawiaków, pod warunkiem że ci ostatni są homoseksualni. Co prawda darmowy tęczowy tramwaj nie przyciągnął nawet pięciu homoseksualistów, ale niestrudzeni panowie ogłosili powstanie wielu udogodnień dla mniejszości seksualnych. W ich ramach będą wydawać kartę LGBT. Jak zauważono, chyba po to, by stygmatyzować mniejszości seksualne. Następnym etapem powinna być opaska na ramię.

Jak widać, sprzeczności są wpisane w lewicowość. Choć istnieje i inne wytłumaczenie. Ci wszyscy panowie to jednak nasi rodacy. Może jako Polacy są tacy zacofani, tacy zaściankowi, że choćby nie wiadomo ile się naprężali, natężali, to nie udźwigną. Pora chyba wezwać z Niemiec Antifę na pomoc.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

W POLSCE PL
Wspieraj nas, oglądając w sieciach kablowych
NA POZYCJACH
upc
339 dekoder Mediabox
121 dekodery KAON i Horizon

eprasa.pl 6c0f73be05

Wolni paragrafem, spętani chorobą

Gdyby w Polsce obowiązywało inne prawo, tragedii, jaka rozegrała się w rodzinie Magdy, można byłoby uniknąć

JAN POSPIESZALSKI

Protest opiekunów dzieci niepełnosprawnych znalazł się w centrum zainteresowania nie tylko ze względu na realny dramat rodzin, spektakularny charakter, lecz także dlatego, że był wdzięcznym tematem dla opozycji. Dramat chorych psychicznie, ich rodzin i opiekunów trwa od lat, przy kompletnym milczeniu, w zaciszu czterech ścian. Bliscy schizofreników nie będą koczować w Sejmie. Niechętnie też wypowiadają się dla mediów. Lęk przed stygmatyzacją chorego (świra, obłąkańca, wariata) i całej rodziny jest barierą, która skutecznie knebluje usta rodzinom.

Problemy wiążące się z opieką nad osobą, która utraciła świadomość własnej choroby, tzw. wygląd, nie wynikają z powodu braku środków. Tu nie trzeba szukać dodatkowych pieniędzy w budżecie. Problemem jest chore prawo. System leczenia osób dotkniętych chorobą psychiczną opiera się na ustawie z 1994 r. o ochronie zdrowia psychicznego. Zapisy ustawy rozstrzygają, że wolność osobista chorego psychicznie jest ważniejsza niż ochrona jego zdrowia, a także bezpieczeństwo chorego i jego otoczenia. Mamy klasyczny konflikt dwóch wartości. Prawo człowieka do wolności i samostanowienia oraz prawo bliskich do zapewnienia choremu leczenia, według najlepiej pojętego interesu chorego. W związku z tym osoby w ciężkim stanie, z ciężkimi zaburzeniami, które nie wyrażają zgody na podjęcie leczenia psychiatrycznego, nawet jeśli są w stanie przewlekłej psychozy i kompletnie utraciły poczucie swojej choroby, nie są leczone psychiatrycznie. Nie można ich zamknąć w szpitalu wbrew ich woli. Wyjątkiem jest sytuacja, gdy zachowanie chorego zagraża bezpośrednio ich życiu lub zdrowiu, albo zagraża innym. Wtedy możliwa jest przymusowa hospitalizacja. Ale chorzy, mimo zaburzeń, często potrafią oszukiwać. Tak jak skutecznie potrafił zrobić to Stefan W., zabójca Pawła Adamowicza.

Opiekunowie i bliscy chorych psychicznie zabiegają od lat o zmianę przepisów ustawy. Zawiązali stowarzyszenia, organizują grupę wsparcia w mediach społecznościowych, wydają periodyk, w którym opisują swoje zmagania, docierają do dziennikarzy, dzieląc się wstrząsającymi świadectwami. Gdyby w Polsce obowiązywało inne prawo, tragedii, jaka rozegrała się w rodzinie Magdy, można byłoby uniknąć. Na wczesnym etapie choroby rodzeństwo było w stanie dopilnować chorej siostry, żeby przyjmowała leki. Po jakimś czasie Magda uznała, że czuje się lepiej i odstawiła środki. Gdy znów zaczęły się urojenia, chora oświadczyła, że wszelkie farmaceutyki są trujące, a polepszenie stanu zdrowia nastąpi tylko przez radykalną dietę – post. Ograniczenie odżywiania i postępująca choroba degradowały ją nie tylko psychicznie, lecz i wycieńczyły organizm. Z czasem pojawiły się inne dolegliwości. Próba nakłonienia chorej do jakiegokolwiek leczenia potęgowała wrogość wobec rodziny – choroba przechodziła w coraz ostrzejszą fazę. Starania o przymusowe umieszczenie w szpitalu musiały być przeprowadzone w rygorach długotrwałego postępowania sądowego. Po wielu miesiącach, gdy wreszcie udało się umieścić chorą w zakładzie psychiatrycznym, okazało się, że siostra odmówiła (zgodnie z prawem) udzielania bliskim jakichkolwiek informacji o stanie zdrowia, a także (na co też ustawa pozwala) wniosła o utajnienie terminu zakończenia hospitalizacji.

Przy pierwszych oznakach poprawy złożyła wniosek o wypisanie i w tajemnicy przed rodziną (na mocy ustawy) wyszła ze szpitala. Po kilku tygodniach jej zwłoki znaleziono w altanie ogódków działkowych. Sekcja zwłok wykazała, że prawdopodobną przyczyną zgonu było wyziębienie.

Statystyki pokazują, że chorzy psychicznie częściej niż zdrowi są sprawcami agresji, sami padają ofiarą przemocy i gwałtów. W Polsce żyje kilkaset tysięcy osób chorych psychicznie, spora grupa to właśnie schizofrenicy. Łącznie z bliskimi, z członkami rodzin to ponadmilionowa społeczność uwikłana w gehennę. Składowe dramatu to lęk o chorych i niemożność poprawy ich sytuacji, bezsilność wobec złego prawa, często też brak empatii ze strony lekarzy. Do tego dochodzą kłopoty materialne. Bo jak tu podjąć stałą pracę, gdy żyje się na tykającej bombie. Żeby poprawić ich sytuację, potrzeba niewiele. Wystarczy odrobina dobrej woli, żeby znowelizować ustawę.

eprasa.pl 6c0f73be05

Nagrania na balu

Cicho bądź, Danka. Nie wtrącaj się! Co? Tak, to prawda. Tobie dali Pokojowego Nobla, ale on był dla mnie. Dlatego muszę tych drani wykończyć w pokojowy sposób, a nie tak, jak myślałem. Kosa na sztorc i do Warszawy – mówił Lech Wałęsa do swojej żony. – Pojadę na ten bal i przekażę otwarty list Giertychowi. On na pewno tam będzie. Teraz trzyma sztamę z „Gazetą" przez tego Austriaka. A bal to „Gazeta" i TVN oraz zaprzyjaźnieni z nimi ludzie. Mówię ci, Danka, będzie na sto procent. Jadę w ciemno. – Pisz, pani – zwrócił się do sekretarki siedzącej przy komputerze. – Trybunał Sprawiedliwości, Luksemburg. To adres. Od nowej linijki... niżej. Pytanie fundamentalne: Czy zostaną ukarani za gadanie bzdur i bez dowodów?

Jerzy Jachowicz

– Powinni. Oczerniają pana prezesa – wtrąciła sekretarka.

– Nie mów, pani, nigdy do mnie prezes. Nie znoszę tego słowa.

– Uprzedzałam – szepnęła Danuta Wałęsa. – Pan przewodniczący, a najlepiej panie prezydencie.

– Podaję ich nazwiska – kontynuował Wałęsa.

– Szkoda twojej pracy – wtrąciła się po raz drugi żona. – Giertych nie bierze sprawy, jak nie ma taśmy. Musisz najpierw któregoś z nich nagrać. Może najłatwiej będzie Wyszkowskiego. Często jeździ Pendolino do Warszawy. To cichy pociąg. Nie powinien zakłócać.

– Danuśka, jesteś moim skarbem – uradował się były prezydent. – Wezmę cię na doradcę zamiast Mietka. On tylko o pieniądzach. Nic merytorycznie. Cały czas najchętniej ruszałby w rejs. Po morzach albo po kasach. Zaproponowałem, żeby wydał zbiór moich tweetów. To on mi zaserwował, że najpierw muszą wyjść jego wspomnienia. Dodał, że mowa jest srebrem, a milczenie złotem. O co mu chodziło? Że to niby do mnie się odnosi? Ostatni... nie powiem przy nowej pani sekretarce kto. Niech posłucha siebie, jak na lewo i prawo obiecuje. – Danusiu, dajmy sobie z Mietkiem spokój. Powiedz lepiej, kogo nagrać po Wyszkowskim.

– Ja to bym spróbowała Cenckiewicza. On też jeździ do Warszawy, to może uda się dwóch na jednym nagraniu.

– Najważniejsze: to muszą być nagrania nielegalne. Giertych innych spraw nie bierze.

CO MI KAŻE WIERZYĆ

Puste krzesło

Znów jedno z krzeseł będzie puste wśród tych, którzy byli świadkami współczesnej polskiej historii i mieli wpływ na jej kształt. Mowa o śp. panu premierze Janie Olszewskim. Odszedł wyjątkowy, dobry człowiek. Służył Polsce tak, jak potrafił najlepiej. Dla niego trzy pojęcia – naród, niepodległość i państwo – były najważniejsze. Im oddał swoje umiejętności, zalety i wiedzę. Z jego postawy emanowała dobroć, spokój i sprawiedliwość.

Jego pożegnanie było godne i wzruszające. Podczas ostatniej drogi był otoczony ludźmi, którzy przybywali z własnej woli. Szli w kondukcie czy stali w kolejce, by wpisać się do księgi kondolencyjnej. Pogrzeb był państwowy ze wszystkimi należnymi mu honorami i ze wszystkimi najważniejszymi osobami w państwie, o którego praworządność zabiegał. Widziałam to w telewizorze, bo mój wiek nie pozwolił mi tam być. Było mi smutno, że tylko tak mogę uczestniczyć w tym pożegnaniu. Można było za to popłakać, bo nikt na mnie nie patrzył.

Jan Olszewski stworzył kawałek dobrej, nieskazitelnej Polski. Pochylał się nad pokrzywdzonymi i zapomnianymi. Nigdy się nie poddawał, nawet kiedy urządzono mu „nocną zmianę". Sąd nad tym, że chciał za uczciwie pozwolić, by za jego rządów Polska był praworządna. Na szczęście pozostały dokumenty.

Katarzyna Łaniewska

Telewizji publiczna stanęła na wysokości zadania w czasie żałoby. Mówiła o tym, co robił kiedyś Jan Olszewski, jaki był i jaka była wtedy Polska.

Życiorys miał przepiękny. Urodzony w przedwojennej Polsce, wywodził się z rodziny z tradycjami. Był w Szarych Szeregach i walczył jako młody żołnierz powstania warszawskiego. Udało mu się ukończyć studia, dzięki czemu służył ludziom. Był m.in. obrońcą pomocniczym rodziny bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Chciał odkłamać proces toruński i pokazać, jak było naprawdę.

Jednym ze szczęść w moim życiu było to, że mogłam go poznać. Podczas spotkań klubu Porozumienie ponad Podziałami, którego byłam gospodynią techniczną. W ramach niego odbywały się spotkania z ludźmi, którzy potem tworzyli wielką politykę. Odbywały się dyskusje również z udziałem Jana Olszewskiego. Ja pomagałam – podawałam kawę i kwiaty, ale słuchałam i chłonęłam te jakże inne niż teraz dyskusje. Różne osoby przewinęły się przez ten klub, ale Jan Olszewski zawsze pozostał po jasnej stronie.

Zostawił nam dwa wielki pytania o Polskę: jaka ma być i czyja ma być? Myślę, że to pokolenie, które pozostało, zna odpowiedź na jego pytania.

eprasa.pl 6c0f73be05

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

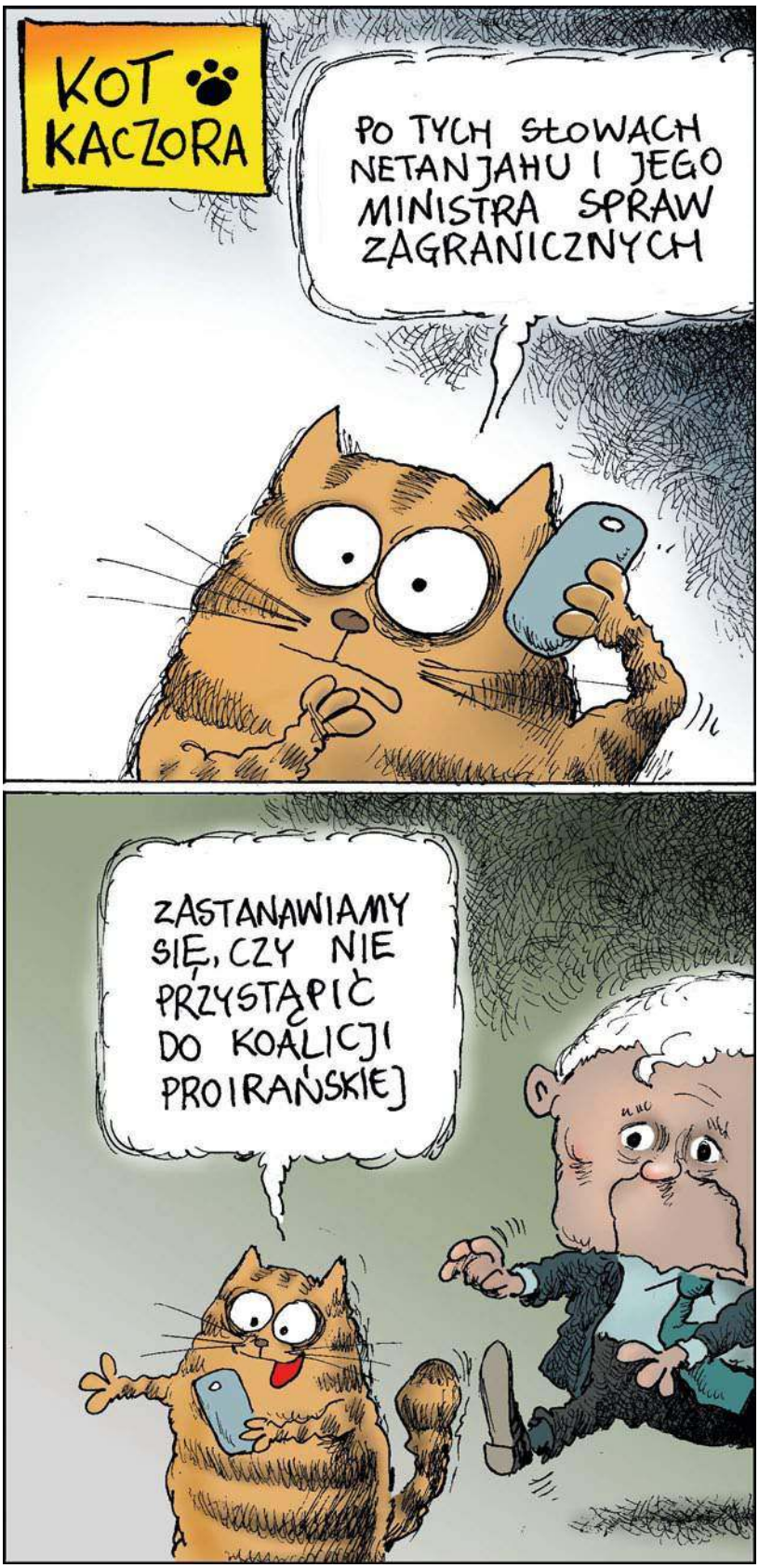

TRENDY I OWĘDY

Warszawa LGBT-

Stolica awansuje na tęczowy homodołek

Ryszard Makowski

Warszawa wiele wycierpiała w swojej historii. Obecnie została wydana na pastwę Rafała Trzaskowskiego i jego ekipy. W I SLO Bednarska z okazji studniówki zatańczono „Poloneza równości". Zachwyt wiadomych środowisk nie miał końca. Co za sukces! Podniecony tym tańcem prezydent podpisał kartę LGBT+, czyli zatroszczył się o lesbijki, gejów, biseksów, transseksualistów i resztę tego wesołego towarzystwa.

Nacisk postawiono na edukację. Do szkół skieruje się latarników. Nie będą to jednak bohaterowie Sienkiewicza, tylko pedagodzy monitorujący uczniów LGBT+ oraz wykładający „nowoczesną" edukację seksualną. Tutaj należą się gratulacje wszystkim rodzicom dzieci w wieku szkolnym z Warszawy, którzy oddali głos na antypis. Warto było! No nie? Duma!

Życie seksualne człowieka jest jego osobistą sprawą i nikomu nic do tego, jak kto się zaspakaja, jeśli nie wyrządza krzywdy innym. Nie wiadomo, z jakiego powodu osoby, które preferują alkowiane odchyłki mają być pod ochroną? Dlaczego mają mieć ekstraprzywileje?

Urzędnikom miasta nakazano godne traktowanie interesantów i pracowników różnych orientacji. Czas na specjalne okienka LGBT+ w urzędach. W komunikacji miejskiej będzie pewnie trzeba ustępować miejsca. A kto krzywo spojrzy, straż miejska capnie go za nietolerancję. Osoby hetero stały się w stolicy osobami drugiej kategorii. Pomimo liczebnej przewagi są mniejszością. Akceptacja inności – TAK, akceptacja ratuszowej dewiacji – NIE. LGBT-.

eprasa.pl 6c0f73be05

Zawistowski prezentuje: Bibi

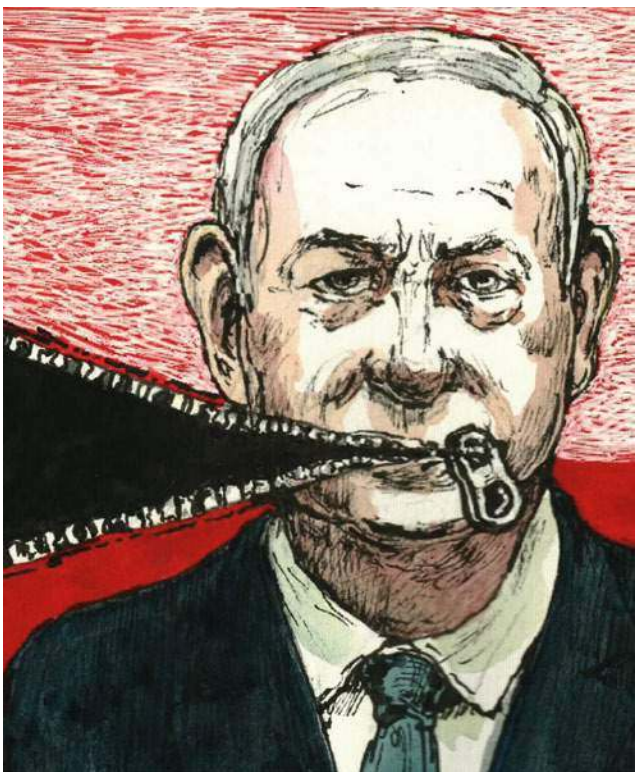

Wycinki z przeszłości

Tym razem kilka dowcipów z początku XX w. (za „Niwa Polska", 1910). Ilustracja obok także z tego pisma.

Nasze dzieci

– Czy dostajesz co od mamy, kiedy jesteś grzeczny?
– Nie, dostaję tylko, kiedy jestem niegrzeczny.

Biedaki

– Uważam, że przestałeś narzekać na żonę.
– Odkąd się dowiedziałem, że król syamski ma 600 żon, jestem zupełnie zadowolony ze swego losu.

Głupie czasy

– Czy to prawda, kumowo, że wasz mąż skarany został na więzienie za podpalenie swojego domu?
– Co chcecie, moi drodzy, teraz nastały takie głupie czasy, że człowiekowi nie wolno jest nawet zrobić ze swoją własnością, co mu się podoba.

Współtowarzyszka niedoli

Pijak, który przewrócił się na ulicy, spostrzega na niebie gwiazdę spadającą. Zwraca się tedy do niej z głosem pełnym wyrzutu:
– I ty, i ty także?!

To nie szkodzi

– Wiesz, nasz profesor geografii będzie miał odczyt o biegunie północnym.
– Ależ on tam nigdy nie był!
– To nic nie szkodzi, bo i ci, którzy słuchać go będą, także tam nie byli.

(mk)

Miesiące i lata...

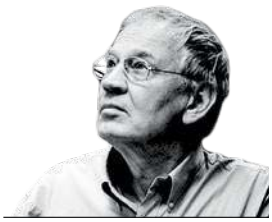

Leszek Długosz

Mijają szybciej, wolniej... I jeszcze szybciej. Tamten pierwszy ze stanu wojennego dał się zapamiętać wyjątkowo. W ciemności, opustoszały, skuty mrozami i najgorszymi odczuciami. Jak żaden inny luty. Z jaką wdzięcznością wspominam „pociechę" tamtej wtedy lutowej leszczyny. Z uśmiechem i wdzięcznością witam ją każdego roku....

LUTY '82

Choć dzień w kagańcu zimy jeszcze
Szaleje terror nocą
Funkcjonariusze mrozu – chociaż
O świcie i pod wieczór
Ścigają każdy ślad odwilży
Ale w południe spójrzcie
Nie da się już ukryć
– Te pojedyncze krople strużki
Jak się jednoczą
Po cichu jak się dogadują
Jawnie rwą potoki
– Nie da się zagłuszyć
– Słuchajcie południowej strony dachów
Jaka już stamtąd płynna
Wiarygodna mowa
Czujecie co donosi powietrze?
– Nawet odległych pól prowincje
Najściślej pilnowane rezerwaty
Całymi połaciami podbiegają
Wodnistym kolorem zwątpienia
– To runie. Runąć musi
Bo nie umarła
Pod powierzchnią ziemi – zieleń
Obudzi się i ruszy...

Bądź pozdrowiona więc Leszczyno Krucha
Patronko pierwszej linii
Najśmielsza rewolucjonistko
Emisariuszko szalona
Ty która pierwsza
– Gdy las w okowach jeszcze
– Śniegi kopne w polach
Ty która z nagą chorągiewką kwiatu
Pierwsza na zwiad ruszasz...
– Bądź pozdrowiona
Topnieje serce na widok takiej wiary

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 6c0f73be05

OD A DO ZYBERTOWICZ

Taki straszny świat

Czy to wszystko nie dzieje się przypadkiem w świecie hiperindywidualizmu, w kulturze „wolności" lansującej egoizm na każdym kroku?

Krystyna Janda to utalentowana aktorka. Samo aktorstwo chyba jednak Jandy nie dość satysfakcjonuje, bo stara się też komentować życie publiczne, polityczne, znać na prawie, gospodarce, stosunkach międzynarodowych... Trudno uznać, że te eksperckie role dorównują jej aktorstwu.

OBOK TAKI STRASZNY ŚWIAT

Krystyna Janda pisuje felietony o sprawach bieżących. Zwraca uwagę na to, co może boleć, co może przerażać, na co powinniśmy się uwrażliwić. Niedawno zamieściła na Onecie tekst pt. „Ludzie! Nie macie pojęcia, że tuż obok, niedaleko, jest taki straszny świat".

SZPITAL

Towarzysząc swojej mamie, przymusowo spędziła tydzień na oddziale geriatrycznym w jednym z warszawskich szpitali. Dzieli się wspomnieniem: „Co się tam dzieje! Ludzie! Chodzicie ulicami, kąpiecie dzieci, robicie zakupy, gotujecie obiady, zjadacie kolacje, pracujecie, odprowadzacie dzieci do szkół i przedszkoli, całujecie się i kochacie nocami, i nie macie pojęcia, że tuż obok, niedaleko, jest taki straszny świat, takie coś, taki czas ostateczny! A może wiecie?".

Wielu z nas na pewno wie. Świat starości bywa straszny. Na starość się brzydnie, źle pachnie, traci siły, rozum, wolę, przysparza całe mnóstwo problemów, bywa okrutnym i bezlitosnym balastem dla swoich bliskich. Nawet jeśli ktoś opiekuje się starymi ludźmi z powołania, jego serce może ulec przeciążeniu, które często w końcu nadchodzi; takiemu jakby znieczuleniu, które czasem może być poczytane jako obojętność na cierpienie drugiej osoby.

PRZECHOWALNIA STAROŚCI

„Już przy wejściu do szpitala wita wszystkich wielka plansza: SZPITAL TO NIE PRZECHOWALNIA! Napis, którego zupełnie nie rozumiałam, na początku wydał mi się nietaktowny, zbyt obcesowy, nieuprzejmy. Dziś go rozumiem, a raczej rozumiem akt rozpaczy, który kazał go napisać i wywiesić" – pisze aktorka.

Pisze o zniedołężniałych pacjentach i przypadkach tak częstego, zdawałoby się, u staruszków pomieszania zmysłów; relacjonuje wypowiedzi pielęgniarek, że dzieci są nieczułe, że nie chcą się zajmować starymi rodzicami, wyjeżdżają za granicę, zostawiając ich na pastwę losu. Jakie to życie jest niesprawiedliwe.

Nie próbuje jednak zapytać, skąd się bierze „takie coś, taki czas ostateczny". Wspomina o rosnącej liczbie ludzi starych potrzebujących opieki, o problemie ciągłego braku profesjonalnych opiekunów, których usługi dla przeciętnej rodziny są drogie. Choć czasem to nawet nie o same usługi chodzi, ale o gest miłości – pogłaskanie po głowie. Ale to przecież nie są te głębokie powody, przez które nie radzimy sobie z problemem starości.

Czy to wszystko nie dzieje się przypadkiem w świecie (szalejącego) hiperindywidualizmu, w kulturze „wolności" lansującej egoizm na każdym kroku? („Róbta, co chceta...").

Jakie wartości faktycznie – nie deklaratywnie – wpaja się dzieciom? Ile jest jeszcze rodzin wielopokoleniowych, w których codzienność obok starości to normalny element życia? Jaki jest stosunek dzieci do starych ludzi?

Ileż to razy słyszymy, że w XXI w. cierpienie i ból trzeba wyeliminować z życia... A co z rugowaniem chrześcijańskiego wymiaru życia w Polsce, w Europie? Może to właśnie starość, zmaganie się z nią są niezbędne, by wydobywać z nas to, co najbardziej godne człowieka?

Aktorka wiele razy nie ukrywała, że nie znosi obecnie rządzących. Tego zaściankowego, zacofanego PiS, przez które jest „wręcz chora". Ale to ten zaściankowy rząd przekształcił dawne Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej w Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. I przecież nie chodzi o nazwę tylko. Chodzi o priorytety. Chodzi o wizję powinności państwa.

WIOSNA W DOMU STARCÓW

Ale może Wiosna Roberta Biedronia ma jakiś realistyczny plan na biednych staruszków? Może w ofercie programowej ma coś lepszego niż wzmocniona rodzina? Na początek marsz tęczowy ze staruszkami ciągniętymi na łóżkach i pchanymi na wózkach: „Niech ich zobaczą!". Czy śmielsze rozwiązanie? Eutanazja. Najbardziej „oświecona" część ludzkości już je stosuje...

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | ...

eprasa.pl 6c0f73be05

Najbardziej opiniotwórcze tygodniki i dwutygodniki

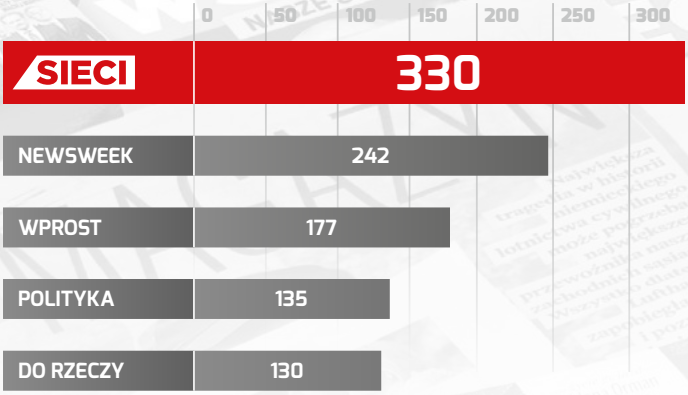

W CZOŁÓWCE NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZYCH MEDIÓW W POLSCE

Najbardziej opiniotwórcze portale internetowe

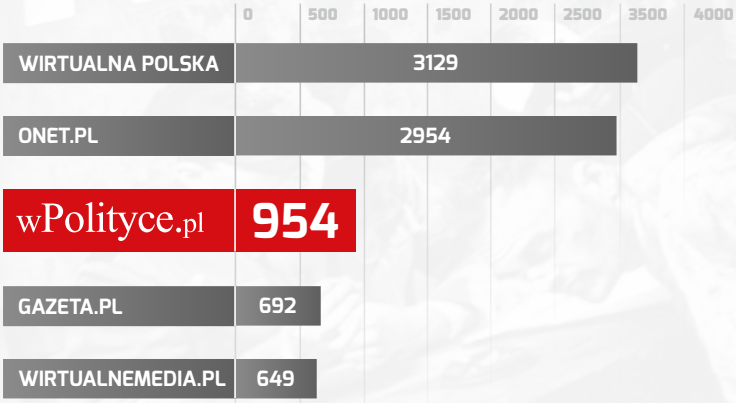

ŹRÓDŁO: IMM, STYCZEŃ 2019

eprasa.pl 6c0f73be05

Prenumerata

SIECI + wSIECI HISTORII

z prezentem

koszulka z kultowym powiedzeniem

Koszulki damskie w rozmiarach: **S, M, L**

Koszulki męskie w rozmiarach: **M, L, XL, XXL**

Zamawiając prenumeratę, podaj rodzaj i rozmiar koszulki, np. męska L

40% TANIEJ

~~460,80 zł~~

280 zł

PRENUMERATA ROCZNA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisz rodzaj oraz rozmiar koszulki (np. męska L) i pełne dane adresowe do wysyłki. Szczegóły w regulaminie promocji: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata i pod tel. 22 616 15 70